

№ 7 LIPIEC 1939 R.



# RODZINA POLSKA

<http://rcin.org.pl>



# SPIS TREŚCI

Nowa Turcja .....	297	Z szerokiego świata .....	320
Polska a odrodzenie narodowe Turcji .....	304	ZYGMUNT C. KOCZOROWSKI: Operacja się udała, ale...	322
JOT-EL: Noc na froncie Estramadury .....	306	Ofiarność pracowników KKO utwierdza potęgę Polski ..	325
JAN DOBRACZYŃSKI: Przyrost naturalny w świetle sto-		IZA KUZMIŃSKA: Wojna, wojsko i P. C. K. ....	326
sunków wyznaniowych .....	308	HALINA KONDECKA: Gazeciarsz .....	328
Z. JANKOWSKA: Kronika spraw rodziny .....	310	ANTONI LEPARSKI: Elektrohomeopatia .....	329
Rozmowy z młodszą siostrą i bratem .....	312	Na falach czasu: Piśmiennictwo, Muzyka, Teatr, Film ..	332
ALCHEMIK: Wytwarzamy złoto .....	314	Dział Kobiety .....	336
Ks dr I. OLSZEWSKI: Joanna d'Arc .....	317	Kącik dla dzieci.....	343

## PRAWO NARODÓW

### PRAWO DŻUNGLI — CZY PRAWO CHRYSZTUSOWE

Londyński „The Times” (15 IV 39) zamieszcza niezwykle znamienny artykuł pt. „Prawo narodów” (The Law of Nations), w którym przeprowadza tezę, że właściwe prawo międzynarodowe jest produktem katolickiego chrześcijaństwa i że zaniedbanie wskazań, zawartych w nauce Chrystusa doprowadzić musiało do chaosu w nowoczesnym życiu międzynarodowym.

Żyjemy w czasach, w których odżyły zasady, stosowane przez pewnych przywódców państw dzisiejszych, zasady, głoszone kiedyś przez króla pruskiego Fryderyka II.

„Co się tyczy wojny — pisał Fryderyk — jest to sprawa, w której najmniejszy skrupuł może wszystko zepsuć... Polityka i podłość — to prawie to samo... Prowadzić z kimś politykę — to znaczy wyprowadzić go w pole... Jeżeli tego wymaga interes, to należy wszelką poprzednią umowę w polityce międzynarodowej uważać za nieistniejącą”...

Echa tej taktyki rozbrzmiewają i dziś: „Jedynym kryterium, decydującym, czy jakieś przedsięwzięcie jest słuszne — to fakt, że się nam ono udało” — pisał w „Mein Kampf” Adolf Hitler... — „Sojusz, pokój itp. — to piękne rzeczy. Ale jeszcze piękniejsze — to karabiny, mitraliezy, armaty i aeroplany bojowe” — mówił Mussolini 18 maja 1930 r. we Florencji.

Jeżeli chodzi o Niemcy — to ich poglądy na stosowanie polityki siły, a więc zastosowanie agresji czy wojny napastniczej, datuje się nie od dziś. Hitler, pomimo, iż sam pochodzi z Austrii, wchłonął w siebie i przyswoił całkowicie pruską, junkierską ideologię pangermanizmu, która była hodowana już przed wojną europejską.

Znajdujemy ciekawe przewidywania w Encyklopedii Brytyjskiej (w wydaniu r. 1902), w artykule o pangermanizmie, który — zdaniem autora artykułu — o ile nie zmieni swych metod, wywoła przeciwko Niemcom koalicję wielu państw i narodów — co się już stało w r. 1914 i co się znów powtarza. Przywódca „Unii Pangermańskiej”, Class, w znamiennym artykule „Gdybym był cesarzem” tak pisał przed wojną europejską: „Każdy Niemiec, który miłuje prawdziwie swój naród, tęskni do wojny, bo tylko wojna wyzwala wszystko to, co zdrowe i co technicznie prawdziwą tężyzną w życiu społecznym”.

Generał von Liebert, znany pangermanista, już w roku 1907 pisał: „Nadchodzą czasy, kiedy trzeba będzie odłożyć dyplomację na bok, a zastosować siłę brutalną”. Inny przywódca pangermanistów, generał von Bernhardt, pisał w przededniu wojny światowej: „Intelektualne i moralne siły narodu nie rozwijają się nigdy w atmosferze błogiego spokoju. Dla Niemiec jedynie użyteczna metoda — to zastosowanie siły”.

Paweł Rohrbach, który jeszcze obecnie w III Rzeszy rozpisuje się na temat kolonii, tak dowodził w r. 1912 w swej głośniejszej pracy: „My, Niemcy, jesteśmy drze-

wem, rosnącym na skale... Albo więc użyźnimy tę skałę i to w takim stopniu, że stanie się do najwyższego stopnia urodzajna i wykarmi nas — albo rozsadzimy tę skałę i runiemy na tereny sąsiednie, aby zdobyć potrzebne pożywienie”.

Oto geneza hitlerowskiej „Machtpolitik”, stosowanej w ostatnich czasach. Oto źródło hitlerowskiej deklaracji o „przestrzeni życiowej”. Oto wreszcie uzasadnienie tezy, wysuniętej przez samego Hitlera: „Okrutne i nielitościwe (grausam und unbarmherzig) użycie brutalnej siły jest zawsze wskazane jako miecz niszczący rywalizującą z nami ideologię”. (Mein Kampf, s. 297).

Oto zasady przemocy, „prawo dżungli”, które będzie dominować dotąd, dokąd prawo międzynarodowe nie zostanie ugruntowane na prawie Chrystusowym. „Za długo już triumfuje prawo przemocy — pisał Pius XI. — Nienawisć w stosunkach międzynarodowych, stosowana w ciągu długich lat, stała się już drugą naturą”... (encyklika „Ubi arcano”). Ale jednocześnie — jak podkreśla Ojciec św. Pius XI w innej swej encyklice — „nigdy może w takim stopniu, jak w czasach obecnych... większość ludzkości odczuwa potrzebę jedności i zgody w stosunkach międzynarodowych” („Mortalium”).

„Ponieważ celem prawa narodów — pisze profesor L. Ehrlich — jest ułatwienie współdziałania i zapobieganie konfliktom względnie ich złagodzenie, przeto prawa narodów winno służyć tym właśnie celom, które są podstawą etyki chrześcijańskiej. Prawo narodów, jakim się dziś zajmujemy, rozwinęło się wśród państw zachodniego chrześcijaństwa. Jakkolwiek poszczególne normy prawa narodów mogą być z punktu widzenia etyki obojętne, to właśnie służą ostatecznie celom chrześcijańskiej etyki, w przeciwstawieniu do innych religii, które bądź nie sięgają poza etykę jednostek, bądź nie usiłują zorganizować powszechnego współdziałania i możliwie zapobiegać konfliktom, względnie je łagodzić... Przeprowadzenie etyki chrześcijańskiej w stosunkach międzynarodowych, jest najważniejszym zagadnieniem dzisiejszej polityki prawa narodów” (por. „Prawo Narodów”).

W życiu międzynarodowym, jeżeli ono ma być nareszcie uporządkowane, powinna nastać wyższa atmosfera chrześcijańska, w której możliwe byłoby ustalić żywą zgodę oraz dojść do syntezy pomiędzy indywidualizmem i socjologizmem, jednością i wolnością, autorytetem i posłuszeństwem, organizacją i osobowością, nacjonalizmem i międzynarodowością.

„Chrześcijańska społeczność kulturalna — pisze F. W. Foerster w „Politische Ethik” — jest ukoronowaniem, nie zaś rozkładem życia międzynarodowego. Narody, które we wzajemnych stosunkach, za najwyższy cel uważałyby tylko zachowanie za wszelką cenę swojego istnienia, musiałyby zginąć, podobnie jak zginęłyby jednostka, która by dążyła do zabezpieczenia i ochrony własnego życia, kosztem wszelkiej wyższej prawdy i sprawiedliwości”.



# RODZINA POLSKA



MIEŚCZNIK  
LUSTROWANY

ROK XIII. WARSZAWA, LIPIEC 1939



## NOWA TURCJA

### ZMIERZCH OTTOMAŃSKIEGO IMPERIUM

W czasie wielkiej wojny, jak wiadomo, Turcja należała do sprzymierzeńców państw centralnych i obok nich walczyła. Jedną z pośrednich przyczyn wojny światowej była chęć stworzenia warunków, sprzyjających rozbiorowi ottomańskiego imperium. Rosja, która przez wieki całe dążyła do opanowania Konstantynopola i cieśnin (Dardanele, Bosfor), pamiętając testament Piotra Wielkiego, który głosił: „Kto włada Konstanty-

nopolem, Dardanelami i Bosforem, jest panem Morza Śródziemnego i dróg do Indii” — miała chęć na zawładnięcie części ziem tureckich.

Racja zaś stanu i polityka angielska i francuska z uwagi na to, że Turcja władała wówczas wszystkimi krajami arabskimi, jak Syria, Mezopotamia, Irak, Hedżas, Egipt i dysponowała Kanałem Sueskim i Morzem Czerwonym, co stanowiło naturalną drogę lądową i morską do wszystkich prawie kolonii angielskich i francuskich, dążyła do zabezpieczenia swoich kolonialnych in-



*Istanbul: Meczet Mihrimah.*



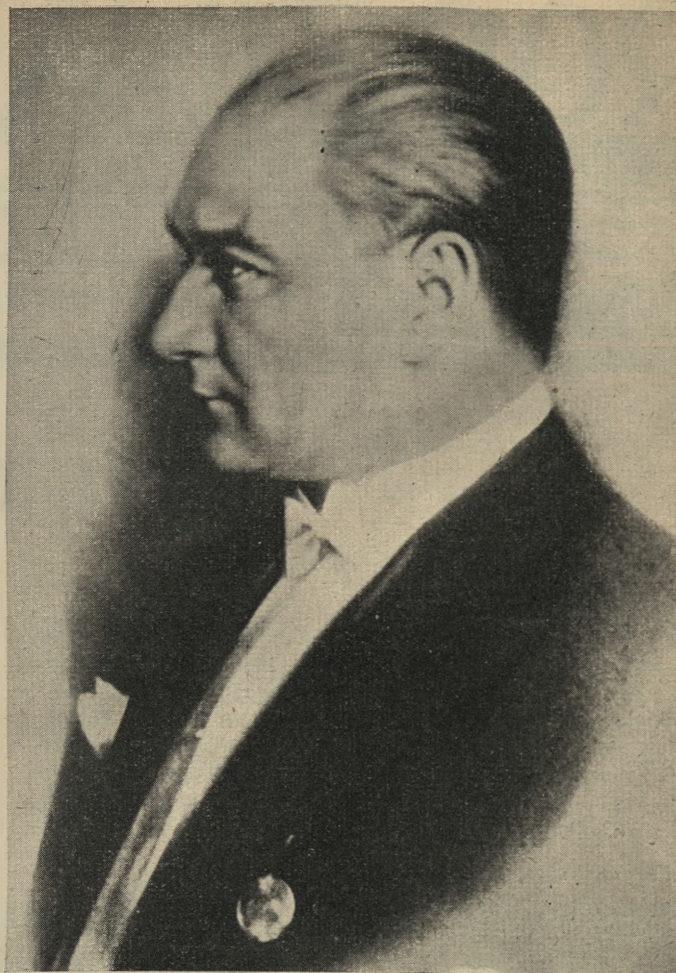
teresów również drogą dokonania wiwisekcji ottomańskiego imperium. Wielka wojna zakończyła się porażką państw centralnych, a tym samym i Turcji.

Stojąca w szeregach państw zwycięskich Rosja, również nie osiągnęła spodziewanych z upadku Turcji korzyści, gdyż sama w tym czasie poniosła klęskę wewnętrzną.

Anglia, która była zmuszona szukać w Rosji sprzymierzeńca, zdawała sobie sprawę, że Rosja stanowi nie mniejsze niebezpieczeństwo dla hegemonii Anglii w wypadku zagarnięcia Konstantynopola i Dardanel przez Rosję, idealnie skorzystała tak z klęski Turcji, jak i z upadku Rosji, doprowadzając do ostatecznego rozbioru Turcji i rozprzestrzeniła swoją hegemonię na Bliski Wschód.

Imperium ottomańskie, istniejące przeszło 600 lat i które posiadało przestrzeń przeszło sześć milionów kw. kilometrów z 60 milionami ludności oraz najgłówniejsze punkty strategiczne i bogate kraje Europy, Azji i Afryki. W myśl traktatu sevrskiego z 10 sierpnia 1920 roku Turcja została prawie skreślona z liczby światowych mocarstw. Turcja utraciła nie tylko Egipt, Irak, Syrię, Palestynę, Arabię i Mezopotamię, ale nawet zasadniczo etniczny kraj Turcji, jak Anatolia, uległ częściowemu podziałowi pomiędzy Anglię, Francję, Włochy, Grecję i Armenię.

Tym sposobem Turcja, która do niedawna była jednym z największych mocarstw świata, została sprowadzona do roli małego państewka i to ograniczonego w swoich prawach suwerennych.



*Kemal Pasza Atatürk — twórca nowej Turcji i jej pierwszy prezydent.*

### KEMAL PASZA ATATURK

W tym tragicznym momencie dla Turcji zjawiał się na jej arenie dziejowej Mustafa Kemal Pasza Atatürk. Zrozumiał on i wpał w swoich rodaków myśl, że sama utrata państwa nie stanowi jeszcze zagłady narodu, głosząc, że dopóki istnieć będzie naród wskrzęsić się może i samo państwo i że w najmniej nawet sprzyjających okolicznościach przywrócić można narodowi wolność i niepodległość. Z tych założeń wychodząc, rzucił Atatürk hasło walki o wyzwolenie Turcji.

Atatürk dążył do stworzenia nowego państwa tureckiego, opartego o nowe podstawy polityczne, socjalne i kulturalne.

Zasady głoszone przez Kemala Paszę można streścić następująco:

- 1) dążyć do zorganizowania nowego państwa tureckiego na podstawach etnicznego samostanowienia narodu;
- 2) obalić dotychczasowe jedyńwładztwo sułtanów i kalifatu;
- 3) wprowadzić w Turcji zachodnią cywilizację i kulturę.

Jednym słowem wysiłek i walka Kemal Paszy skierowane były przeciwko europejskiemu imperializmowi, jak również i przeciwko religijnemu, socjalnemu i politycznemu despotyzmowi dawnego reżimu.

Zawieszenie broni między Ententą i Turcją nastąpiło 30 października 1918 roku. Po kilku miesiącach, 5 maja 1919 roku, pod ochroną połączonych flot wojennych



*Ankara: Pomnik suwerenności narodowej.*



francuskiej, angielskiej i amerykańskiej Grecy zajęli Smyrnę, a następnie stopniowo posuwali się w głąb Anatolii. Zachodnia część Anatolii, tj. Antalia i Konia, już 2 kwietnia 1919 roku znalazła się pod okupacją włoską. Województwo Adana zajęli Francuzi, zaś Marász, Aintab, Mirzifon i Samsun Anglicy, Stambuł i cieżniny okupowane zostały przez wspólne siły Ententy.

Zwrócono również uwagę i na europejską część Turcji. Projektowano stworzyć tutaj samodzielne państwo Frakię ze stolicą Adrianopolem. We wschodniej części Anatolii chciano stworzyć trzy samodzielne państwa: Wielką Armenię, Kurdystan i Trabezund. Jak widać więc, celem Ententy było nie tylko zniszczenie ottomańskiego imperium, ale wykreślenie z mapy w ogóle państwa tureckiego nawet w jego granicach etnicznych.

W takich to okolicznościach przybywa w maju 1919 r. do wschodniej Anatolii Kemal Ataturk i rozpoczyna ożywioną działalność. W lipcu 1919 r. zwołuje on kongres przedstawicieli wschodniej i zachodniej Anatolii, który jednomyślnie postanawia stworzenie nowego, całkowicie niezależnego, narodowego państwa tureckiego, przy czym, już w pierwszym tym akcie, zaznacza się ustrój polityczny przyszłego państwa, kongres bowiem postanawia, że władza w nowym państwie ma być oparta na woli narodu.

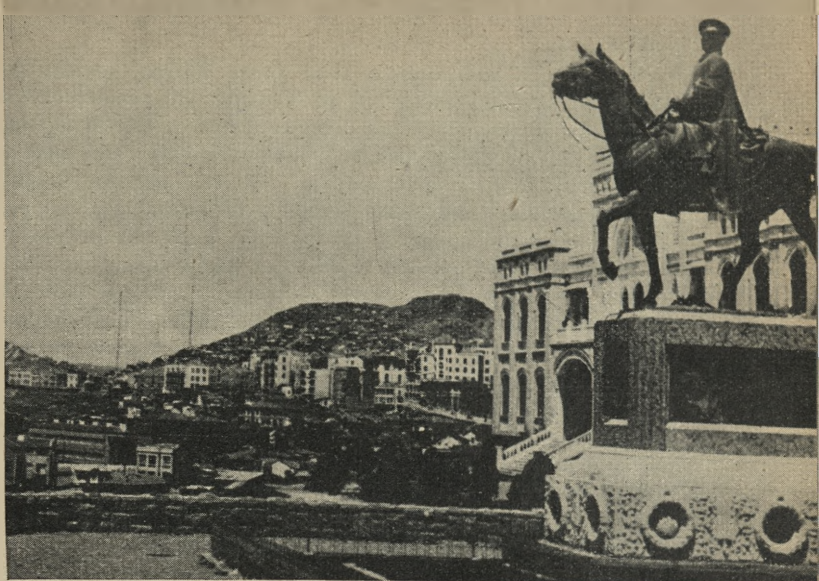
We wrześniu 1919 r. zwołuje Ataturk drugi kongres złożony z przedstawicieli całej Anatolii i części europejskiej Turcji, mianowicie Rumelii. Kongres ten stwarza organizację pod nazwą „Ochrony Praw Anatolii i Rumelii” i ogłasza Turcję jednym nierozdzielnym państwem. Na czele tej organizacji staje Kemal Pasza Ataturk.

W tym samym mniej więcej czasie dowództwo sił angielskich rozwiązuje dawny parlament turecki. Część posłów aresztowano i zesłano na Wyspę Malte, większość zaś przedostała się do Anatolii i połączyła się z Kemal Paszą. Z tych to posłów parlamentu tureckiego i członków kongresu „Obrony praw Anatolii i Rumelii”, Kemal Pasza tworzy pierwszy Sejm Rzeczypospolitej Tureckiej pod nazwą „Wielkie zgromadzenie narodowe Turcji”. Otwarte w dniu 23 kwietnia 1920 r., Wielkie zgromadzenie narodowe Turcji wybiera Kemal Paszę marszałkiem zgromadzenia oraz naczelnym wodzem wszystkich sił zbrojnych Turcji.

Wielkie zgromadzenie narodowe rozpoczyna prace nad ustaleniem zasad ustroju nowego państwa. 20 stycznia 1921 r. zgromadzenie uchwała pierwszą konstytucję nowej Turcji, która zrywa zupełnie z dawnymi podstawami ustroju państwowego. Cała władza ustawodawcza i wykonawcza według nowej konstytucji skupiona zostaje w rękach narodowego zgromadzenia. Przewodniczący zgromadzenia jest jednocześnie głową państwa i wodzem armii.

Po zorganizowaniu rządu Kemal Pasza przede wszystkim kieruje swój wysiłek w kierunku zorganizowania rozproszonej i rozbitej armii. Niezależnie od tego drogą odpowiedniej akcji dyplomatycznej stara się osłabić pozycję przeciwników. Tę jego działalność ułatwia z jednej strony pełne poparcie narodu, który zrozumiał, że dążenia Ententy zmierzają do zupełnego zniszczenia Turcji, z drugiej zaś strony polityka Rosji sowieckiej wrogo nastawiona do państw Ententy. Kemal Pasza skutecznie wykorzystał tę sytuację i zawarł z Moskwą przymierze, na mocy którego Sowiety pomogły nowej Turcji w jej walce o wyzwolenie.

Nie małą też pomocą w tej walce okazał się rozdźwięk, który zarysował się pomiędzy państwami Ententy.



*Pomnik prezydenta Ataturka.*



*Istanbul: Meczet Sułtana Ahmeda.*

*Wschód słońca nad Bosforem.*





W czerwcu mianowicie 1921 roku Włochy zwalniają zajęte terytoria i zwracają je Turcji. 20 października 1921 roku Francja zawiera z rządem nowej Turcji układ, na mocy którego zrzuca się okupowanych terytoriów i ewakuuje z nich swe wojska. W ten sposób, dzięki przychylnemu stanowisku Włoch i układowi z Francją, Turcja zabezpiecza sobie swoje tyły, a dzięki przymierzu z Rosją i jej pomoc w walce z zachodnim wrogiem angielsko-greckim. Na tym zachodnim froncie Kemal Pasza, przy udziale marszałka Fewzi Paszy i obecnego prezydenta Turcji Ismet Paszy Inoniu, okazał w całym blasku swój talent wojskowy, jako naczelny wódz armii.

Wojna turecko-grecka, która rozpoczęła się w styczniu 1921 roku, skończyła się w sierpniu 1922 roku wspaniałym zwycięstwem Turcji i odzyskaniem wszystkich utraconych ziem. 24 lipca 1923 r. zawarty został traktat lozański, który uwzględnił wszystkie żądania Turcji.

Według słów znanego historyka francuskiego Jacques Ausel, Manuel historique de la Question d'Orient (1792 — 1925, Paris 1926, st. 299) — grecko-turecka wojna była w rzeczywistości wojną Turcji z Ententą, która dążyła do stworzenia z Turcji kolonii ekonomicznej.

Traktat lozański stał się dla Turcji nową erą w jej historycznym rozwoju i wprowadził ją do rzędu państw o pełnej niezawisłości i suwerenności.

Zakończywszy tak skutecznie krwawe zmagania o swą wolność i o odzyskanie utraconych ziem Turcja przystępuje do reform wewnętrznych.

W roku 1923 zbiera się drugie wielkie narodowe zgromadzenie, które w dniu 29 października 1923 r. uroczystie ogłasza Turcję Rzeczpospolitą, a Kemala Paszę obiera pierwszym prezydentem.

## REFORMY W NOWEJ TURCJI

Jedną z pierwszych reform, która była wprowadzona w r. 1924, było zniesienie kalifatu i odebranie dynastii ottomańskiej prawa zamieszkiwania w obrębie Rzeczypospolitej Tureckiej. Do czasu wprowadzenia ustroju republikańskiego Turcja była na wpół teokratycznym i na wpół świeckim państwem. Młodoturecka rewolucja z r. 1908 nie uwolniła Turcji jeszcze od teokratycznych zasad i dlatego równoległe z władzą cywilną istniała władza duchowna. Tak np. obok sądów cywilnych istniały sądy duchowne (szariackie), a obok szkół świeckich były szkoły duchowne (medrese).

Konstytucja 1924 r. położyła koniec temu dualizmowi i ostatecznie zwróciła Turcję na drogi zachodnio-europejskich norm prawnych. Władza zwierzchnia przechodzi odtąd w ręce narodu. Dlatego też reformy nie ograniczyły się wyłącznie do zniesienia sułtanatu i kalifatu, ale objęły te wszystkie socjalno-prawne podstawy, na których opierał się system państwa staro-tureckiego.

Tak więc specjalną ustawą znosi się medrese i szariackie (duchowne sądy), a szkoła i wychowanie przechodzą w ręce państwa. Poczynając od roku 1925 Turcja przestaje być krajem czerwonego fezu, według nowej bowiem ustawy Turcy obowiązani są nosić europejskie nakrycia głowy. Ustawą z dnia 26 grudnia 1925 r. wprowadzony zostaje kalendarz europejski, muzumański zaś kalendarz, oparty na obliczaniu czasu i okresów według wschodu i zachodu księżyca, przestaje egzystować. Rozporządzenie z dnia 17 lutego 1926 r., wprowadzając szwajcarski kodeks cywilny zmienia zasadniczo prawne oblicze tureckiego społeczeństwa, przy czym odbija się to głównie na stanowisku kobiety, która staje się rów-

nouprawnionym członkiem rodziny i społeczeństwa. Znosi się wielożenstwo, harem i zasłony na twarze (czadra). Kobieta wreszcie otrzymuje i prawa polityczne, zyskując czynne i bierne prawo wyborcze. W parlamencie zasiadają przedstawicielki kobiet. Wszystkie zaś instytucje państwowe i prywatne otwierają dla nich swe podwoje.

Nie tylko jednak w prawach zostają kobiety zrównane z mężczyznami, bo oto prezydent Ataturk wprowadza ustawę, na mocy której Turczynki obowiązane są służyć w szeregach armii na równi z mężczyznami. Obecnie kobiety przechodzą wojskowe przeszkolenie w pomocniczych kadrach wojskowych.

Do jednej z najważniejszych reform należy zaliczyć wprowadzenie w Turcji łańsińskiego alfabetu na miejsce arabskiego, który nie oddawał wszystkich subtelności języka tureckiego.

Ustawą z dnia 3 grudnia 1928 r. parlament przyjmuje nowy turecki alfabet, oparty na alfabecie łańsińskim. Praktyka dowiodła, że ta innowacja Kemala Ataturka w niczym nie ustępuje innym jego śmiałym reformom, umożliwiając oczyszczenie języka tureckiego od arabizmu i farsizmu (staro-perski). Zamiast kosmopolitycznego ottomańskiego języka, który istniał przed wprowadzeniem republiki i który nie był zrozumiały dla mas tureckich, zostaje stworzony zupełnie czysty etnicznie język turecki.

„Instytut Językoznawczy”, zorganizowany przez Ataturka, dzięki nieustannej, głębokiej pracy badawczej i nowemu alfabetowi, podniósł znacznie oświatę, a jednocześnie przystąpił do stopniowego zanikania analogizmów w masach tureckich.

Ważne również historyczne znaczenie ma prawo, znoszące niewolniczy podatek średniowieczny, pod nazwą aszar (dziesięcina).

## OŚWIATA

Jeden z artykułów nowej konstytucji ustanawia początkowe nauczanie jako obowiązkowe, ogólne i bezpłatne. Dla zrealizowania tego punktu państwo zwraca szczególną uwagę na szkolnictwo. Dzięki temu liczba uczęszczających dzieci i młodzieży wzrasta bardzo szybko. W pierwszych latach republiki, tj. w 1923/4 roku szkolnym, w szkołach początkowych Turcji uczyło się 314.941 dzieci. W 1927/8 r. liczba ta wynosiła 750.673 dzieci; w szkołach średnich w 1923/4 było 5.905 młodzieży, a w 1936/7 r. mamy już 71.021. Znaczy to, że liczba uczniów od 1924 r. do 1936 r. wzrosła dwunastokrotnie. W liceach w 1923/4 r. było 1.241 uczniów, a w 1936/7 r. mamy już 18.277 uczących się. Szczególnie zwraca na siebie uwagę szybkie tempo wzrostu nauki wśród kobiet. Według oficjalnej tureckiej statystyki, z której korzystamy — w 1923/4 r. w początkowych szkołach było kobiet 62.954, a w 1937/8 r. jest już 256.061; w średnich szkołach w 1923/4 r. było 1.182, zaś w 1937/8 r. — 18.450; w liceach w 1923/4 r. było 331 dziewcząt, natomiast w 1937/8 r. — 3.972.

W r. 1925 szkoły średnie ukończyło dwanaście dziewcząt, licea 52 dziewczęta, a w 1937/8 r. szkoły średnie ukończyło — 2.422, zaś licea 376 dziewcząt. W 1937/8 roku liczba ta wzrosła do 10.134.

Szczególnie wyjątkowy postęp można zauważyć w wyższych zakładach naukowych. Dawno istniejący istambuński uniwersytet uległ, jak również cały jego system naukowy, zasadniczym zmianom. Zreformowano program oraz zniesiono ciało profesorskie wydziału



prawnego, filozoficznego, historyczno-filologicznego i humanistycznego.

Uchwałą parlamentu z dnia 31 maja 1933 r. skasowano stary uniwersytet (darulfnun), tworząc na jego miejsce nowoczesną uczelnię z nowym składem profesorskim pod nazwą „Uniwersyte”.

Obecnie istambulski uniwersytet liczy 86 profesorów, z których 42 zaproszonych jest z Europy, 102 docentów, 184 asystentów, 25 lektorów i tłumaczy. Poczynając od 1923/4 do 1937/8 r. istambulski uniwersytet ukończyło 8.320 studentów i studentek.

Tylko z jednego fakultetu medycznego wypuszczono 5.145 lekarzy i lekarek. Prócz tego jest w Ankarze wyższy zakład naukowy z wydziałami prawa, historii, geografii, rolnictwa, językoznawstwa i fakultet weterynaryjny. Z połączenia ściślejszego tych wydziałów ma powstać wkrótce nowy uniwersytet w Ankarze.

Na rok przed swoją śmiercią prezydent Atatürk w moim wygłoszonej z okazji otwarcia parlamentu powiedział, że w najbliższym czasie zostanie utworzony uniwersytet we wschodniej części Anatolii.

W związku z tym specjalna komisja Ministerstwa Oświaty przeprowadza prace przygotowawcze w Wanie.

## KOMUNIKACJA W TURCJI

Położenie geograficzne Turcji jest tego rodzaju, że stanowi ona pomost między Europą i bliskim oraz średnim Wschodem, a zwłaszcza Indiami. Przez Turcję przechodziły historyczne drogi handlowe. Zachodnio-europejski kapitał nie mógł nie zwrócić na to uwagi. Poczynając od połowy XIX w. zaczyna się konkurencja pomiędzy europejskimi mocarstwami w zakresie budo-



wy dróg żelaznych do Indii przez Turcję. Krzyżujące się tutaj polityczne interesy Anglii, Niemiec i Rosji nie dają możliwości normalnego rozwoju gospodarczo uzasadnionych linii kolejowych. Od roku 1856, tj. od rozpoczęcia budowy pierwszej linii kolejowej, w ciągu 62 lat różne europejskie kompanie wybudowały tylko 4.088 km dróg żelaznych. Tu należy jeszcze dodać 60 kilometrów dróg wąskotorowych. Tym sposobem Turcja do czasu wprowadzenia republiki miała 4.138 km dróg żelaznych, czyli że średnio budowano rocznie 60 km. Audańska droga np. długości 608 km była rozpoczęta w 1856 r., a ukończona została w 1912 r. — czyli budowano ją 56 lat, choć roboty prowadzili Anglicy. Najważniejsze, że wszystkie drogi były zainwestowane w zachodniej części Turcji i dochodziły tylko do Ankary. Od czasu republiki w ciągu dziesięciu lat od 1924 r. do 1933 r. wybudowano 2.072 km dróg żelaznych, tj. więcej niż po 200 km rocznie. Od 1933 do 1938 r. przez 5 lat wybudowano 963 km żelaznych dróg. Tym sposobem republika dała ojczyźnie w ciągu 15 lat 2.976 km



Ankara: Pałac Zgromadzenia Narodowego.



Nowoczesne budownictwo w Ankarze. Instytut dla dziewcząt im. İsmet Paşy.

Bosfor w blaskach księżycowej nocy.





dróg żelaznych. Budowa dróg żelaznych trwa w dalszym ciągu i z jednej strony zbliża się do Erzerumu (w stronę Rosji), z drugiej strony do Iraku i Iranu. Dzięki tym liniom wszystkie części Turcji są połączone między sobą. Irak, Iran i Kaukaz przez Turcję łączą się z Morzem Śródziemnym i z najbliższą drogą z Europy z jednej strony, a z drugiej zaś Europa zbliża się przez Turcję do tych krajów i dalej do Indii przez Morze Czarne, Turcję, Irak i Ocean Indyjski.

W obecnej chwili Turcja dwoma liniami łączy się z Morzem Czarnym, drugimi dwoma z Morzem Marmara i trzema liniami z Morzem Śródziemnym. Wszystkie te drogi budowane są przez rząd, bez cudzej pomocy i wszystkie te drogi należą do państwa.

Oprócz tego rząd turecki wykupił te wszystkie drogi, które były w rękach obcego kapitału. Obecnie państwowe drogi żelazne wynoszą 6.719 kilometrów, a prywatne 434 km. Zwrócono również ogromną uwagę na budowę szos i mostów. Do czasu republiki Turcja miała wszystkiego 18.335 km szos i to w bardzo lichym stanie. Teraz Turcja ma 339 tysięcy km szos. Do czasu republiki było w całej Turcji mostów żelaznych 105, w ciągu 14 lat rząd republiki tureckiej wybudował 84 wielkich mostów. W 1923/7/8 r. powstało nowych, wielkich mostów 45.

Otwarcie pierwszej linii lotniczej w Turcji nastąpiło w 1933 r. między Ankarą, Eskiszehir i Stambułem, a w 1934 r. między Ankarą, Kaisery i Diarbekirem.

Poza tym istnieją połączenia lotnicze między Ankarą — Irmirem, Ankarą — Adaną i Adaną — Ankarą — Diarbekirem.

## ARMIA TURECKA

Współczesna armia turecka jest w całości tworem ustroju narodowego. Wojska zwyciężonego imperium otomańskiego były rozformowane i rozbrojone przez zwycięzców. Zmęczone w wojnie trypolitańskiej (z Włochami w 1911 r.) bałkańskiej (1912/13 r.) oraz wielkiej światowej (1914 — 1918), wojska tureckie wykazały wielkie wyczerpanie, zachowując się wyłącznie siłą przestrzeganych od wieków rycerskich tradycji.

Duch armii tworzyły wspomnienia bohaterskich walk, staczanych na różnych frontach wielu części świata. Mimo nieoczekiwanych niepowodzeń i porażek z Włochami w 1911 r. i w wojnie ze zjednoczonymi narodami Półwyspu Bałkańskiego 1912 r., wspomaganymi przez Rosję, duch armii tureckiej nie załamuje się i daje potężny opór zjednoczonym siłom Anglii, Francji, Włoch i Rosji w wojnie światowej, broniąc zwysięsko do ostatniej chwili Cieśniny Dardaneelskiej.


Dowódcą wojsk tureckich w Cieśninie Dardaneelskiej był późniejszy prezydent republiki Mustafa Kemal Paşa. W okresie długoletniej obrony cieśnin poznał wyjątkowe wartości moralne żołnierza tureckiego i potęgę jego ducha. Z niewzruszoną wiarą przystępuje do reorganizacji swoich oddziałów i w stosunkowo krótkim czasie z rozbrojonej i zwyciężonej armii, tworzy nową siłę, owianą wolą zwycięstwa, gromiącą w rezultacie wojsko zwycięzców.

Traktat w Lozannie z 1923 r. jest świadectwem waleczności i hartu ducha tureckiego askiera.

Ogłoszenie republiki umożliwia postawienie reorganizacji armii tureckiej na właściwym poziomie. W ciągu 16 lat istnienia nowego ustroju modernizacja wojsk tureckich trwa ciągle i nieustannie. Budżet wojskowy na 1939 r., uchwalony przez Zgromadzenie Narodowe, wynosi więcej niż jedna trzecia ogólnego budżetu. Nie jest to wywołane wypadkami ostatnich miesięcy, a raczej akcją i dążeniem do podniesienia poziomu armii tureckiej pod względem wyposażenia technicznego do poziomu europejskich wojsk. W podstawowej pracy, poświęconej 15-letniej rocznicy istnienia republiki tureckiej, pt. „15 lat”, a wydanej w Stambule w 1938 r., znajdujemy ciekawe dane, ilustrujące osiągnięcia w tej dziedzinie.

W piechocie zupełnie zreorganizowano uzbrojenia, dając broń najnowszej typu. Artylerię zmotoryzowano, wprowadzając lekkie i ciężkie działa najnowszej typu. W kawalerii wzięto pod uwagę, oprócz nowoczesnego uzbrojenia i taktyki, warunki topograficzno-geograficznego całego kraju. Stworzono wiele formacji zmotoryzowanych, wydano zarządzenia, mające na celu wyposażenie armii w materiały bojowe oraz paliwo w wypadku wojny. Stworzono szereg laboratoriów dla badania materiałów wojennych i uzbrojenia, w których wszystkie nowe typy wprowadzane do armii są poddawane wszechstronnym próbom.

W centralnych wilajetach kraju wybudowano szereg zakładów wytwarzających broń i amunicję. Po wojnie światowej, do czasu zajęcia Stambułu przez kamelistów, turecka flota wojenna stała w Złotym Rogu, nie zdatna do użytku. Pierwszą czynnością rządu narodowego w tej dziedzinie było wybudowanie pływającego doku dla naprawy wojennych okrętów. W pobliżu Stambułu, w Gölcüik, wybudowano dok i stocznice natychmiast przystępując do remontu krążownika „Jawóz”, a w dokach Istambułu poddano remontowi krążownik „Medzidje”. Obydwa uzbrojono w artylerię no-



**Z radością idziemy  
na poszukiwanie zdjęć!**

bo nawet nowicjusz z łatwością fotografuje nowoczesnym aparatem, który równie łatwo może nabyć. Prześlemy Tobie chętnie i bezpłatnie nasz ilustrowany **Poradnik-Katalog P. X.**, którego ryciny pokazują najlepsze modele aparatów. Stary aparat możemy przyjąć na wpłatę, resztę na miesięczne spłaty.

**FOTO-GREGER POZNAŃ 3**



woczesną. W między czasie zaopatrzone „Gölciuk” w nową instalację techniczną, co umożliwiło przeprowadzenie statków wojennych „Jaszyk” i „Pejcek” oraz wybudowanie dziesięciu nowych pomocniczych jednostek. Oprócz tego obstalowano szereg wojennych jednostek morskich w krajach europejskich. W roku bieżącym morskie siły Turcji zostały wzmocnione przez cztery łodzie podwodne, z których dwie zbudowano w Niemczech, a dwie w Istambule.

W Anglii są w wykonaniu torpedowce i łodzie podwodne. By wojenne i pomocnicze okręty mogły być zbudowane w Turcji, stocznia morska „Gölciuk” rozbudowuje się silnie.

Rzuca się w oczy ogromny rozwój lotnictwa, którego dawniej nie było w ogóle. Założono specjalny inspektorat awiacji, szkołę pilotów i mechaników i stację meteorologiczną. Te szkoły rokrocznie wypuszczają po 200 pilotów i mechaników. „Tureckie Napowietrzne Towarzystwo”, mając monopol na loterię co miesiąc, zbiera dziesiątki tysięcy tureckich funtów na zakup samolotów. Towarzystwo posiada oddzielne szkoły dla kształcenia pilotów i mechaników, które co roku wypuszczają setki pilotów. Co rok wyjeżdżają do Europy oficerowie i studenci dla nauki pilotażu. Aparatów jest coraz więcej i coraz lepszych. Niektóre części aparatów przygotowuje sama Turcja. Remontowe zakłady w Eskiszeheri zostały rozszerzone i zamienione na fabrykę, która dostarcza 80% aparatów dla tureckiej armii. W mieście Kajsery, w centrum Anatolii, założona nowa fabryka zarządzana i prowadzona jest przez tureckich specjalistów. W ostatnich czasach prawie połowa aparatów jest z tej fabryki. Posiłkuje się ona surowcami tureckimi.

Tak więc turecka armia została zupełnie zmodernizowana i należy do najlepszych w Europie. Duch jej jest bardzo wysoki. W armii wprowadzono obowiązkową oświatę.

W 1926 roku liczba przeszkolonych żołnierzy, wracających do domów, równała się 17%, a w 1937 r. doszła do 77%. Żołnierze, powracając do domów, niosą ze sobą oświatę i kulturę, czym zmieniają oblicze mas. Oto dlatego armia turecka nie tylko staje się obrońcą ojczyzny, ale jest jednocześnie stróżem zdobyczy tureckiej rewolucji, a także szerzycielem kulturalnych podstaw, na których rozwija się obecna Turcja.

*Młodzież turecka: Ćwiczenia gimnastyczne dziewcząt.*

*Dziewczęta w strojach ludowych.*

*Pobudka tureckich skautów.*

*Młody Turek w dawnym stroju narodowym.*





# POLSKA A ODRODZENIE NARODOWE TURCJI

Powszechnie wiadomo, że Turcja była jedynym państwem, które nie uznawało rozbioru Polski. Do ostatnich czasów przedwojennych chroniła gmachy poselstwa polskiego i w sali przyjęć posłów zawsze było zarezerwowane krzesło dla posła polskiego. Turcja szeroko otworzyła swe wrota przed politycznymi emigrantami z Polski. Nacjonaliści polscy i biorący udział w walkach o niepodległość uważali Turcję za swoją drugą ojczyznę.

Adampol, albo, jak nazywają go Turcy, Polonez, hen na brzegu Bosforu jest istotnym pomnikiem tej epoki.

*Jakie były wpływy narodowego ruchu polskiego i walki o niepodległość Polski na środowisko tureckie i odrodzenie tureckiego nacjonalizmu?*

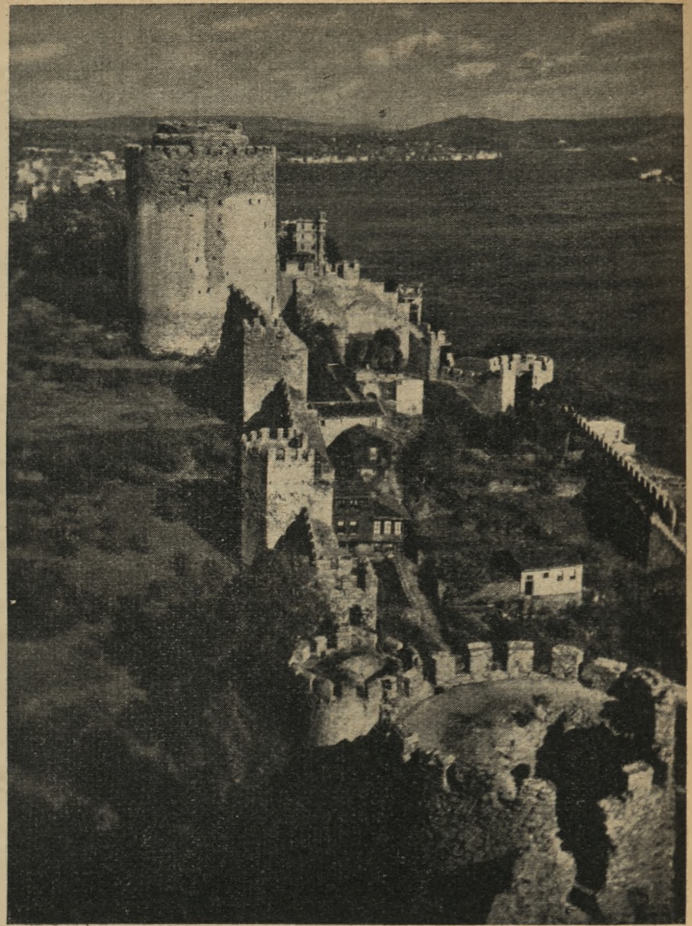
Turcja wewnętrzna i zewnętrzna przeżywała wtedy głęboki kryzys. Kongres wiedeński w r. 1815 dzieląc po raz czwarty Polskę, także Turcję uznał „poza prawem” i podlegającą również podziałowi.

Fale nacjonalizmu zmagające się szczególnie w centralnej Europie i rozsadzające cesarstwo Habsburgów, przepływały przez granicę ottomańskiego imperium i wprawiały w ruch wszystkie narody nie tureckie, ale będące w składzie tureckiego imperium, a zwłaszcza narody bałkańskie, znajdujące się pod panowaniem tureckim.

Ażeby ratować od rozpadu cesarstwo, Wysoka Porta „Baba Ali” obmyślała i inicjowała różne projekty reform. Znakomita reforma „Tanzimat” to miała na celu, ale nie zadawalniała inteligencji tureckiej. Dół społeczeństwa sam obmyślał swoje projekty i drogi. Te poszukiwania przez społeczeństwo właściwych dróg odrodzenia doprowadzą Turcję w ostateczności do najczystszej postaci nacjonalizmu, którego produktem będzie dzisiejsza zdrowa narodowa Turcja. Poszukiwania te przechodzą przez panottomanizm, uważający wszystkich poddanych za „ottomański naród”; przez „panislamizm” pragnący połączyć wszystkich muzułmanów pod władzą kalifatu, przez „panturanizm”, pretendujący do zjednoczenia wszystkich narodów, należących do rasy turańskiej, przez panturkizm, zadawalający się tylko zjednoczeniem turskich narodów (Anatolia, Azetabajdzian, Turkiestan, Idel — Ural, Krym itp.) i na



Stare nogi wielbłąda i nowy most na Eufracie.



Stara forteca Rumeli Hisar.

koniec przez turkizm, opierający się wyłącznie na miejscowym turskim elemencie.

Przechodzący przez te ważne etapy turecki nacjonalizm w swoim pierwotnym charakterze naturalnie pod wieloma względami różnił się od obecnego. Ale ruch nacjonalistyczny już był rozpoczęty i w nim widzimy zasadnicze wpływy ruchu nacjonalistycznego polskiego.

W 1865 r., w cztery lata po wstąpieniu na tron sułtaną Abdul Azisa, zawiązuje się tajna polityczna organizacja „Jeni Osmanlylar”, którą Engelhard w swej pracy pt. „Turcja a reforma” pierwszy nazywa „młodoturkami”. Jeden z założycieli tej organizacji, znakomity turecki historyk Abuzia Tefik Bej, w swym dziele, „Historii nowych młodoturków”, pisze, że na pierwszym organizacyjnym zebraniu Sub hi Pasza Zade Aja Tulloh Bej dał do rozpatrzenia dwie książki o włoskich i polskich politycznych organizacjach. Po przeczytaniu tych książek postanowiono utworzyć tajną polityczną organizację. Wyraźne wpływy są i dzieł, i wyżej wymienionych organizacji. Historyk ogólnoturckiego nacjonalizmu, prof. Jusuf Akczuza Bej, w turskim roczniku, wydanym w Istambule w 1928 r., podaje nam ciekawe szczegóły wpływów polskiego ruchu nacjonalistycznego na odrodzenie narodowe Turcji. W 1869 r. niejaki Mustafa Dżelaledin Pasza wydaje w Istambule książkę pod nazwą „Eskive jeni türkler” (Turcy starzy i młodzi). W tej książce, poświęconej sułtanowi Abdul Azzowi, powołując się na źródła polskie, rosyjskie, niemieckie autor udawadnia wielkie znaczenie narodu tureckiego w dziejach ludzkości i w tworzeniu wszechludzkiej kultury. Mustafa Dżelaledin Pasza do-



wodzi, że Turcy także są aryjczykami, jak inni Europejczycy.

Ta książka w zakresie etnologii, historii i polityki narodu tureckiego zaczyna odgrywać wielką rolę. Daje ona podstawę dla rdzennego narodu ottomańskiego. Autor ostro występuje przeciwko tym Europejczykom, którzy stwarzali teorie wyższej i niższej rasy, zaliczając Turków do ostatniej. W obronie tureckiego narodu autor idzie tak daleko, że nazywa język turecki prajęzykiem wszystkich języków kulturalnego świata.

Najważniejsze znaczenie tegoż dzieła polega na tym, że autor, zwracając się do sułtana, zwraca mu uwagę na to, że on nie jest ottomanem a Turkiem, zaś być Turkiem, to zaszczyt. W książce Mustafy Dżalaledin Paszy widzimy poruszone najważniejsze zagadnienia, które później zostały zrealizowane przez wielkiego wskrzesiciela Turcji Kemala Atatürka. Autor domaga się oczyszczenia języka tureckiego od arabskich i perskich słów, zmiany alfabetu, emancypacji kobiet, przyjęcie zachodnio-europejskiej kultury, której podstawy, zdaniem autora, tworzyli Turcy.

Przyjmując kulturę europejską, nawracają ku swojej narodowej kulturze i dowodzą, że semicka kultura przyjęta przez islam nie jest turecką kulturą. Nie można zapominać, że te słowa napisane 70 lat temu i urzeczywistnione teraz były wypowiedziane przez Polaka, ponieważ Mustafa Dżalaledin Pasza nie jest kim innym, jak Konstantym Bożeckim, urodzonym w Kleszowie w 1826 r. 10 kwietnia, który odebrał klasyczno-religijne wykształcenie w seminarium wrocławskim. Już w młodości w 1848 roku przyjmuje udział w powstaniu i po porażce emigruje do Turcji w r. 1849. Sułtan turecki specjalnym rozporządzeniem naznacza go do oddziału kartograficznego przy Sztapie Generalnym. Później otrzymuje on rangę generalską Paszy, wstępuje w związek małżeński z córką znakomitego generała Omer Paszy. Bierze udział w wojnach tureckich 1852 — 1876 roku i w ostatniej wojnie ginie za Turcję. „Wojna naszych czasów” jest jedną z ważniejszych prac tego autora. Oprócz tych dzieł napisał wiele artykułów w gazecie „Bassiat” i w Courrier d’Orient”. Historyk Ahmed Rachim uważa go za członka redakcji gazety „Basirat”.

Jego syn Enwer żyje po dziś dzień w Turcji.

Kończąc nasze rozważania na temat wzajemnych turecko-polskich wpływów w ruchach narodowych, możemy powiedzieć, że obydwaj narody odgrywają historyczną i decydującą rolę w przebiegu wydarzeń dziejowych.

Nowa Turcja i nowa Polska obecnie występują jednocześnie na arenie historycznej i wznawiają tradycyjną przyjaźń tych dwu rycerskich narodów.

Legenda o tym, że Polska powstanie wtedy, kiedy koń turecki napije się wody z Wisły, spełniła się w czasie wielkiej wojny.

Powstała jednocześnie nowa Turcja silna, narodowa, współczesna, która opiera się na tej samej co i Polska zasadzie wolności narodów. Dziś politycznie i militarnie te dwa narody stoją obok siebie, dążąc do utrwalenia pokoju i wolności.

*Turcja pełna jest cennych zabytków archeologicznych. Oto ruiny słynnego miasta Sardes.*

*Krajobraz turecki. — Malowniczy zakątek Antolii.*

*Krajobraz Turcji. — Wspaniały wodospad w pobliżu Tortum.*





# NOC NA FRONCIE ESTRAMADURY

Zamieszczone poniżej opowiadanie pochodzi od jednego z członków brygady polskiej, która walczyła na froncie hiszpańskim po stronie „czerwonych”. Był oficerem artylerii, dowodził jakiś czas baterią „polskich” dział, strzelał do Hiszpanów, Włochów i Niemców, ale najchętniej do tych ostatnich. Poznałem go niedawno w Paryżu. W jego opowiadaniu przebija pewien odcień nadzwyczajności czy nawet cudowności. Nie mam racji, by kwestionować szczerść opowiadania, jak z drugiej strony nie mam zamiaru wyrokować o „cudowności” opowiadanego zdarzenia. Ma to być tylko przykład tych głębokich przemian, jakie pod wpływem strasznej rzeczywistości hiszpańskiej wojny domowej dokonały się w niedziednej duszy.

Red.

Po tygodniu wyczerpujących szturmów mogłem zasnąć wreszcie wieczorem 17 maja 1938 r., padając jak kłoda na posłanie z liści i pęki suchej trawy, nakrytej żołnierskim kocem, w prowizorycznym namiocie połowym, rozpiętym obok starego dębu, o kilkanaście metrów od ukrytych w gęstwinie krzaków — wielkich dział ciężkiej artylerii. Chciałem wypocząć za wszelką cenę, po szarpającej nerwy walce z wrogiem od przodu i groźniejszym jeszcze wrogiem we własnych szeregach — sowieckim wywiadem G. P. U. o hiszpańskiej nazwie S. I. M. (Servicio Investigacione Militare). Ciemna noc, pod gorącym niebem Estramadury, była od czasu do czasu rozjaśniana potokami światła, uśmiechającego się zza chmur księżycy i gwiazd mrugających ku uśpionej w dolinie Valsequillo baterii.

Zaraz w pierwszej fazie tego kamiennego snu znalazłem się w swej dalekiej ojczyźnie, w swoim Cieszynie.

Była niedziela. Dzwony zwoływały wiernych do świątyni. Znalazłem się na rynku cieszyńskim, w oficerskim uniformie obcej armii, co zwracało powszechną uwagę licznych przechodniów, śpieszących do kościoła farnego. Nagle widzę pannę Irenę W., tak przez wiele lat kochaną, w towarzystwie jej matki. Idą do kościoła. Odwróciła głowę i spotkały się nasze oczy. Jej, były pełne bezbrzeżnego smutku, jakiejś prośby, czy nakazu. To były oczy tak piękne, czarne, przesmutne i łzami operlone. Zapiekł mnie gorzki wstyd. Lewicowe popędy młodości, porywy górne i tendencje ateizmu, wszystkie chwile ostatnich lat wahań i zwątpień, przemknęły przez myśli jak błyskawica. Decydowałem się krótko i idąc za popędem serca wstąpiłem do świątyni. Do ołtarza patrzył na mnie Chrystus cierpiący... — Coś się nagle przełamało we mnie... zadrżałem, schyliłem głowę, zgiąłem kolana i nagle — przebudził mnie powtarzany echem górskim głośny huk wystrzału karabinowego...

\* \* \*

To strzelił na alarm wartownik Gorgol Maks, widząc w smudze księżycowego światła, obok ukrytego pierwszego dział baterii, jakiś cień niewyraźny. Cały obóz zerwał się na nogi. Oparłem głowę na skrzynce z granatami, z palcem na cynglu pistoletu. Ogarniało mnie straszliwe zmęczenie, powieki ciążyły, jak z ołowiu, w głowie szum, w uszach oddzwaniały eksplozje granatów i bomb lotniczych.

I znów widzę wyraźnie przedziwny strumień księżycowego światła, jakąś jasność ogromną, słyszę jakiś szept tajemny, jakby ktoś mówił do mej duszy stęsknionej. Chcę powstać, otrząsnąć się z odrętwienia, czy póżnu lub wizji i poruszyć się nie mogę.

Zahartowany w bojach nie wyczuwam niebezpieczeństwa, raczej jakieś błogie uspokojenie, bezwład nieokre-

ślony. Czuję nieodpartą potrzebę odwrócenia głowy, patrzę w smugę światła, w orbitę którego wplata się ołtarz cieszyńskiej świątyni. I wtem widzę wyraźnie *jaśniejącą postać Chrystusa*. Uśmiecha się do mnie, wznosi rękę i kreśli znak krzyża nade mną. Chciałem się znów zerwać i pokonać swój bezwład, lecz poruszyć się nie mogłem. Słyszę słowa przemawiającego do mnie Chrystusa: „Synu, pełni się twoja powinność, otrzymasz szczęście i miłość po drogach błędzenia. Odwiedź mój dom w Reims, mojej Matki w Lourd, Ostrej Bramie i Jasnej Górze”. — Cudowne zjawisko znika, rozplywa się w księżycowym świetle. Nie śpię właściwie, odróżniam przecież otaczające mnie przedmioty i las oliwek, i stuletnie pnie dębów, i kroki po ścieżkach maszerującej warty. Tej nocy krótka walka rozgorzała w mej duszy, nastąpił przełom wielki, choć nieznaną drogą w niej się dokonywał. Bunt w duszy czułem już przedwczoraj, kiedy odmówiłem wypełnienia dzikiego rozkazu, przesłanego mi telefonicznie z ósmego korpusu anarcho-komunistycznego, a żądającego ostrzeliwania kościoła w Starej Panaroy, gdzie rzekomo miała się ukryć brygada kawalerii marokańskiej. Uczułem nicosć swego istnienia, ogarniający mnie spokój i czarna noc do dalszego snu spowiła mnie powijkami wszechwładnej, dobrotliwej ciszy.

\* \* \*

Nad ranem długo budzili mnie towarzysze broni, myśląc, że jestem w letargu śmiertelnym, gdy słabo uderzało serce i gdy byłem cały przemoczony od potu i łez po tym śnie-objawieniu, śnie, którego jakże realnym sprawdzianem jest moje dalsze życie.

Czuając potrzebę duchową, opowiedziałem grupce gromadzących się — o przejściach i swym śnie przedziwnym tej nocy. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zauważyłem śmiertelnie pobladłe twarze trzech najbliższych, śpiących obok mojego namiotu, stwierdzających, że mieli podobne widzenie senne. Polacy, jak: Maks Gorgol, Krzemiński Józef i Żyd komunista z Tomaszowa Mazowieckiego, Szymbach Icek, zamilkli na chwilę; przeważała jednak w ich czarnych duszach twarda szkoła sowieckiego ateizmu, zaczęli bluźnić ordynarnie, zwłaszcza ten ostatni. Dołączyli się w nienawiści i szyderstwie z moich przekonań katolickich i inni. Musiałem wysłuchać stek potwornych oskarżeń i pytań w rodzaju „po co przyjechałem do Hiszpanii, jeśli nie jestem komunistą”, i „czy nie jestem przypadkiem z polskiego wywiadu”, a Żyd o łysej czaszce, Szymbach, dodał, że, zdaniem Lenina, „kto nie z nami, to przeciw nam”. Byłem w tej chwili obcym tej gromadzie otumanionych fanatyków sowieckich, walczących pod sfałszowanymi sztandarami republiki hiszpańskiej. — Odszedłem do dział, do sprawdzania nastawień i poprawek na oznaczony cel główny w planach. Wyczulone ciągnym niebezpieczeństwem awiacji uszy, podchwyciły daleki szum motoru nieprzyjacielskiego lotnika.

Za chwilę nad baterią pojawił się włoski pilot, wyjął motorem na pełnym gazie w poszukiwaniu „polskiej” baterii, czyniącej tak wielkie spustoszenia u przeciwnika. Obserwator włoski zniżył się... wykonał aparatem „Savoia” pionowe koło do ziemi tzw. „looping”. Wiedziałem, co to znaczy, to określenie kierunku i celu, dla szukających nas od dawna licznych baterii ciężkich armat artylerii niemieckiej. Zarządzając niezbędne w tym



wypadku środki, nie myliłem się w przewidywaniach. Zza dalekich gór rozdzwoniły się echa skierowanej w nasze stanowisko artylerii przeciwnika. A wtedy musiał przemówić we mnie żołnierz polski, w tym dniu, nie mając zwykłej funkcji obserwatora artylerii na wysokich górach w pierwszej linii piechoty, lecz na funkcji oficera ogniowego i zarazem dowódcy, musiał przemówić żołnierz-strategik i Polak, pragnący ocalić życie swoich współbraci, tej setki Polaków, Ukraińców i Żydów, choć obcych politycznie, pragnący odpowiedzieć godnie swym odwiecznym wrogom niemieckim z drugiej strony okopów. Przemówiło wtedy „prawo” wojny, jeśli je tak nazwać można, „prawo” śmierci. Wtedy każdy rozumie, że jeśli nie ja ciebie, to ty mnie zamordujesz. — Było mi zresztą wszystko jedno, tyle razy nie marzyłem nawet, że wyjdę żywy z tych opręży, Opatrzność jednak zawsze czuwała nade mną. Opatrzność, której tak wyraźnie i niejednokrotnie doświadczyłem!

Przeżegnałem się, wzięłem nerwy w karby, wspominałem, jak zwykle, o ukochanej w Cieszynie, całując jej fotografię... Przed oczy nasunęło się wspomnienie widzianego dawniej pomnika paryskiego, który przedstawiał umierającego żołnierza, obejmującego z miłością ostatnim gasnącym spojrzeniem lufę swej armaty... — Nawet nie miałem czasu pomyśleć o swym sennym objawieniu ubiegłej nocy. Bez kaska, w koszulce rozpiętej na piersiach (w cieniu drzew na skwarnej Estramadurze termometr wskazywał ponad 67° C.), rozpocząłem komendę krótką odezwą do zebranej baterii: „wszyscy do dział! Jeżeli nie odpowiemy na nawałnicę ognia ciężkiej artylerii niemieckiej, upewnimy ich milczeniem, że nas trafili, a wtedy nikt z nas stąd żywy nie wyjdzie! Kto się czuje Polakiem i pragnie przemówić po polsku do szwabów w tym śmiertelnym koncercie, na swoje stanowiska! Po pierwszym strzale i poprawce, ile mocy i potęgi z armat, ile siły w polskich ramionach, ile hartu ducha i nerwów. Przemówimy językiem armat, krótko i celnie, i gwałtownie. Na salwę wroga, dwie salwy nasze! Ognia!”

Bój wrzał 40 minut. Bój, w którym żołnierze parzyli sobie ręce o rozgrzane lufy i zamki dział. Obnażeni do pasa, czarni od ognia, dymu i kurzu, oblewali się potem, lśnili w słońcu. Niemieckie granaty coraz bliżej rwały olbrzymie wyrwy ziemi, kosiły drzewa, zarośla, zapalały suche trawy na łąkach. Łoskot strzałów oddawanych zlewiał się z eksplozjami wybuchów nieprzyjacielskich pocisków.

Grzmot za grzmotem, piorun za piorunem szły z piekielnym harkotem i gwizdem w obie strony, przy akompaniamencie oddzwaniających ech górskich. Wtem olbrzymi granat kalibru 210 m/m eksplodował przy pierwszym dziale. Straszliwy huk, ogień i dym zasłonił wszystko. Uczułem uderzenie w prawą stronę twarzy. Dotykam się! Czuję — więc jestem wśród żywych. Zgarzani z twarzy błoto z czyjąś krwią zmieszane.

Obok pierwszego działa kierunkowego słysząc jęk rannych.

\* \* \*

I przypomniałem sobie senne objawienie — patrząc na olbrzymi dół i posiekane szczytki trzech bluźnierców: Gorgola, Krzemińskiego i Szymbacha. Płytko, na sztych łopatki zakopywano rozkładające się szybko ciała. — Bój się skończył. —

Wyszedłem nietknięty z niego i jeszcze cięższych walk na frontach ziemi hiszpańskiej, zlanej obficie krwią blisko półtora miliona poległych, w czym jedenastu tysięcy Polaków.

**Nadzwyczajne,  
jak piana  
się to mydło!**

Obfita piana jest najwymowniejszym dowodem wartości mydła Jeleń Schicht. Z łatwością usuwa brud z bielizny, która dzięki łagodności piany przetrwa długie lata.

**MYDŁO JELEŃ SCHICHT**

Hiszpania była dla mnie szkołą charakteru i skryształowania się ducha. Wbrew wszelkim oczekiwaniom tam odzyskałem wiarę mej matki chłopki, wiarę w Opatrzność Boską, która nigdy nikogo nie opuszcza, a jest dziś dla mnie wytyczną do pójścia drogą miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej. Jej zawdzięczam, że przeszedłszy przez bagniska życia i strumienie krwi mogę czystszy na duchu zmierzać ku wyżynom.

Były „czerwony” milicjant kończy swe opowiadanie wierszem, który zamieszczamy poniżej:

*Kiedy świat napięty w wojennej pożodze,  
kiedy krzyż się odnawia Męki wiekuistej,  
ja... w paryskiej świątyni proszę Cię, o Chryste,  
ku Tobie schodzę.*

*Proszę Cię, o Chryste, o powrót do kraju,  
byni mógł Prawdę, Miłość rozkrzewiać wśród ludu,  
kiedyś mi doświadczył w ukwieconym maju,  
w Hiszpanii cudu.*

*Kiedym po raz siódmy szedł na rozstrzelanie  
z więzienia Walencji, pod mur krwią zbrzyzany,  
wysłuchałeś, Chryste, Boże krzyżowany  
moje wezwanie!...*

*Z góry Monte Negro nie myślałem ucale,  
że powrócę żywy z batalionów śmierci,  
Tyś mnie spośród stosu padłych w boju wskrzesił,  
Twój Krzyż ocalił!*

*To Tyś mnie ochronił na drogach błędzenia  
i w ogniu morderczych frontów Twoje Imię  
było dla mnie tarczą. Niech po wieki słynie,  
wszystkich ostania!*

*Chociaż się zawiódłem nieraz gorzko srodcze,  
choć w mojej duszy bywał cień głęboki,  
dzisiaj Ciebie sercem czuję na swej drodze,  
słyszę Twe kroki.*

*Kiedym Ciebie ujrzał w na pół śnie czy zjawie  
przy swojej baterii na Estramadurze,  
wiem, żeś był, o Chryste, mym Aniołem-Stróżem,  
Wyrocznią prawie.*

*Ześlij pokój ludziom, szczęście, pojednanie,  
niech dla wszystkich radość, jak dla mnie zagości,  
niech wśród nas Opieka Twoja nie ustanie, Królu Miłości!*



# SPRAWY RODZINY

## PZYROST NATURALNY W ŚWIETLE STOSUNKÓW WYZNANIOWYCH

Ostatnie alarmujące artykuły, które pojawiły się w szeregu organów prasy warszawskiej, zwróciły uwagę na przerażający fakt wymierania naszego narodu. Wprawdzie sytuacja u nas w Polsce wciąż jest jeszcze lepsza, niż w innych krajach europejskich, sprawy to jednak o tyle nie zmienia, że wciśnięci między dwa ogromne swą liczebnością bloki, oprzeć się skutecznie presji tych kleszczy tylko wówczas potrafimy, jeżeli przeciwstawimy większym cyfrom liczebności bezwzględnej — większe cyfry liczebności grup młodszych. Ów słynny już „wyścik kołysek” rozumiem w ten sposób, że — jak się wyraził jeden z autorów, biorących udział w dyskusji — grupa młodzieży — a więc grupa praca ku przyszłości — przekraczać będzie w narodzie liczebnością grupę ojców, chwalać czas obecny — oraz grupę dziadków — żyjących przeszłością.

Otóż — o ile w tej chwili stan jest jeszcze bardzo dobry (30% ludności to dzieci do lat piętnastu) — wciąż malejące cyfry przyrostu naturalnego grożą, że za lat dziesięć najdalej staniemy wobec niebezpieczeństwa utracenia naszego prymatu „młodzieżowego”. Weźmy cyfry przyrostu naturalnego (na tysiąc micszkańców):

1930	rok	17,0
1931	„	14,7
1932	„	13,8
1933	„	12,3
1934	„	12,1
1935	„	12,1
1936	„	12,0
1937	„	10,9
1938	„	10,7
ostatni kwartał 1938	„	9,2

Cyfry te wykazują stałą tendencję malejącą. Czym ją sobie wytłumaczyć? Nie chcę tu mówić o dostatecznie już chyba omówionej i skrytykowanej propagandzie życia ułatwionego, o nagminnie panującej tendencji spędzania płodu, o bezkarnie i szeroko reklamowanych środkach antykoncepcyjnych i wreszcie o postawie, którą za przykładem demagogicznych teoretyków przyjmują coraz szersze rzesze społeczeństwa polskiego.

Powiadam: nie chcę tu o tym mówić. Sprawa jest, jeżeli chodzi o te kwestie, dostatecznie jasna. Z naszej strony — ze strony społeczeństwa — zrobiono już bardzo dużo, piętnując przy poparciu cyfr i wykazów fatalne skutki tych praktyk oraz hasel. Obecnie czas jest na wystąpienie organów kompetentnych, które winny się zdecydowanie przeciwstawić zarówno samym faktom — jakimi są niedozwolone zabiegi, propaganda właściwych specyfików i stałe jątrzenie namiętności przez odpowiednie wydawnictwa, książki, fotografie — jak i aktom propagandy, kwalifikując wystąpienia nazywające „piekłem kobiet” naturalne procesy — i obowiązki każdej kobiety jako działalność na szkodę państwa.

Wydaje mi się jednak niesłusznym przerzucanie całego ciężaru zagadnienia na płaszczyznę dobrej czy złej woli poszczególnych jednostek. Niezależnie od czynników pierwszorzędnych są także i inne, wywierające w swym zespole efekt wcale nie najmniejszy. Czynnikiem tym także trzeba się będzie przeciwstawić, choć pochodzą z innego zupełnie źródła.

Przede wszystkim zdrowie. Rok 1930 był ostatnim rokiem wielkiej płodności. Dzieci zrodzone w tym okresie pochodziły od rodziców urodzonych pomiędzy 1900 a 1909 rokiem, a więc ludzi, na których zdrowiu wielka wojna nie mogła tak silnie zaważyć, ponieważ w momencie jej wybuchu mieli kilka lub kilkanaście lat. Poczynając od 1930 roku aż do chwili obecnej przychodzi na świat potomstwo „dzieci wojny”, a więc rodziców, urodzonych między 1910 a 1918 r. Pamiętamy doskonale to pokolenie niedokarmione, gorączkujące w niemowlęctwie, prawie zawsze pozbawione pokarmu naturalnego, nie oglądające w pierwszych latach dzieciństwa, ani prawdziwego mleka, ani prawdziwego tłuszczu. Ludzie zrodzeni lub wzrosli w czasach wielkiej wojny nie mogą z kolei rzeczy być płodnymi rodzicami, zwłaszcza że moment zakładania przez nich własnych rodzin zbiegł się z okresem silnej depresji gospodarczej. Niedługie stosunkowo lata „prosperity” nie mogły poprawić stanu zdrowia. Kobieta niedokarmiona jako dziecko i znajdująca się w trudnych warunkach finansowych — a tym samym i żywnościowych — w czasie, gdy jej własne życie wymagało od niej maksimum wysiłku (wyższe wykształcenie, praca zawodowa) jest fizycznie fatalnym materiałem na matkę. W takich warunkach każdy poród pociąga za sobą kilka lat przymusowego odpoczynku, a nie rzadko i kurację, konieczną do osiągnięcia zupełnego zdrowia.

Idźmy dalej. Wielki kryzys pozbawił tysięcy ludzi podstaw egzystencji, a znalezienie, nawet przy najlepszych kwalifikacjach, posady było rzeczą niezmiernie trudną, toteż małżeństwa, zawierane w tym okresie, nie miały realnych podstaw, uzależnione będąc od pracy zawodowej obydwóch stron lub pomocy finansowej rodziców. Takie przewidywanie małżeńskie, odkładając sprawę dzieci do „lepszyc czasów” (czemu zresztą trudno się dziwić), jeżeli nawet nie przeciwstawiało się moralności chrześcijańskiej, opierając swe współzycie na metodzie Ogino-Knausa, było zawsze elementem pewnej demoralizacji, zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej. Stawiam wyraz „demoralizacja” z pewną obawą, aby nie być źle zrozumianym. Małżeństwa te były i są nieraz bardzo wartościowe, a trudno zaprzeczyć, że oprócz celów zrodzenia i wychowania potomstwa małżeństwo ma za cel także wzajemną pomoc oraz usprawiedliwione zaspokojenie potrzeb cielesnych. Ale małżeństwo, żyjące „kątem”, czy też na „garnuszku” rodziców, jest instytucją pozornie realizującą hasła tych jednostek, które własną wygodę stawiają ponad obowiązek społeczny i dlatego stają się mimowolnie materiałem dla propagandy życia ułatwionego.

Aczkolwiek potomstwo jest pierwszym i głównym celem małżeństwa, sam związek zawarty zostaje przede wszystkim pod wpływem wzajemnej ku sobie inklinacji dwojga ludzi. W normalnych warunkach sprawa dzieci — jeżeli już nawet nie wynika automatycznie z istoty związku — pojawić się musi jako końcowe dopełnienie i rozwinięcie form współzycia. W warunkach, zaznaczam, normalnych. Ale życie małżeńskie w wypadku, gdy obie strony pracują, nie mają często własnego domu,







ności prawosławnej, z przyrostem naturalnym 13,5 pro mille oraz 3,5 mil. Żydów, z przyrostem naturalnym 7 pro mille. Pozornie wygląda w ten sposób, że na terenie wsi większy przyrost niż katolicy mają prawosławni, zaś na terenie miast — większy przyrost niż katolicy — Żydzi. Co do Żydów, spostrzeżenie to jest, jak sądzić, niestety, słuszne, natomiast mówiąc o ludności prawosławnej, nie powinniśmy zapominać, że mieszka ona prawie wyłącznie na wsi, natomiast z ludności katolickiej na wsi zamieszkuje tylko 16 mil. Z prostego rachunku wynika, że część wiejskiej ludności katolickiej, aby móc swoją płodnością wynagrodzić straty, spowodowane przez mały przyrost w miastach, musi mieć przyrost naturalny, nie 11, ale 14,5. Jest to więc przyrost w Polsce największy wskazujący na dynamikę decydującej i głównej grupy ludnościowej w Polsce.

Na tym buduje swoją hipotezę o możliwości uzdrowienia stosunków ludnościowych w Polsce poprzez uzdrowienie stosunków wiejskich. Czynniki, na których się opieram, to wewnętrzna prężność nieskażonej części narodu polskiego oraz wyznanie katolickie, związane z polskością. Katolicyzm jest religią narodów młodych,

ponieważ obdarza je darem wiecznego odradzania się — w strumieniach Łąski. Toteż nie bez powodu wprowadziłem do rachunku czynnik religii. Wykazuje on właśnie, że choć cyfry ogólne wykazują spadek liczby urodzeń — trzon narodu jest wciąż jeszcze nienaruszony, mocny, zdolny w pomyślnych dla siebie warunkach wytworzyć sytuację bardziej dla spraw narodowych korzystną.

Uwagi, które powyżej zestawiłem, nie płyną z chęci wyczerpania zagadnienia. Problem jest dostatecznie głęboki, aby zainteresować cały zastęp specjalistów. Ja zaś zabierając głos w tej sprawie chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że obok fatalnej w skutkach propagandy tego, cośmy przywykli nazywać mianem życia ułatwionego, życia hedonistycznego — istnieją także inne powody, wywołujące spadek polskiego przyrostu naturalnego, powody, które usunąć będziemy mogli i które niewątpliwie usuniemy, jeżeli tylko będziemy je sobie dostatecznie jasno uświadamiać, a których usunięcie pozwoli nam przyspieszyć chwilę wkroczenia narodu w epokę życia heroicznego, odznaczającego się dynamiką wewnętrzną i rozrostem potęgi.

*Jan Dobraczyński.*

## KRONIKA SPRAW RODZINNYCH

### W POLSCE

Główny Urząd Statystyczny ogłosił w „Wiadomościach Statystycznych” tymczasowe dane, dotyczące ruchu naturalnego ludności w czwartym kwartale ubiegłego roku oraz za cały 1938 rok zestawione porównawczo z danymi za rok 1937.

Według tych danych w roku ubiegłym zarejestrowano w Polsce 278.713 małżeństw, 849.873 urodzenia żywe, 479.602 zgony, w tym 118.798 zgonów niemowląt. Przyrost naturalny ludności, który otrzymuje się przez odjęcie liczby zgonów od liczby urodzeń wyniósł w 1938 roku — 370.271. W porównaniu z rokiem 1937, w roku 1938 zarejestrowano o 3.153 więcej małżeństw, zaś o 6.181 mniej urodzeń i 1.992 mniej zgonów.

Spadek liczby urodzeń zanotowano w woj. lubelskim, poleskim, wołyńskim, krakowskim, lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim. Przyrost naturalny w roku 1938 zmniejszył się o 4.199 osób w porównaniu z poprzednim rokiem 1937.

W przeliczeniu na 1.000 mieszkańców przypadło w roku 1938 małżeństw 8,0 (to samo w r. 1937), urodzeń 24,5 (24,9 w r. 1937), zgonów 13,9 (14,0 w r. 1937) i przyrostu naturalnego 10,7 (10,9 w r. 1937). Rok 1938 przyniósł więc dalsze niewielkie zmniejszenie przyrostu naturalnego w Polsce.

Po doliczeniu przyrostu naturalnego za rok ubiegły i odjęciu strat emigracyjnych za ten rok otrzymujemy, iż ludność Polski na 1 stycznia 1939 r. wynosiła 34.849 tysięcy osób w granicach sprzed października 1938 r., łącznie zaś z ziemiami odzyskanymi w roku 1938 — 35.090 tysięcy osób.

Liczba zgonów niemowląt obliczona na 100 urodzeń żywych wyniosła w roku 1938 — 14,0 w porównaniu z 13,6 w roku 1937.

\* \* \*

Rodzinne sprawy naszego nauczycielstwa szkół powszechnych są wielkiej wagi dla całego społeczeństwa.

Zdrowe, rodzinne stosunki naszych wychowawców są niezbędnym czynnikiem wychowawczym naszej młodzieży.

Dyrektor biura personalnego w ministerium oświaty, p. Wojciech Przybyłowicz, zawiadomił państwową Radę oświecenia publicznego w dniu 24 listopada 1936 r., iż w ciągu wakacji i jesieni roku 1936 dokonano przeniesień 1.088 osób w celu połączenia małżeństw. W dniu 1 listopada 1936 r. pozostało jeszcze 655 osób z małżeństw nauczycielskich, oczekujących na przeniesienie oraz 878 nauczycielek-mężatek, których mężowie nie są nauczycielami, a które czynią starania o przeniesienie ich do miejsca zamieszkania mężów.

W rok później (1937)łączono 800 małżeństw tzw. nauczycielskich, tj. tych, w których oboje małżonkowie są nauczycielami i 654 małżeństw, w których jedno z małżonków jest nauczycielem.

W dniu 30 listopada 1938 r. przedstawił p. dyr. Przybyłowicz następujące dane. W tym roku łączono 691 małżeństw tzw. nauczycielskich oraz 642 małżeństw, w których jedno z małżonków jest nauczycielem. Stara się o połączenie 725 małżeństw „nauczycielskich” oraz 945 małżeństw, w których jedno z małżonków jest nauczycielem.

Jak wywodzi „Nauczyciel Polski” (z 15 kwietnia br.) jest to jedna z ważniejszych przyczyn przenosin dobrowolnych. Drugą przyczyną jest chęć przeniesienia się do miast, gdzie są szkoły wyżej zorganizowane lub też średnie, zawodowe i wyższe. Trzecią zaś przyczyną jest chęć powrotu do stron rodzinnych oraz chęć powrotu do miast tych nauczycieli, którzy na wieś poszli z musu. Spośród urodzonych w miastach nauczycieli — urodziło się ich w miastach 11.533 — pracuje na wsi 7.069, spośród nauczycielek urodzonych w miastach — urodziło się ich 25.061 — pracuje na wsi kobiet 14.868. Razem tedy 21.937 mieszczan pracuje w ośrodkach wiejskich.

\* \* \*

„Łącznik Rodzinny”, organ Związku rodowego Janotów-Bzowskich, wychodzący w Warszawie pod redakcją naszego wybitnego działacza, p. Józefa Janoty-Bzowskiego — a o którym pisaliśmy już nieraz — w ostatnim numerze czyni przegląd związków rodowych w Polsce.

Przegląd ten dociera w daleką przeszłość, gdyż pierwszy znany dotąd związek rodowy w Polsce, istniejącej



dotąd rodziny Odrowążów-Pieniążków, datuje powstanie pierwszego swego statutu na rok 1231.

W dobie dzisiejszej p. Janota-Bzowski zdołał nawiązać kontakt i zgromadzić statuty związków następujących:

Butlerów i spokrewnionych rodzin, Janotów Bzowskich, Chełmickich h. Nałęcz, rodziny Henryka i Marii z Rutkowskich małż. Ciechomskich, Czapskich h. Leliwa, przydomku Hutten, hr. Godziembów z Lubrańca Dąbskich, Brochwicz-Domirskich, rodziny Stanisława i Józefy Drzewieckich, Dieduszyckich, Syrokowlów z Grabowa, hr. Grocholskich, Jabłkowskich, Nowina-Konopków, Kozłowskich h. Jastrzębiec-Boleścic, dawnego rodu S. I. R. Św. Państwa Rzeczymskiego, hr z Siecina Krasickich, Lilpopów, Lipkowskich, Łempickich, Łubieńskich h. Pomian, szlachetnego rodu Olszowskich h. Prus II, Odrowążów-Pieniążków z Iwanowic-Rydzewa i Kruźlowy, Podhorskich, Pogonowskich, Rostworowskich, pochodzących od Jana Wiktoryna Rostworowskiego h. Nałęcz, Stojanowskich z Kobyłówek, Szumanów, Wernerów i Zamoyskich.

Nadto jest w trakcie starania się o statuty związków, obejmujących rodziny.

Boskich, Cieńskich, Chłapowskich, hr. Mycielskich, ks. Lubomirskich, Milewskich, hr. Platerów, Wańkowieców, Wielowiejskich i hr. Żółtowskich.

Sygnalizuje jeszcze istnienie związków:

Potworowskich, hr. Skórzewskich, Moszczeńskich, Wysogota-Zakrzewskich i innych. Niewątpliwie inne jeszcze istnieją i dadzą znak życia o sobie. W niektórych rodzinach, jak Belina-Prażmowskich, Sas-Jaworskich, ks. Radziwiłłów i innych, zapoczątkowano tworzenie związków, ale dotychczas, z rozmaitych przyczyn — bez wyników.

Przechowywanie pięknych tradycji rodzinnych, utrzymanie więzi rodzinnej, wzajemna pomoc w rodzinie — taką jest treść wszystkich, bez wyjątku statutów. Niektóre mówią więcej. Mówią o oddziaływaniu religijnym i moralnym, o służbie Ojczyźnie i Bogu, wyrażającej się w pracy patriotycznej i społecznej. W ten sposób stają się związki rodowe czynnikiem ważnym w strukturze narodu i państwa, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że obejmują one swą działalnością wszystkie warstwy narodu. Potęgą stają się w oczach naszych, gdy dołączymy do nich nieco odmienny organizacynie, ale duchowo bliski, wielki związek szlachty zagrodowej.

Kultura rodzin szerokich warstw społecznych stanowi o rzetelnej kulturze narodowej.

## NA SZEROKIM ŚWIECIE

Otrzymaliśmy szereg zaproszeń na kongresy narodowe i międzynarodowe z zagranicy.

Sezon letni jest bowiem najodpowiedniejszym czasem na zjazdy — jest po prostu sezonem kongresów i wystaw.

Poważnego znaczenia kongres pt. „Matka w Rodzinie” odbył się we Francji w Lille od dnia 20 do 24 czerwca.

Od ostatniego Międzynarodowego Kongresu: „Matka w Rodzinie” w czerwcu roku 1937, uczyniono w wielu krajach poważne wysiłki dla dobra rodziny, dla umożliwienia matce umiejętnego spełniania jej zadań macierzyńskich.

Kierowniczka ruchu pod nazwą: „Matka w Rodzinie”, p. Butillard, przysłała nam program zjazdu, w którym, między wieloma sprawozdawczymi referatami, na pierwsze miejsce wysuwa się referat ogólny pt. „Jak

pokierować wysiłkami, aby uwzględniając potrzeby gospodarcze, społeczne i moralne rodzin matka mogła dobrze wypełniać swoje zadania macierzyńskie”.

\* \* \*

W Liège w Belgii w czasie „Międzynarodowej Technicznej Wystawy Wody” odbyć się ma 27 kongresów, konferencji, konkursów, będzie też piętnastodniowy międzynarodowy zjazd rolniczy, gospodarczy i rodzinny, od dnia 27 sierpnia do 10 września 1939 roku.

Wszystkie te kongresy, zjazdy konkursy i sama wystawa bardzo blisko nas obchodzą ze względu na instytucję rodziny.

\* \* \*

Dobrze jest, gdy „Międzynarodowa Komisja Wychowania Rodzinnego” zbiera się jak najczęściej.

Toteż korzystamy z każdej okazji, aby takie zjazdy organizować. Zarząd komisji (w skład którego wchodzi z Polski niżej podpisana) zwołuje zjazd komisji do Liège w dniach od 1 — 2 września hr. Zjazd ten jest tym ważniejszy, że zbiega się z rocznicą czterdziestolecia założenia „Belgijskiej Ligi Wychowania Rodzinnego”.

Program zjazdu przewiduje między innymi: uroczysty obchód 40-lecia „Belgijskiej Ligi Wychowania Rodzinnego”, sprawozdanie z jej działalności (p. Renault) i odczyt pt. „Poradnie wychowawcze dla rodziców” — prof. Nihard.

Zebrań Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego:

1. Sprawozdanie z jej działalności.
2. Przygotowanie Międzynarodowego Kongresu Wychowania w Rzymie w r. 1942 — panna Ferrari.
3. „Eksperymentalne doświadczenia nad doskonałością charakteru” — prof. Braunshausen.

Zjazd odbywać się będzie w wielkiej auli Uniwersytetu.

\* \* \*

Wielkiej wagi będzie „Międzynarodowy Kongres Pedagogiczny”, organizowany przez „Belgijską Ligę Nauczania”, a poświęcony jakże bardzo aktualnemu zagadnieniu osobowości ludzkiej!

Tytuł kongresu brzmi: „Budzenie i rozwijanie osobowości ludzkiej w dziecku i młodzieńcu”.

Kongres ma się odbyć najprzód w Brukseli w dniach od 23 — do 29 lipca 1939 roku, później w Liège 30 lipca 1939 roku.

Ze względu na często poruszany powyższy temat na kongresach poprzednich przez niżej podpisaną, została ona zaproszoną do grona referentów.

\* \* \*

We wszystkich powyższych, kongresach i wystawie Polska postara się w zakresie swych możliwości wziąć czynny udział.

Zofia Jankowska.





# ROZMOWY Z MŁODSZĄ SIOSTRĄ I BRATEM

Wciąż przybywają nowi korespondenci do naszego grona. Dowodzi to, jak potrzebne były te „Rozmowy”, pozwalające wypowiedzieć się swobodnie „obu stronom”. Podkreśla to niemal każdy list.

Pisze na przykład „Czarnula” z Rogoźna: „Już od dawna czytałam i analizowałam pytania i odpowiedzi zamieszczane w dziale „Rozmów”, które naprawdę dużo dają, a zarazem też wiele uczą. *Gdy człowiek obraca się ciągle w jednym i tym samym towarzystwie, siłą rzeczy słyszy zawsze te same zdania i zapatrywania. Na łamach zaś „Rodziny” poznałam, jak myślą ludzie wszędzie na naszej polskiej ziemi*”.

Rzeczywiście, zauważcie, że w naszych „Rozmowach” zabiera głos młodzież z całej Polski i to zarówno szkolna lub akademicka, jak mniej wykształcona, bez matury, pracująca już na siebie i jeszcze nie mająca zawodu. *Młoda Polska nie uznaje podziału na „inteligencję” i „lud pracujący”*. Nareszcie dochodzimy do tego, że znikają podziały, potworzone przez snobów i nowobogackich, tak, jak dawniej tworzyły je błakające się po Polsce widma stanowości. Kiedy się jeździ po kraju i widzi, jakie ogromne pola przeorały już organizacje społeczno-oświatowe, podnosząc kulturę powszechną — serce w człowieku rośnie. Kiedy zwalimy ostatnie odgraniczenia, spowodowane brakiem wykształcenia i wszyscy będą mieli mniej więcej jednakowy poziom przeciętny, od którego będą tylko wzrosły w górę ludzi wybitnie uzdolnionych, przegoniśmy Danię i Szwecję. A o ileż łatwiej było tym narodom rozwijać swoją kulturę, niż nam, co ledwie od 20 lat możemy budować Polskę.

I pomyślcie, Braciszku mili, że to, co ma ścisły związek z kulturą narodu: *obyczaje w życiu codziennym stosowane — to właśnie Wy razem z młodzieżą żeńską tworzyście*. Od cnót — jak dawniej słusznie w Polsce mawiano — codziennych zależy ogólny poziom obyczajów. I cała tajemnica leży w tym, żeby te dobre obyczaje krzewić z taką pewnością siebie, by użytkować wpływ na ludzi o słabych charakterach, którzy zawsze ulegają silniejszemu, o zdecydowanych przekonaniach. Niechże ulegają sile dobra!

## WZAJEMNE ODDZIAŁYWANIE

Nasza „Czarnula” nadesłała odpowiedź Józefowi Pankanowi (patrz nr majowy „Rodziny”), pisząc w dalszym ciągu swego listu: „Jako absolwentka gimnazjum koedukacyjnego z całą przyjemnością przeczytałam słowa J. P., ponieważ sama przeżyłam między kolegami dużo chwil i miłych, i przykrych, które mnie nauczyły, jak postępować należy, a jak nie. Cieszę się, że jednak odezwał się jakiś głos w duszy męskiej, który nakazuje i dyktuje szacunek i właściwe traktowanie koleżanek i innych dziewczynek. Wierzę, że J. P. pisał ze szczerego przekonania, że szanując koleżankę, szanuje w niej i kobietę, której ten szacunek się należy. Oby wielu znalazło się jemu podobnych!”

„Czarnula” dość pesymistycznie zapatruje się na możliwość poprawy zepsutych chłopców, dowodząc, że dziewczęta, „nawet jeśli któraś raz potknie się lub przez złe towarzystwo, czy też złą lekturę, straci dobre cechy — napomniona uznaje swą winę, potrafi się przełamać i zwyciężyć złe skłonności. A chłopcy? Im „duma

męska” nie pozwala przyjąć uwag ani od rodziców, ani od przyjaciół. Brną w złym uporze, który nazywają — niewiadomo dlaczego — silną wolą”.

Sądzić można, że „Czarnula” czyni tu uogólnienie niesłuszne, wysnuwając regułę z obserwacji nielicznych. Bo jednak są i przeciwne fakty, droga Siostrzyczko. Upór, tzw. „kobiecy upór”, pycha, no i... nieraz zasmakowanie w złym towarzystwie tak samo trudne jest do wykorzenia u dziewcząt. Mogę Ci zacytować taki fakt.

Chłopiec jest bez zarzutu pod względem obyczajów: nie pije, nie pali, w karty nie gra, po dancinгах się nie włóczy, uprawia sporty i muzykę w wolnych chwilach, tancerz zawołany, wesoły, grzeczny, chociaż i zabijającą być potrafi, gdy chodzi o to, by nie dać sobie w kaszę dmuchać. Dziewczyna ładna, dobrze tańcząca, ale o wąskich horyzontach myślowych, umyślem mu nie dorównywa, ale cóż — serce nie sługa — chłopak zakochał się. I kiedy zaczął bywać u jej rodziców i z nią w towarzystwie, przekonał się, że ona i pić lubi i palić, nie wybredza w towarzystwie chłopców, byle dudek znany z „flirtowania”, jeśli dobrze ubrany i ładnie tańczy, potrafi ją pociągnąć do każdej restauracji z dancinğim. I nasz chłopiec spotkał ją raz i drugi w nocy w towarzystwie właśnie bardzo nieodpowiedniej młodzieży wracającą do domu w „szampańskim” humorze, czyli, jak się to mówi, zlekka „zagazowaną”. No i robi się to tragedia. Jedna rozmowa, druga. Dziewczyna przysięga, że się poprawi, że ona bez niego żyć nie może. Gdzie tam! Nie upłynęło miesiąca powtarza się cała historia. Zerwał z nią. Wtedy ona zaczęła go przesładować, czatować na ulicach, pisać, że ona bez niego stoczy się, zepsuje zupełnie. Znow więc próbował uzyskać na nią jakiś wpływ, podtrzymać w woli poprawy. Musiał jednak wyjechać na parę tygodni. No i po powrocie dowiedział się od przyjaciół, że dziewczyna nic z obietnic nie dotrzymała.

## PYTANIE DO Dyskusji

Jak myślisz, „Czarnulo”, czy ten chłopiec miał się poświęcić dalej, pozwalać sobie szarpać nerwy, by rzekomo ratować tę dziewczynę? A zaznaczam, że był jeszcze za młody i nie miał finansowych możliwości ożenienia się rychło.

*A może na to pytanie odpowiedzą i inni z naszej gromady?*

## LIST „EDWARDA” NASZYM SIOSTRZYCKOM W ODPOWIEDZI

Cytujemy go z małymi tylko streszczeniami:

„Pisze p. Irena z Chełma tak: Otóż gdyby oni (tzn. mężczyźni) nie zwracali tyle uwagi na wygląd zewnętrzny dziewcząt, malowaną buzię...” itd. Panna Terka znowu: „...imponują im lalki, napudrowane buzie, wysokie obcasy...” itd.

## „TYNKOWANIE”, SZYK i UWIELBIENIE

Mnie się zdaje, że obie Panie się mylą. Przecież teraz najbardziej wszyscy kpią właśnie z tych napudrowanych buziaków i pretensjonalnych pogoni za modą. Trudno zatem uwierzyć, aby ktoś wołał tzw. „tynkowaną” pannę, niż normalną „bez tyнку”. Gdy któraś z Pań, niedoświadczona i — przepraszam — niemądra „usmaru-

je” sobie nosek, to jest tylko śmieszna, nigdy „zachwycająca”.

Moim zdaniem, zupełnie co innego stanowi tzw. *szyk kobiety*. Żadna zaś z Pań nie zaprzeczy, że szyk potrzebny jest każdemu, a kobiecie w szczególności. Jeśli zaś mężczyźni lubią szyk, to za złe brać im tego nie można.

Baśkę z Katowic pytam, czy aby nie nadużywamy słownika, np. „dziewczynkom imponuje to, że są otoczone, uwielbiane”. Moim zdaniem, *nie jest to uwielbianie, tylko schlebienie próżności kobiecej*. Nic dziwnego, że potem taki pochlebca śmieje się!

A czyż wy, kobiety, jeśli to samo czynicie (a jak często!) nie śmiejecie się potem z naiwności tego, który Wam uwierzy?

## SAMOTNOŚĆ

Pisze Pani o osamotnieniu. Prawda, samotność jest przykra, nudna, często gorzka, a niekiedy i tragiczna. Mnie się zdaje, że akcja „Rodziny Polskiej” i tych, którzy pragną zerwać z pływacznią życia tak zewnętrzного, jak wewnętrzного, da rezultaty — a wtedy te (i ci) dobre w gruncie i pełne szlachetnych porywów zatracą niezdecydowanie i chwiejność, a staną się pełnowartościowymi ludźmi (w całym tego słowa znaczeniu), wśród których ocena mody, szminek, wysokich obcasów i pajęczych pończoszek będzie podporządkowana przesłankom intelektualnym i zasadom moralnym.

## PIĘKNO I AMATORZY JEGO IMITACJI

Co się tyczy rozgoryczenia panny Terki, to współczuję, ale nie mogę się zgodzić z fałszywym (moim zdaniem) naświetleniem faktów. Przecież zamiłowania piękna, jako takiego, nie można potępiać. Jeżeli ktoś uwydatnia je, podkreśla (byle nie szminką), wyciąga na światło dzienne — to chyba ma zasługę? Pani zaś (tak mi się zdaje) ma na myśli piękno fałszowane i — dlatego są takie zgrzyty. Taki zaś, który woli imitację, nigdy dobrze nie oceni prawdziwego piękna. Nie należy mu złorzeczyć, ale mieć odrobinę wyrozumienia i żałować go (z racji ślepoty)... Pod pięknem zewnętrznym zawsze poszukuje się piękna wewnętrznego — szlachetności. Jest ono (powiedzmy, Braciszku: może być — dop. Starszego Brata) i w sposobie ubierania się (gust i szyk), jest i w stosunkach towarzyskich, koleżeńskich, przyjacielskich, jest w słowie żywym i w słowie pisanym.

Wytwórnia Fartuchów

szkolnych, biurowych i roboczych

F. ANDZIAK

Warszawa, ul. Złota 16 m 7

Tel. 6-19-62

HURT DETAL



## „NIEDYSPOZYCJA” HUMORU? — WIĘCEJ INICJATYWY

No i „ciężki” zarzut: — „Jesteście ciężcy” — pisze p. Marynia. — Jeżeli ciężar dowcipu wchodzi w grę, to podobno na to nie ma lekarstwa (można spróbować, czytać „Muchę” lub wycinki ze „Słowa” Wella). Jeżeli ciężar ów u mężczyzny wywołany jest chwilową „handrą”, to zarzut traci swoje ostrze... Że ktoś jest upośledzony, a więc to nie wszyscy, albo też chwilowa niedyspozycja humoru — więc to nie zasada. Jeżeli zaś ani pierwsze, ani drugie, to na pewno zetknęły się dwie osobowości, nie mogące chwilowo znaleźć wspólnego porozumienia płaszczyzny. Inicjatywa należy zatem do tego, kto ma więcej sprytu.

Pisze Pani, że „życie nie może być oparte na filozoficznych dysputach” — zgoda, ale nie wyrzucamy z naszego humoru pewnej głębszej myśli i form, nie zatracamy poczucia znaczeniowego wyrazów i niech każde słowo ma swą pełną wartość. Niech piękno — naprawdę będzie ideałem, a nie frazesem pustym, dobro zaś niech cechuje nasze postępowanie, a wtedy miłość — ta najwznioślejsza, tak sponiewierana i zbezczeszczone w czasach obecnych stanie się prawdą i opromieni życie ludzkie.

## PROŚBA DO NACZELNEGO REDAKTORA

„Edward” prosi o dokładniejsze skreślenie charakterystyki ruchu „wrońskistów” szkoły filozoficznej, na której usługach stoi pismo „Zet” oraz rocznik „Wrońska-ina”. Pyta, jaki jest stosunek Kościół do tego ruchu oraz do dzieł Wrońskiego?

## I ZAPYTANIE DO KOLEGÓW

Jednocześnie zapytuje, czy pośród gromady naszych „Rozmówców” nie ma kogo

interesującego się tym ruchem, gdyż chciałby z takim kolegą nawiązać korespondencję. Adres w redakcji.

Starszy Brat zaś pyta powtórnie, kto z kim chce korespondować, bo redakcja nie wie, komu pozwalacie udzielić swych adresów.

Starszy Brat.

## ODPOWIEDŹ NA KŁOPOTLIWE PYTANIE EDWARDA

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytania Edwarda. Dokładniejsza charakterystyka ruchu „wrońskistów”... Tymczasowo mogę dać tylko niedokładną... Wrońscy, to zaci ni ideowi panowie, którzy pragną kulturę Polski uwolnić od obcych, błędnych i szkodliwych a niestety, silnych wpływów masonerii, żydostwa, materializmu i całego szeregu innych „izmów”. Starają się jak mogą walczyć również z powszechnie prawie u nas panującym ignorowaniem i lekceważeniem wszelkiej filozofii, a filozofii polskiej w szczególności. Któryś z tych panów w zapale antymasońskim odkrył wybitnego masona w jednym z księży, którego w „Merkuriuszu Polskim Ordynaryjnym” przedstawiał w barwach bardzo ponurych, ale i bardzo niezgodnych z rzeczywistością... Za największego filozofa uważają Jana Marię Hoene-Wrońskiego, wybitnego, ale przez ogół matematyków zapoznanego matematyka z połowy ubiegłego stulecia. W filozofii Wrońskiego widzą podstawy do stworzenia prawdziwej polskiej i chrześcijańskiej kultury duchowej. Wiadomo zresztą, że każda szkoła filozoficzna uważa swego mistrza za największego filozofa i w jego nauce widzi klucz do rozwiązania trapiących człowieka problemów.

Na pytanie o Wrońskiego i jego stosunek do nauki Kościół też nie łatwo dać odpowiedź. Któryś z sympatyków Wrońskiego mówił mi kiedyś, że trzeba 10 lat studiów nad dziełami tego filozofa, by móc o nim sądzić trafnie. A Edward chciałby zaraz wszystkiego się dowiedzieć. Niech więc tymczasem wystarczy kilka uwag na ten temat:

1) Wroński w swej filozofii chce być katolikiem. Swój system uważa za rozwinięcie i uzupełnienie nauki katolickiej. Był przekonany, że daje katolicyzmowi „matematyczne”, nie ulegające dyskusji podstawy.

2) Teologowie katolicki już nieraz kwestionowali zgodność jego nauki z dogmatyką i filozofią katolicką. (Ostatnio książkę Kwiatkowski w „Przegl. Powszech.” i książkę Jakubisiak z Paryża w „Dzienniku Pozn.”). Zwolennicy Wrońskiego utrzymują uparcie, że wszystkie te zarzuty są niesłuszne i pochodzą z nieznamośności nauki mistrza...

3) Najistotniejsze zarzuty dotyczą sprawy czysto rozumowego poznania pewnych prawd dotyczących istoty Boga. Wroński przypisuje sobie i w ogóle rozumowi ludzkiemu takie zdolności w tej dziedzinie, jakich katolicki teologowie nie uznają. Posiadanie tych zdolności byłoby oczywiście rzeczą bardzo cenną, ale, niestety, ani u siebie, ani w moim otoczeniu, ani nawet u znanych mi filozofów zdolności tego typu nie odkryłem i wobec tego teorie Wrońskiego wydają mi się piękne, ale mało odpowiadające rzeczywistości. Gdybym otrzymał 10 lat urlopu na studia nad Wrońskim może bym zmienił zdanie... W każdym razie uważam za godne uznania to, że Edward zajmuje się tymi sprawami, które naprawdę godne są zastanowienia.

Red.





# WYTWARZAMY ZŁOTO

Przeciętny „zjadacz chleba” 365, a nawet czasem 366 dni w roku zastanawia się nad tym, jak zdobyć pewną mniejszą lub większą ilość potrzebnych w życiu złotych. Złotówka, to mniej więcej  $\frac{1}{3}$  grama złota. Tak więc na gramy złota przerabiamy nasze siły, czas, zdolności. A złoto otwiera szeroko bramy życia...

Średniowieczni alchemicy usiłowali stworzyć prostszą bardziej bezpośrednią metodę zdobywania cennego kruszcu — przez prostą przemianę innych metali na złoto. Sami nie bardzo wiedzieli, jak się do tego zabrać, więc angażowali do tej pracy czarne moce magiczne, czary, zaklęcia, filozoficzne kamienie, kryjące podobno w sobie siły tajemne a cudowne. Rezultaty osiągnięte były proporcjonalne do sił tych magicznych mocy — magiczne i tajne — nikt ich na oczy nie widział...

Alchemików późniejsza nauka wyśmiała nielitościwie. — A jednak nie wiem czy ci fantastyczni panowie nie zasłużyli sobie na trochę więcej szacunku.

Ród alchemików nie wymarł. Nowocześni alchemicy przystosowali się tylko do nowych warunków pracy. Zerwali wszelkie kontrakty z czarami i magiami, a do pracy zaprzęgli nowoczesną wiedzę. Fizyka okazuje się bez porównania lepszą współzawodniczką niż magia jakiegokolwiek barwy.

Pisząc o nowoczesnych alchemikach nie mam na myśli różnych tajemniczych panów, o których tyle hałasu było w prasie, a których sposoby kryją podobno jakieś całkiem nieznaną nauce tajemnice. Przeciwnie mam na myśli najwybitniejszych fizyków nowoczesnych, którzy bez tajemnic i bez głośnej reklamy całkiem rzeczowo zabierają się do pracy nad przeróbką jednych pierwiastków na drugie, pomimo, że jeszcze lat temu kilkadziesiąt podobne próby były wyśmiane przez ówczesną fizykę.

Nowocześni alchemicy odmiennie od średniowiecznych nie robią tajemnicy ze swych prób, postaramy się więc przedstawić w uproszczonym skrócie najnowszy przepis na produkcję złota np. z rtęci lub ołowiu.

Sprawa nie jest całkiem prosta, ale warto nad tym pomyśleć. Proszę więc sobie przypomnieć, że każda materia składa się z cząsteczek zwanych atomami. Te cząsteczki są śmiesznie małe. Najmniejsze pyłki widziane przez mikroskop, to jeszcze olbrzymy w porównaniu z atomami. By z takich cząsteczek uskładać gram materii, trzeba by ilość wyrażającą się cyfrą 1 do 4 z 24 zerami...

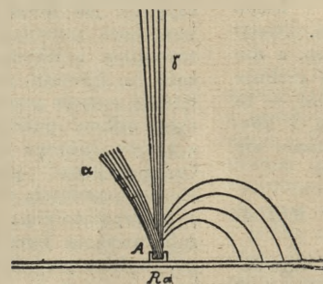
Ale proszę nie lekceważyć tych „drobnośtek”, z nich składa się cały świat i my sami. Przetwarzanie pierwiastka — to przerabianie jednego atomu na drugi o odmiennym charakterze.

Aż do końca ubiegłego wieku nie wierzono w możliwość przetwarzania atomu. Atomy uchodziły za niepodzielne i wiecznie niezmiennie. Odkrycia Marii Skłodowskiej wykazały, że jest przeciwnie. Ludzie wierzący w bezwzględna stałość atomu zawiedli się na całej linii — tak samo ci, co wierzyli w jego zupełną prostotę. Okazało się, że atom jest i złożony, i niestały. Typowym przykładem był odkryty przez M. Skłodowską rad. Atomy tego pierwiastka rozpadają się same wyrzucając z siebie z ogromną siłą maleńkie cząsteczki materii i elektryczności, wysyłając równocześnie bardzo przenikliwe promienie o charakterze bardzo zbliżonym do

promieni Röntgena. Atom radu sam powstał zresztą z rozpadu innego cięższego pierwiastka uranu i rozpadając się dalej kończy swą karierę życiową, stając się atomem pewnej odmiany ołowiu. Ołów, to końcowy produkt przemian uranu.

Warto zwrócić uwagę na to, jak odbywają się przemiany ciał promieniotwórczych. Najlepiej zaobserwujemy to na przykładzie radu.

Rad, to białawy kruszec, który na powietrzu zaraz ciemnieje. Jest go na świecie bardzo mało i trzeba przerobić całe tony rudy, by wydobyć z nich gram czystego radu. Rad wysyła z siebie ustawicznie trzy rodzaje promieni, oznaczone przez fizyków pierwszymi literami alfabetu greckiego: alfa, beta, gama (a. b. g.).



Po prawej stronie: Blenda smolista z Jachimowa, z której wydobywa się rad. Nad wydobywaniem grama radu fabryka pracuje długie miesiące przetwarzając kilkadziesiąt ton blendy.

Po lewej stronie: Schemat potrójnych promieni radu. W polu elektrycznym promienie gamma nie zmieniają kierunku, promienie alfa odchylają się w lewo, a beta w prawo.

Bliższe zbadanie sprawy wykazało, że promienie alfa to nic innego, jak cząsteczki helu — bardzo lekkiego gazu, używanego do napełniania balonów, o ile się je chce ustrzec od niebezpieczeństwa pożaru. Takich cząsteczek jeden gram wyrzuca z siebie w ciągu sekundy około 136 miliardów. Szybkość tych minimalnych pocisków zbliża się do 20.000 km na sekundę, siła ich uderzenia jest proporcjonalnie miliony razy większa od siły kuli karabinowej.



Drogi cząsteczek alfa w komorze Wilsona. Niektóre z cząsteczek uderzyły o jakiś atom i wskutek tego zoczyły z swej prostej drogi.

Promienie beta, to elektrony, czyli niezmiernie małe — najmniejsze już cząsteczki elektryczności. Prędkość wyrzeliwanych z atomu elektronów może dochodzić do 300.000 km na sekundę. Takich elektronów z jednego grama radu w ciągu sekundy wylatuje w powietrze



podobno 30 miliardów. Prof. Le Bon oblicza, że gdybyśmy chcieli pociskowi armatniemu nadać taką szybkość, jaką ma elektron, trzeba by wybuchu 1.340.000 beczek prochu...

Promienie *gamma* nie interesują nas w tej chwili. Są to promienie w rodzaju promieni X, czyli promieni Röntgena.

Nie potrzeba wybitnego talentu, by zrozumieć, że atom radu po wyrzuceniu cząsteczki alfa staje się lżejszy o tyle, ile ważyła ta cząsteczka. Ciężar tej cząsteczki, czyli atomu helu, wyraża się liczbą 4 (jednostką wagi jest tu atom wodoru). Ciężar atomowy radu jest 226, po utracie 1 cząsteczki alfa będzie więc wynosił 222. Pierwiastek o tym ciężarze, to niton. Po utracie 5 cząstek atom będzie miał wagę 206 i będzie atomem ołowiu. Tak samo zresztą i atom radu powstał z atomu uranu, który ważył 238 i po stracie 3 cząstek alfa zachował wagę 226, czyli wagę atomu radu. Ze zmianą wagi idą równoległe i zmiany własności charakterystycznych każdego atomu, jak to widać najlepiej w przykładzie radu i ołowiu.

Warto jeszcze zauważyć, że cząsteczki beta, czyli elektrony, są tak lekkie, że ich utrata prawie wcale nie wpływa na wagę atomu.

Proszę mi nie brać za złe, że opisuję te nudne rodowody uranu, radu czy ołowiu. Ale bez znajomości tej całej paranteli trudno było by zrozumieć plan przebudowy atomu, który ma nam dać upragnionego prawnuka atomu ołowiu atom złota...

Obecnie mamy już pewne dane, które pozwolą nam zająć się tym planem. Wiemy już, że składniki atomu są tylko dwa: cząsteczki alfa — albo ściślej cząsteczki wodoru (bo z nich składają się cząsteczki alfa) i elektrony. Fizycy wyobrażają sobie, że atom ma budowę bardzo podobną do systemu słonecznego.

W środku zebrane razem cząsteczki wodoru stanowią jądro atomu — coś jak słońce w systemie słonecznym, a dokoła po torach okrągłych lub eliptycznych z ogromną szybkością krążą elektrony w ilości od 1 (u wodoru) do 92 (u uranu). Cała przestrzeń zajmowana przez atom jest więc prawie pusta, bo jądro jest stosunkowo minimalne, a odległości między nim a elektronami stosunkowo znaczne. Cząstki atomu tak mniej więcej „wypełniają” przestrzeń zajmowaną przez atom, jak kilka much „wypełnia” wielki kościół. Z takich pustych, nadętych atomów składa się i nasze ciało. Gdyby ścisnąć atomy naszego ciała tak, by elektrony dotykały jądra atomów, to nasza „wielkość” byłaby, zdaje się mniejsza od ziarnka grochu. Tacy jesteśmy „próżni i nadęci”.

Ale mniejsza o to, wracamy do planu przebudowy atomu ołowiu lub rtęci na atom złota. Może lepiej zabrać się do rtęci, bo to nieco prostsze.

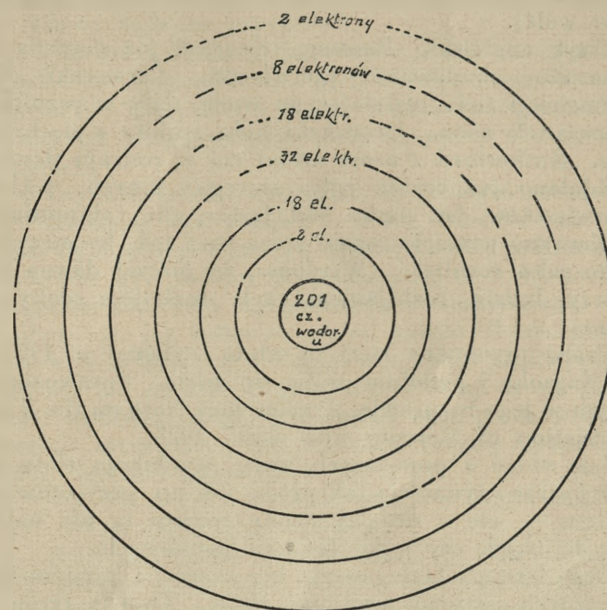
Plan wnętrza atomu rtęci wygląda następująco: jądro zawiera 201 cząstek wodoru (stąd ciężar atom. 201 — cyfra zaokrąglona). Dokoła jądra krążą z ogromną szybkością elektrony; jest ich 80. Rozmieszczone są prawdopodobnie jak na podanym poniżej schemacie. Na najdalszej orbicie są tylko 2 elektrony.

A teraz atom złota: Jądro atomu zbudowane z 197 cząstek wodoru — po orbitach krąży 79 elektronów — na ostatniej orbicie tylko jeden.

Kto porówna te dwa schematyczne plany wewnętrznej budowy atomu rtęci i złota temu zaraz zaświta w głowie cenne odkrycie, że wystarczy w atomie rtęci stracić jeden elektron z najdalszej orbity i jedną cząsteczkę alfa z jądra, a ciężar tego atomu będzie 201 mi-

nus 4, czyli 197 i liczba jego elektronów (tzw. liczba atomowa) będzie 79. A już każdy podręcznik chemii nam powie, że te cyfry, to cyfry charakterystyczne złota...

Atom rtęci stał się atomem złota. Ten sam skutek można osiągnąć rozbijając atom ołowiu, tylko trzeba by usunąć trzy elektrony i 10 cząstek wodoru z jądra.



Schemat budowy atomu rtęci. Schemat atomu złota różni się tylko tym, że jądro posiada tylko 197 protonów (cząstek wodoru) a na ostatnim zewnętrznym torze krąży jeden elektron zamiast dwóch.

W teorii nasz wielki plan zrealizowany.

Pozostaje jednak w praktyce najdonioślejsze pytanie: jak oderwać elektrony i cząsteczki wodoru (zwiążą one „protonami”) od atomu macierzystego?

Z elektronami zdaje się nie będziemy mieli dużo kłopotu. Nie trzymają się mocno atomowego serca. Zwłaszcza te zewnętrzne położone na najdalszej od środka orbicie.

Wystarczy drobnotka, by zerwały związek z jądrem. Np. zbliżenie się innego atomu, któremu brakuje elektronów zewnętrznych (taki atom jest przez to naelektryzowany dodatnio).

Przy tym możemy być pewni, że atom macierzysty nie długo będzie niekompletny, złapie na pewno jakiś elektron zewnętrzny innego atomu lub jeden z tych niezliczonych, wolnych, bezpiecznych elektronów, przebiegających przestrzeń z szybkością do 300.000 km na sek. i zawsze gotowych przyczepić się do jakiegokolwiek atomu, mającego jeszcze miejsce wolne (czyli dodatnio naelektryzowanego).

Rozbicie jądra atomowego i oderwanie od niego cząstek alfa przedstawia większe trudności. Ale tylko trudności — nie niemożliwości. Przecież jądro radu samo się rozpada i wyrzuca z ogromną siłą cząstki alfa. Tak samo zachowuje się jądro uranu i całego szeregu ciał „promieniotwórczych”.

Niestety, ta niespokojna seria kończy się na ołowiu. Ani ołów, ani rtęć spontanicznie same nie wyrzucają cząstek alfa.

Ale czy nie można ich zmusić do tego! Właśnie o tym chcę mówić. Uczni próbowali już zmusić jądra atomowe do sztucznego rozpadu, czyli sztucznej radioaktywności. Jakie są rezultaty tych wysiłków? Jak dotychczas wcale dobre.



By rozbić jądro atomowe i wytrącić z niego cząsteczkę materii, czyli proton, wystarczy bardzo małym, ale bardzo silnym pociskiem trafić w samo jądro. Jako pociski służyły przede wszystkim same cząsteczki alfa wyrzucane przez rad — obecnie od roku 1932 używają już nawet atomów, którym sztucznie nadano potrzebną szybkość i moc (prądem elektrycznym o napięciu milionów wolt).

Fizyk angielski, Ramsay, osiągnął już dość dawno sztucznie zbudowane pierwiastki. Cząsteczki alfa z emanacji radu, działając na wodę, dały w rezultacie pierwiastek neon. Cząsteczki helu zrobiły z siarki argon. Rutherford z azotu zrobił coś w rodzaju tlenu.

Zdołano już rozbić jądra szeregu innych lekkich pierwiastków, jak siarka, sód, fosfor, glin (aluminium). Próbowano wreszcie rozbić atom rtęci tak, by otrzymać złoto jako rezultat. (Wiadomo, że już od dawna niektórzy ludzie rozbijaniem, czyli rozbojem zdobywali złoto).

Próbie przemiany rtęci na złoto wykonał w 1925 r. H. Nagaoka i podobno próba się udała. Sprawozdanie o tym w jego rozprawie „Preliminary Note on the Transformation of Mercury into Gold” 1925.

Jak widać z powyższych uwag, produkcja złota nie jest jeszcze czynnością tak prostą jak np. przygotowanie omletu — ale z drugiej strony sprawa ta nie należy już do bajek czy tylko fantazji naukowych.

Bez czarnej i białej magii, bez czarów i kamieni filozoficznych możemy wyrabiać złoto... Twardy tyran — złoto naturalne, lada dzień może stracić panowanie nad światem. Może stać się tylko tym, czym być powinno — służą.

---

Ilustracja do artykułu na stronie następnej: *Prezydent Republiki p. A. Lebrun ze swą świtą podczas tegorocznych uroczystości ku czci Joanny d'Arc w Orleanie.*



Jeszcze jedna uwaga. Jeśli genialny Czytelniku zamieszysz produkcję złota, pamiętaj o tym, by twoja wytwórnia ukryta była przed okiem ludzkim — bardziej niż potajemne gorzelnie. Nie dlatego, by ukryć się przed urzędem skarbowym, bo przecież fabrykanta złota będzie stać na zapłacenie kilku złotych podatku, ale z zupełnie innej, o wiele poważniejszej racji. Dlatego mianowicie, że twój czyn będzie zaraźliwy. Inni będą robić to samo... A proszę pamiętać, że złoto tak długo ma wartość, póki jest go mało na świecie. Gdybyśmy mieli tyle złota ile żelaza, to wartość złota byłaby o wiele mniejsza niż wartość żelaza.

I chyba nie na świecie nie zdołałoby tak pognać „złotej międzynarodówki kapitalistycznej”, jak właśnie ta masowa produkcja złota. Doprawdy warto żyć, by zobaczyć miny tych potentatów w chwili, gdy będą musieli stwierdzić, że z taką troskliwością gromadzone i strzeżone zapasy złota nie są więcej warte niż przedzwiałe żelastwo, skazane na „szmelc”.

\* \* \*

Czy wobec tego warto zajmować się przemianą atomów? Bezprzecnie tak, choćby tylko dlatego, by zrujnować posiadaczy tego metalu, nieszczęsnego, który dotychczas decyduje nie wiadomo dlaczego, o całym życiu gospodarczym naszej planety. O nędzy i bogactwie, o wojnie i pokoju, a w dużej mierze i o zwycięstwie czy klęsce decyduje właśnie złoto. Czy nie warto wyzwolić się od takiego tyrauna?

Zresztą pomijając nawet produkcję złota, bliska znajomość z atomem przyda nam się jeszcze w wielu innych wypadkach. Ludzie, którzy orientują się dobrze w sytuacji, bliską znajomość z atomem cenią sobie wyżej niż np. znajomość z samym panem ministrem skarbu.

Tylko, że chwilowo taka dobra znajomość z tajemniczym światkiem atomu nie jest rzeczą łatwą. Nawet wybitny fizyk prof. Edolington, gdy go pytano, co to właściwie jest atom materii, odpowiedział, że wie tylko tyle, że jest to obszar, gdzie „jakaś niewiadoma rzecz robi nie wiadomo co”.

Tak, niestety, nasza znajomość atomu jest jeszcze słabo rozwinięta. Mimo to jedno wiemy na pewno: atom jest zbiornikiem potężnej energii elektrycznej. Opanować te siły i wprzągnąć je w służbę człowieka, to znaczy uniezależnić się zupełnie od obecnych skąpych źródeł energii, jak węgiel, ropa naftowa, praca muskułów...

Wybitni fizycy wygłaszają na ten temat zdania pozornie paradoksalne, a jednak zupełnie uzasadnione. Profesor Le Bon wykazuje, że „najmniejsza francuska moneta miedziana zawiera energię równą osiemdziesięciu milionom koni parowych. Kilogram materii jakiegokolwiek zawiera tyle energii zdolnej dać nam ciepło i ruch, co spora kopalnia węgla.

Mamy pod ręką olbrzymie bogactwa — ale klucz do nich, to dokładna znajomość tajemniczego, niewidzialnego atomu. Czy zdołamy okiełznać wolną dziś i beipańską energię atomową i zaprząć ją do służby człowieka?

Nie chciałbym prorokować, zwłaszcza dziś, gdy prawie w każdym popularnym dzienniku popisuje się jakiś prorok, decydujący na papierze o deszczu i pogodzie — o wojnie i pokoju — o powodzeniu lub nie-szczęściu, spadającym podobno na ludzkie głowy z niebieskich koziorożców...

Mimo to żywię przekonanie, że przyszłość przyniesie nam bardzo miłe niespodzianki w tej dziedzinie. Dymiące kominy fabryk, ponure kopalnie, olbrzymie maszyny parowe mogą stać się prymitywnym przeżytkiem.

(Dokończenie na str. 331).



## JOANNA D'ARC

W tym roku Francuzi mogli znowu uroczyście obchodzić święto swej bohaterskiej patronki Dziewicy Orleańskiej. W roku ubiegłym żydowskie władze frontu ludowego zakazały wszelkich publicznych i masowych manifestacji pod pomnikiem bohaterskiej dziewczyny, jedynej w swoim rodzaju na przestrzeni dziejów. Nic w tym dziwnego, bo skąd Żyd, wychowany na Talmudzie i Marksie, wysługujący się złotej i czerwonej międzynarodówce, miałby odczuć w swej ponurej duszy kult dla świętej Dziewicy, która mocą swego ducha, lat temu pięćset zjednoczyła naród i uwolniła go od najazdu wroga...

A prawdziwi Francuzi, entuzjastyczni czciciele swej Dziewicy, musieli w bezsilnej złości znieść ten policzek ze strony „frontu ludowego”.

Dzisiaj fakt ten należy do przeszłości — daj Boże, by już na zawsze. W tym roku nie tylko tłumy Francuzów mogły swobodnie oddać hołd swojej bohaterce narodowej, ale nawet sam prezydent republiki i rząd, mimo swego tradycyjnego laicyzmu, schylili czoła przed postacią Świętej. Głęboki instynkt duszy francuskiej okazał się silniejszy niż narzucona jej zewnętrzna laicka politura...

Joanna d'Arc, to postać tak piękna, szlachetna i bohaterska, że nawet najbardziej zgorzkniały pesymista musi odczuć sympatię dla rodu ludzkiego, który czasem na takie wznosi się wyżyny. Choć z drugiej strony nie można bez oburzenia myśleć o tej ludzkości, która zdolna jest istotom tak szlachetnym i niewinnym zadać okrutną śmierć w płomieniach stosu.

Ale Joanna nie umiała nienawidzić — nawet swych katów. Przeciwnie, bezpośrednio przed męczeńską śmiercią prosiła Anglików i Burgundczyków, by jej darowali, że musiała, niestety, prowadzić na nich swych rycerzy i kazać im zabijać, aczkolwiek sama nie zabiła nikogo.

To szlachetne zwycięstwo — zwycięstwo nadludzkiej miłości nad nieludzkim okrucieństwem wrogów więcej niż orężne tryumfy przyczyniło się do tego, że Joannę czczą dziś Francuzi nie tylko jako bohaterkę narodową, ale i jako świętą. Prawie w każdym kościele Francji, od wspaniałych bazylik aż po małe kościółki wiejskie, wszędzie spotkać można drobną postać dziewczyny zakutej w zbroję i ściskającej z czułością i siłą sztandar swej ojczyzny.

Postać Joanny d'Arc w spaniałych poematach poetyckich, czy to w popularnych powieściach, wychodzi nieraz zniekształcona. Robią z niej czasem egzaltowaną marzycielkę, tymczasem Joanna, mimo wizji i tryumfalnej zewnętrznej kariery, w duszy pozostała zawsze prostą, pobożną, wiejską dziewczyną, przeświadczoną jednak o wielkości swej misji.

Głęboka wiara, heroizm, ale i wiejska, śmiała prostota biją z jej odpowiedzi przed sądem w Rouen. Dla zilustrowania tych cech charakteru Joanny przytaczamy poniżej kilka wyjątków z tego niezwykłego przewodu sądowego, o którym Anglik, Tomasz de Quinecy, pisał: „Nigdy od stworzenia ziemi nie było procesu takiego, jak ten — gdyby w całej okazałości przedstawić piękno obrony i całą diabelską okropność oskarżycieli”. Jej niezłamana młodzieńczość, jej śmiech szczery zdumiewały sędziów. Czuć to z art. 63 aktu oskarżenia: „Joanna nie waha się o najwybitniejszych osobistościach

mówić bez respektu i pozwala sobie na ton żartobliwy i drwiący...”.

Na początku przesłuchania biskup zapytuje:

— Joanno, czy przysięgasz, że będziesz mówić prawdę ilekroć będziesz zapytana?

— Nie wiem o co będziecie mnie pytać — odpowiada Joanna. — Przypadkowo moglibyście zapytać mnie o sprawy, o których nie jestem obowiązana wam mówić.

Dnia 22 lutego magister Jan Beaupère stawia takie pytanie:

— Czy w młodości nauczyłaś się jakiegoś rzemiosła?

— Owszem, szyć, prząć. I w tej dziedzinie nie obawiam się współzawodnictwa żadnej kobiety z Rouen. — Gdybyście byli dobrze poinformowani o mnie, to sami pragnęlibyście, bym się wy dostała z waszych rąk. Nie robiłam nic, jak tylko to, co mi kazało objawienie. — Cały kler z Rouen i z Paryża nie może mnie potępić, jeśli nie ma za sobą prawa. Ja ze swej strony mówię wam: zastanówcie się dobrze nad tym, co mówicie, że jesteście mym sędzią, bo oskarżając mnie, bierzecie na siebie ciężką odpowiedzialność!

— Czy wiesz na pewno, że jesteś w stanie łaski Bożej? — pyta dalej Jan Beaupère.

— Jeśli nie jestem, niech mi Bóg ten stan przywróci, jeśli jestem, niech mnie w nim zachowa. I byłabym najniezszczęśliwszą w świecie, gdybym wiedziała, że nie jestem w stanie łaski.

Beaupère zmienia temat:

— Gdy słyszałaś głosy, czy widziałaś równocześnie światłość?

— Tak, było mnóstwo światła — jak być powinno — i patrząc na szanownego profesora dodaje: — Wy, niestety, nie macie tyle tego światła...

— Czy świętego Michała i aniołów widziałaś rzeczywiście w cielesnej postaci?

— Widziałam ich na własne oczy tak, jak was widzę. I gdy odchodzili ode mnie płakałam; tak bardzo pragnęłam, by mnie zabrali z sobą.

Biskup: — A jak święci mówili?

Joanna: — Ten głos był piękny, miły i pokorny, i mowa była francuska.

— A święta Małgorzata czy mówiła po angielsku?

— Jakże miałyby mówić po angielsku, skoro nie stoi po stronie Anglików?

Couchon próbuje pytań złośliwych, godnych nowoczesnego psychoanalityka:

— A czy św. Michał był nagi?

Na to Joanna:

Myślicie, że Bóg nie ma czym go przyodziać?

Biskup: — Czy Archanioł miał włosy?

Joanna: — A dlaczegoż miano by mu obciąć?

Biskup: — Czy głosy mówiły ci coś o przyszłości?

Joanna: — Tak, mówiły, że będę wydana sędziom, lecz nie wiem ani dnia, ani godziny — i mówiły, bym była odważna i zachowała pogodę ducha...

Jeden z Anglików: — Czy w ogóle nie byłaś na miejscach, gdzie zabijano Anglików?

Joanna: — Dalibóg! jak wy słodko przemawiacie. A czemuż nie oni ruszali się z Francji i nie wracali do swego kraju?

Proces zbliża się ku końcowi. Podstępne pytania i kręactwa sędziów zniechęcają Joannę. Widzi coraz wyraźniej, że sprawa jest przesądzona. Tajemnicze gło-





*Joanna d'Arc słucha nadziemskich głosów. Rzeźba w muzeum w Louwrze.*



sy, które już nieraz zapowiadały jej męczeństwo, nie robią jej złudzeń tylko zachęcają do odwagi:

— Przyjmij wszystko spokojnie. Nie bój się męczeństwa. W ten sposób przyjdiesz wreszcie do Królestwa niebieskiego.

Decyzja wytrwania jest niezmienna:

— Stanowisko jakie zajęłam na początku procesu pragnę zachować aż do końca. I choćbym widziała stos zapalony i kata gotowego do spełnienia wyroku, choćbym nawet już była w ogniu, nie będę mówić nic innego, jak dotychczas.

Dnia 30 maja zawiadomiono ją, że będzie spalona... Przyjmuje wyrok apelując do Wielkiego Sędziego Boga. Widmo spalenia przeraża ją, wolałaby raczej ścięcie. Ale brutalni obrońcy sprawiedliwości są nieugięci.

Na Starym Rynku w Rouen przygotowano stos. Kat przywiązuje do słupa umęczoną, ale nieugiętą dziewczynę, której wargi poruszają się szeptem modlitwy. Zapalono ogień, wśród kłębow dymu bracia Zakonu Kaznodziejskiego pokazują skazanej krzyż, symbol męczeństwa i zwycięstwa. Słysząc prośbę Joanny:

— Podnieście wysoko krzyż Pański, bym mogła go widzieć. Wody święconej! Jezu!

Już cała w płomieniach stwierdza po raz ostatni:

— Głosy, które słyszałam, były od Boga. Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam z przykazania Bożego...

Jeszcze ostatni krzyk pełen bólu, a zarazem niezwykłej nadziei: „Jezu!”

Płonąca głowa zwisa na płonące ramiona. Dusza już wolna ulatuje tam, dokąd rwała się od dawna. Tryum-



Joanna d'Arc przed sądem.



Joanna d'Arc na stosie. Obraz Gabriela Maxa.

fy wojenne ukoronowane tryumfem męczeństwa. Głupi i niegodziwi sędziowie rozeszli się, zadowoleni z dokonanego dzieła ludzkiej sprawiedliwości”.

### MŁODZIEŃCZE!

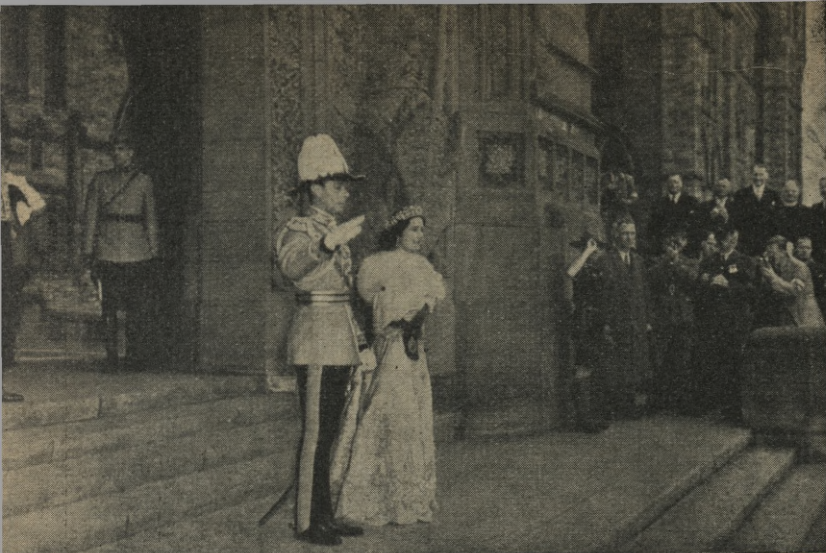
Jeśli w duszy usłyszałeś głos Chrystusa, jeśli chcesz być kapłanem-misjonarzem — pisz o przyjęcie do:

1) Z województwa pom., pozn., i łódzkiego: — Zakład Księży Pallotynów, Chełmno, ul. Dworcowa 38, Pomorze.

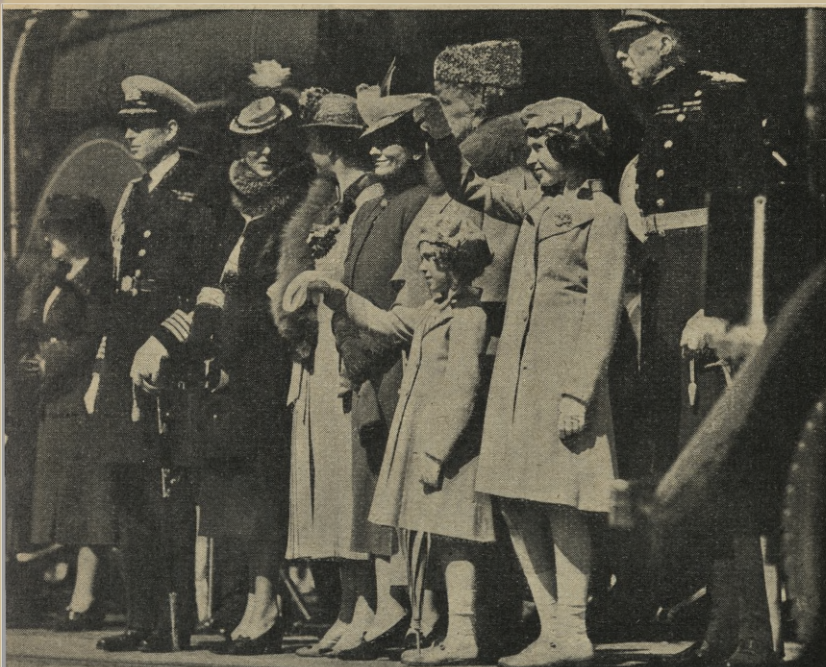
2) Z wszystkich innych części Polski: — „Collegium Marianum”, Gimnazjum Księży Pallotynów — Wadowice (Krakowskie).



# Z SZEROKIEGO

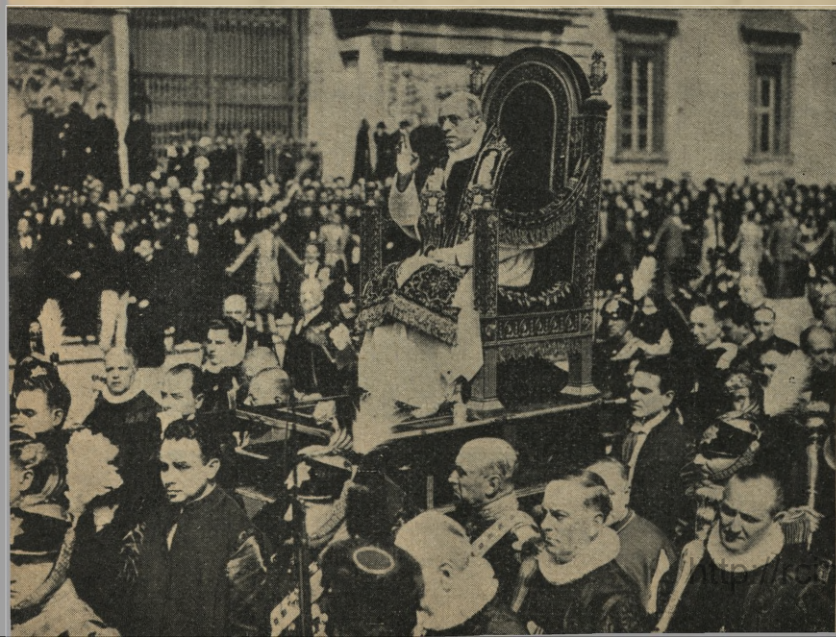


Po raz pierwszy w historii angielska para królewska zjawiła się na ziemi amerykańskiej. Na fotografii król i królowa przed katedrą w Ottawie w Kanadzie.



Członkowie rodziny królewskiej żegnają w Portsmouth króla i królową odjeżdżających do Ameryki.

Ojciec św. po raz pierwszy po wstąpieniu na tron papieski opuścił granice Watykanu, udając się na uroczyste nabożeństwo w Bazylice Laterańskiej.



Do załogi najszybszej eskadry świata należy również mały piesek „Geordie”, który wraz z pilotami karnie siada w szeregu, czekając na sygnał do odlotu.

Kobiety włoskie w mundurach. Jest korpus kobiecy przeznaczony do Abisynii. Czy będzie z niego pociecha?







*Jak się robi „dobrą minę do złej gry”. Przykład tego daje minister Ciano podczas uroczystości po podpisaniu sojuszu niemiecko-włoskiego.*

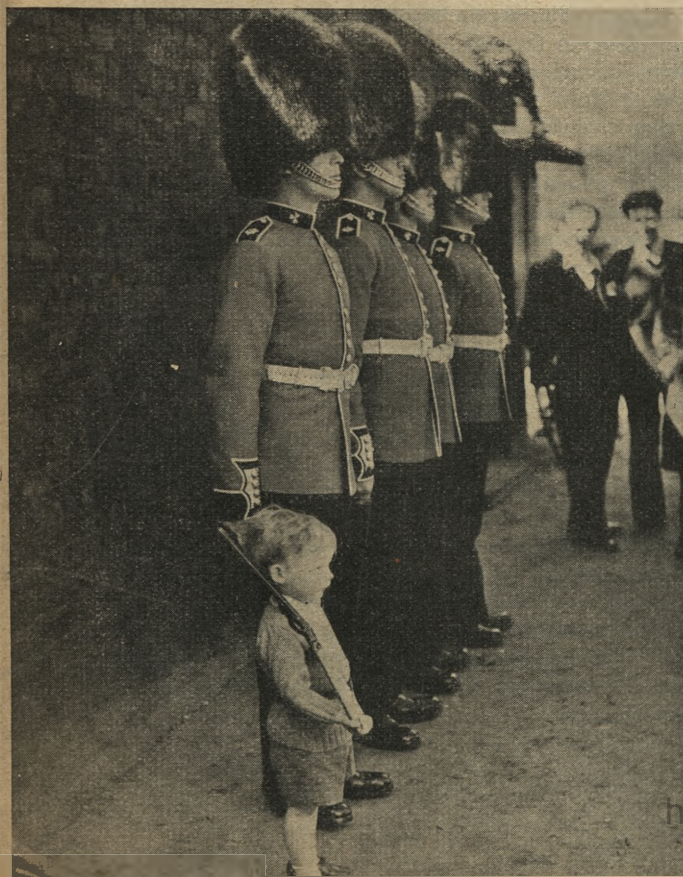
*Klub cyklistów w Balham w Londynie ma oryginalne pomysły. Oto najwyższy i najniższy rower na wyścigach.*



*Matki francuskie przyzwyczajają swe niemowlęta do obrony przeciwgazowej.*

# ŚWIATA

*Najmłodszy „rektrut” angielskiej królewskiej gwardii konnej.*



*Egzotyczna armia górali albańskich w koszarach rzymskich. Przed frontem gen. Pariani.*





# OPERACJA SIĘ UDAŁA, ALE...

WESOŁE WRAŻENIE OPEROWANEGO Z POBYTU W SZPITALU

Życie chorych w szpitalu jest często weselsze, niż wielu ludzi cieszących się najlepszym zdrowiem.

Choroba moja nie jest niebezpieczna, muszę jednak poddać się operacji w jednym ze szpitali warszawskich. Perspektywa ta napełnia mnie zrozumiałym niepokojem, tym bardziej, że nigdy jeszcze nie byłem na kuracji w szpitalu, bo w ogóle jestem chory po raz pierwszy w życiu.

Zaopatrzonej w odpowiednią karteczkę zleceniową mego przyszłego, dobroczynnego „oprawcy”, zapukałem pewnego kwietniowego poranku do wrót niewielkiego szpitala stołecznego, mieszczącego klinikę chirurgiczną uniwersytetu.

Powitano mnie ze szczerą gościnnością i skierowano przede wszystkim do kasy szpitalnej, gdzie uiściłem pokązną sumę złotych na poczet należności za kurację, gdy, niestety, nie należę do tych szczęśliwych, którzy leczą się na koszt instytucyj ubezpieczeniowych.

Po wypełnieniu tej drobnej formalności, personel przyjmujący chorych stał się jeszcze uprzejmniejszy i troskliwszy dla mnie. — W specjalnej separacie zdjąłem ze siebie wszelką „cywilną” odzież i przywdziałem dość prymitywną bieliznę szpitalną, na którą narzuciłem pasiasty chałat. Pantofle jednak były tak krótkie, iż goły mi piętami stąpałem po podłodze. Widocznie przedostały się podstępnie z oddziału żeńskiego szpitala...

Siostra zaprowadziła mnie do pustego łóżka nr 18, na którego przodzie umieszczono zaraz w odpowiedniej ramce mą legitymację szpitalną, będącą jednocześnie historią choroby i wykresem gorączki.

Nie mając na czym usiąść, położyłem się na łóżku rozglądając ciekawie na wszystkie strony. Sąsiad z prawej strony poinformował mnie uprzejmie, że właśnie wczoraj na mym łóżku umarł chory, którego lekarze nie zdołali wyreparować... Informacja ta nie była dla mnie przyjemną, ale uprzytomniłem sobie natychmiast, że w całym tym szpitalu nie znalazłbym na pewno łóżka, na którym już ktoś nie umarł...

W poszczególnych punktach sali potworzyły się kółka, czy też kluby towarzyskie chorych, rozmawiających głośno, a niekiedy wesoło. Do klubów tych nie należeli oczywiście nieliczni ciężko chorzy, skarżący się na swe cierpienia cichymi jękami. Rozmawiający tytułowali się nie imionami lub nazwiskami, lecz po prostu numerami łóżek, na których spoczywali. —

— Panie 25, jak tam pańska nerka?

— Dział lepiej, chociaż jeszcze jest ropa...

Rzecz osobliwa, że z nielicznymi wyjątkami wszyscy chorzy odznaczali się wilczym apetytem, dopominając się natarczywie o dodatkowe porcje. — Zaraz po kolacji siostra rozdała między chorych kilkanaście termometrów, a po kilku minutach odbierała je kolejno, zapisując na wykresach wieczorną gorączkę. Po dokonaniu tej ceremonii, niestrudzona siostra Helena klękała przed figurą słodkiej Madonny, zdobiącej salę i rozpoczęła odmawianie różańca i litanii, przy akompaniamencie chóru chorych.

Podczas odmawiania tej wieczornej modlitwy, w sali zapanował nastrój szczerze religijny. Pracowite poświęcanie się personelu szpitala dla dobra chorych unaczniło im realizację prawdziwie chrześcijańskiego

miłosierdzia. Wprowadziło mnie to również w nieznaną mi jeszcze nastrój wdzięczności dla Boga i dla ludzi za ich dobroć...

Po godzinie 8 wieczór przedelfilowało wzdłuż sali kilku lekarzy, badając pobieżnie swoich chorych. Tymczasem siostra wykonała niektórym chorym zastrzyki, a zwłaszcza cierpiącym na rozmaite bóle. Byli i tacy, którzy, pomimo natarczywego dopominania się o zastrzyk, nie otrzymali go. Jak mnie poinformowano, byli to kandydaci na morfinistów, traktujący zastrzyki po swojemu. Najnatarczywszych, uskarżających się na fikcyjne bóle, siostra uspakajała zastrzykiem zwykłej wody dystylowanej...

Zacząłem zasypiać, gdy nagle usłyszałem głośny monolog, wygłoszony dobitnie przez jakiegoś chorego w drugim końcu sali:

— Mnie to już nie pomogą. — Pójdę do „dra” Łopackiego, aby mi zrobił okłady z desek i kompresy z piasku!...

Nikt jednak nie zaśmiał się i w ogóle nie odpowiedział na ten makabryczny dowcip, wypowiedziany pono wśród nocy.

\* \* \*

Będąc jeszcze zdrowy, jak „byk”, bo przed operacją, czułem się mocno zażenowany, że mnie tak karmią i pielęgnują, jak tych tam naprawdę ciężko chorych. Jeden z nich jęczy właśnie żałośnie po ciężkiej operacji żołądka. Był już u niego kapelan szpitalny z św. Sakramentami i obecnie łóżko jego otoczyła kołem rodzina, składająca się z ludzi prostych i ubogich, obserwując bezradnie, lecz spokojnie dogasanie życia im bliższego.

Chory ten zamilkł około południa. — Myślałem, że mu się zrobiło lepiej, lecz widok siostry śpieszącej do jego łóżka z dwiema zapalonymi gromnicami powiadomił wszystkich obecnych, że nieszczęśnikowi jest lepiej, ale na tamtym świecie...

Widziałem, jak siostra klękała przy śmiertelnym łóżu i odmawiała półgłosem modlitwę przy wtórowaniu rodziny zmarłego. — Kilka minut później wyniesiono ciało do kostnicy i zmieniono pościel na przyjęcie nowego chorego, który właśnie zgłosił się do siostry, trzymając żółtą kartkę zleceniową w ręku.

Zaraz po wyniesieniu zmarłego prysnął ponury nastrój, panujący w sali wskutek niedawnych jęków konających.

— Już go wykończyli! — zawołał jeden z chorych.

— Operacja się udała, ale chory umarł — dodał inny.

— Wszystkie operacje żołądka kończą się w ten sposób poinformował mnie pielęgniarz.

— Po co więc operują takie beznadziejne żołądki?

— Aby uczyć się, od tego jest klinika — odpowiedział. — Zresztą każdy chory ma nadzieję wyleczenia. —

Pod wpływem „niezdrowej” ciekawości, zapytałem starszego pielęgniarza, co też robi się z amputowanymi nogami, rękami i wyrostkami robaczkowymi? —

— Jeżeli nie nadają się na preparaty anatomiczne, to wkłada się je do trumny nieboszczykom, a wyrostkami robaczkowymi tuczy się cała kolonia kotów, mnożących się w ogrodzie szpitalnym...



— No, no, no, któż by po-  
sądził te miłe kotki o ludożer-  
stwo?...

Przez drzwi prowadzące do  
sali operacyjnej, znajdującej się  
o piętro wyżej, dochodziły prze-  
ciągłe krzyki i wycia operowa-  
nych. Działyby one deprymują-  
co nawet na mnie, pomimo, że  
miałem ulec stosunkowo niewin-  
nemu zabiegowi.

Z sali operacyjnej już nikt  
nie wracał o własnych siłach,  
a przeważnie w stanie uspio-  
nym, czyli pod narkozą. Zope-  
rowany pacjent rzucił się i ję-  
czał przez sen na wózku, na któ-  
rym wieziono go do łóżka,  
ogrzanego troskliwie na jego  
powitanie za pomocą specjalne-  
go grzejnika elektrycznego. Nie-  
które „ofiary” chirurgów rzuciły się we śnie narkotycz-  
nym tak gwałtownie, iż dwóch silnych pielęgniarzy  
z trudem mogło opanować ręce i nogi chorego, woczy-  
nającego osobliwą gimnastykę pooperacyjną.

Gdy już wszyscy powrócili z sali operacyjnej i opa-  
trunkowej, siostra Helena wtoczyła na salę wózek  
z obiadem. — Chorzy oddziału chirurgicznego mogą  
nie uskarżać się na brak apetytu, a zwłaszcza ci „zawo-  
dowi” chorzy w drugim końcu sali, prowadzący wesołe  
rozmowy i dyskusje polityczne, przeplatane naprzemi-  
anymi śmiechami lub gniewem.

Skąd się biorą w szpitalu ci „zawodowi” chorzy? —  
Są to stosunkowo biorąc lekko chorzy, a właściwie chro-  
nicy, których operowano już wielokrotnie w równym  
stopniu dla ich dobra, jak i dla dobra nauki. Jakaś  
gmina, czy też ubezpieczalnia opłaca pobyt w szpitalu  
takiego zawodowca, który, zasmakowawszy w beczyn-  
nym i wygodnym życiu w szpitalu, traktuje go jak bez-  
płatny pensjonat, gdzie śpi się wygodnie i je smacznie,  
korzystając z wesołego towarzystwa zmieniających się  
ciągle „typków”, przywożonych z rozmaitymi choroba-  
mi i uszkodzeniami ciała.

Czyż można się dziwić, że życie ludzi zdrowych poza  
szpitalem, wypełnione uciążliwą walką o byt, wydaje się  
„zawodowemu” choremu smutne i niebezpieczne wobec  
*dolce far niente*, którym delectuje się w szpitalu? —  
Czyni więc, co może, aby przedłużyć swoją kurację.  
Udaje mu się to w zupełności, gdy choroba jego jest  
interesująca dla lekarzy i studentów pracujących w kli-  
niece. Jeden z takich chorych, młody człowiek z głę-  
bokiej prowincji, spędził tu już około dwóch lat i nie  
wyobraża sobie innego życia, jak dostatnie i wesołe ży-  
cie w szpitalu...

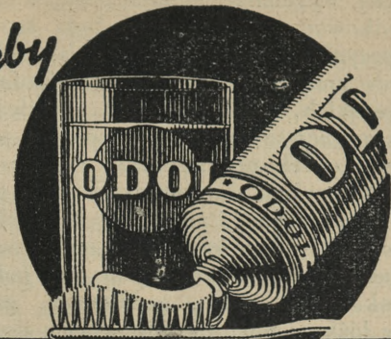
Wprawdzie chorzy jęczą i umierają, ale czyż nie dzie-  
je się to również w życiu domowym? Na pewno bez  
porównania więcej cierpi i umiera ludzi w swych mie-  
szkaniach, aniżeli w szpitalach.

\* \* \*

Ponieważ dnia następnego miałem iść na stół opera-  
cyjny, więc nie dano mi już kolacji, a nadmiar złego,  
starszy, szorstki pielęgniarz zaprowadził mnie, nie in-  
formując w jakim celu, do oddzielnego pokoju, gdzie  
podał ogromnie zawstydzającej nowicjusza operacji,  
zwanej lewatywą. Zaczerwieniony po uszy, jak sztubak

*Podnień wzbudzają  
piękne zęby*

Jeżeli są należycie pielęgnowane. Naj-  
właściwszą drogą do osiągnięcia zdrowych  
i pięknych zębów jest stosowanie pasty  
Odol. A więc do codziennego pielęgno-  
wania zębów tylko pasta Odol.



**ODOL**

wracałem do łóżka przy akompaniamencie śmiechów  
i drwin moich sąsiadów..

Na tym nie kończyły się jednak przygotowania do  
operacji. Musiałem po chwili odpoczynku udać się do  
sali opatrunkowej, gdzie tenże pielęgniarz ogolił tą część  
naskórka, w której dnia następnego miał się zagłębić  
lancet chirurga. Wykonał to mój oprawca z niezwykłą  
wprost zręcznością, lecz łaskotanie brzytwy było takie,  
że rżałem wprost od śmiechu...

Gdy po tym fryzjerskim zabiegu zjawiłem się na sali,  
dowcipni chorzy zapytywali mnie, czy mi nie żal mej  
czupryny?...

Noc była niespokojna, gdyż przywieziono do sali  
dwóch kierowców samochodowych, pokiereszowanych  
wskutek wypadku na jezdni oraz nieszczęśliwego mura-  
rza, który spadł z rusztowania na bruk uliczny. Tak-  
sówkarze wymyślali sobie wzajemnie, pomimo swych  
ran, nie bez humoru:

— Zapłacisz, chamski łbie za moją karoserię, a ma-  
gistratowi za latarnię!...

— A ty, pijaku, swoją nerką załatasz dziurę w bruku,  
coś ją tam zrobił!

Tymczasem śmiertelnie potłuczony murarz rzeżał z re-  
gularnością mechanizmu. Dyżurny lekarz dał mu ja-  
kieś zastrzyki, bo nie było już dla tego chorego ratunku.  
Istotnie, po upływie pół godziny skandowane rżenie  
urwało się nagle. Wkrótce potem u wezglowia nie-  
szczęsnego robotnika zapłonęła świeca i siostra kłękała  
z modlitewnikiem w rękę, aby pomodlić się za konają-  
cego. —

Uprzątnięto go zaraz i w sali zapanowała cisza prze-  
rywana jedynie kaszlem suchotnika ze sztuczną od-  
mą płuc i jękami poturbowanych szoferów. W mroku sali  
błąkały się jednak jeszcze echa rżenia umierającego  
murarza i szept modlitwy za konającego...

Rano obudziło mnie zimne dotknięcie termometru  
podawanego przez siostrę, celem zmierzenia porannej  
gorączki. Zapytała mnie, czy odbyłem spowiedź wiel-  
kanocną. — Przyznałem się ze wstydem, że nie.

— Musi się pan wypowiadać przed operacją i wystu-  
chać Mszy św. — zadecydowała siostra Helena. Trzeba  
być przygotowanym na wszystko. Najniewinniejsza na-  
wet operacja może zaprowadzić chorego przed oblicze  
Pana Boga...

Zastosowałem się chętnie do tej pobożnej rady i po-  
szedłem wraz z innymi chorymi do kaplicy szpitalnej,



aby wysłuchać nabożeństwa, wypowiadać się i komunikować. Wzruszająca była troskliwość siostry, która przyniosła mi już do kaplicy cieplejszy chałat, abym nie zmarł w czasie wypełniania obowiązków chrześcijańskich. — Wracalem później z kaplicy do łóżka z uczuciem spokoju i pogody wewnętrznej, dziękując mej opiekunce fizycznej i duchowej za dobrą radę.

Cieszyłem się, że już za parę godzin znajduję się w sali operacyjnej i zaspokoje mam ciekawość, chciwam nowych wrażeń. Aby ich nie stracić, prosiłem dra T., aby krajał mnie „na żywca”, to jest jedynie ze znieczuleniem lokalnym. — Po codziennej gimnastyce, wykonanej w łóżku i odśpiewaniu wraz z siostrą: „Kiedy ranne”... podano śniadanie, którego byłem jedynie obserwatorem.

Wkrótce znalazłem się w niewielkiej, białej sali ze stołem operacyjnym po środku.

Gdy się już wygodnie ułożyłem, jak na jakimś wysokim łożu, przytoczono mi doń ręce i nogi, abym nie przeszkadzał chirurgowi w robocie. Bez żadnej obawy, lecz za to z wielką ciekawością przyglądałem się kręcącym się w koło mnie ludziom z narzędziami i bandażami. —

Uniosłem nieco głowę, aby możliwie jak najwięcej zaobserwować, co się działo w sali operacyjnej, lecz, niestety, chcąc widocznie ukrócić moją ciekawość, zawieszono na specjalnej ramce płachtę płócienną w ten sposób, że nawet nie widziałem własnego brzucha. — Zaraz potem dr T. ukłął mnie niezbyt boleśnie w pachwinę, zapewniając, że na tym kończy się cały ból operacji. Był to widocznie zastrzyk znieczulający, bo następnie poczułem, że jego lancet zagłębia się lekko w moim brzuchu i posuwa ku pachwinie, krojąc najwyraźniej skórę i żywe ciało...

Przeświadczenie, że rozpruwają mi właśnie brzuch, nie zdenerwowało mnie zupełnie, bo zresztą było prawie bezbolesne. Czekałem z ciekawością na dalsze wrażenia. Nie widziałem z powodu zasłony mego brzucha, ale w wyobraźni przedstawiałem go sobie dokładnie z raną 15-centymetrowej długości... Krwawiła, więc wycierano ją watą, podawaną przez studentki.

Pomoc ich nie była widocznie zreżna, bo chirurg irytował się i po ojcowsku im wymyślał... Miałem wrażenie, że był bardziej przejęty operacją, aniżeli ja. — Po rozkrojeniu brzucha poczułem, że obaj lekarze zaczęli grzebać w moich „bebechach”, rozmawiając przy tym ze sobą po koleżeńsku na temat żył i ścięgien. Wtedy dopiero usłyszałem charakterystyczne bulgotanie moich obnażonych kiszerek... Uczyniło to na mnie głębokie wrażenie. —

Poczułem się nagle słabym, pokrajany, oddanym na łaskę i niełaskę lekarzy. Przystąpili oni właśnie do zszywania rozdartej błony brzusznej i wtłaczali w tym celu me puste i grające marsza kiszki w głąb brzucha... Czynność ta wydała mi się dziwnie brutalna i tak bolesna, że jęknąłem parę razy. Wtedy dopiero dr T. wychylił swą zamaskowaną głowę spoza zasłony, pytając mnie jak się czuję i zapewniając, że za 10 minut będę już leżał w swym łóżku. Dziękowałem mu zduszonym głosem za tę troskliwość.

Poczułem następnie, że dr T. ściąga i zmocowuje za pomocą klamerek metalowych, które znałem już ze słyszenia, skórę na mój rozdarty brzuch. Było to dosyć bolesne, toteż zaciskałem zęby, aby nie syczeć z bólu. Wreszcie obaj lekarze zawołali chórem:

— „Gotowe!” — Jest pan teraz jak nowy! — i pośpieszyli do drugiej sali, aby zobaczyć jakąś ciekawą operację, której pacjent wrzeszczał właśnie w niebołoso.

Teraz dopiero poczułem się naprawdę chory i bezsilny. — Dwóch pielęgniarzy zaniosło mnie do przesłanego i zagranego łóżka. Sąsiedzi byli bardzo zdziwieni, że powracam w stanie „trzeźwym”. Zapewniłem ich, że operacja była zupełnie bagatelna i wcale się nią nie przejmuję.

— Nie bądź pan taki pewny — zawołał jeden z dalej leżących chorych. — Ja już dwa miesiące tu leżę po operacji przepukliny i rana nie może się zagoić. Nie jeden już przeniósł się na tamten świat po tym „kosmetycznym” zabiegu!...

Słowa te nie dodały mi oczywiście otuchy. Leżałem nieruchomo nawznak, gdyż każde poruszenie, a nawet głośniejsze wypowiedziane słowo wywoływały ból w szwach pooperacyjnych. Jak na złość sąsiad mój z lewej strony, który dopiero nazajutrz miał iść pod nóż, był bardzo wesoly i dowcipny. Zartował bezustannie rozmieszczać nawet ciężko chorych.

Nie mogąc się odwracać na boki i w ogóle zmieniać pozycji, spałem w nocy niewiele, przysłuchując się jękowi i kasłaniu chorych. Teraz dopiero poczułem się członkiem tej wielkiej rodziny chorych w szpitalu, rozumiałem, co to jest być cierpiącym i słabym, zdanym na łaskę służby szpitalnej i lekarzy.

Przyszedłem do wniosku, że chory w szpitalu jest bardzo podobny pod względem swej sytuacji do niedożądanego niemowlęcia, które trzeba karmić, pielęgnować, przewijać i — wysadzać, bo samo nie jest zdolne siebie obsłużyć. W pewnym stopniu jest nawet przyjemny ten powrót dorosłego chorego człowieka do czasów niemowlęcych. — Po pewnym czasie zapomina on o swych kłopotach dorosłego obywatela i staje się bez troski, kapryśny, a niekiedy nawet wesoly, jak małe dziecko obsługiwane przez piastunkę.

Drugiego dnia po operacji czułem się i ja takim dzieckiem, któremu niania w postaci pielęgniarki poprawia kołdrę i poduszki, podkłada ceratki i pieluszki, a w razie potrzeby robi lewatywkę, podkładając odpowiedni basenik... Chory przyzwyczaja się szybko do tego zdziecinienia i uważa to wszystko za zupełnie naturalne. Dla mnie osobiście ta ostatnia usługa ze strony służby szpitalnej była niezmiernie przykrą i zawstydzającą. — Była ona bez porównania groźniejszą „operacją” od zabiegu na stole operacyjnym. Cała aparatura „kropłówki” lub lewatywy ustawiona obok mego łóżka, śmiechy i drwiny sąsiadów zawstydzają w najwyższym stopniu, lecz jest to jedyny sposób umożliwiający zafatwienie potrzeby fizjologicznej przez obłożenie chorego. —

Czuję, że stopniowo rozleniwiam się i rozsmakowuję w próżniaczym i wygodnym życiu chorego, który leży sobie jak wielki pan w wygodnym łóżku, a służba szpitalna karmi go i dogadza mu, jak kapryśnemu dziecku. Zaczynam rozumieć mego sąsiada z przeciwka, robotnika, który po trzytygodniowej kuracji wyzdrowiał, ale jakoś nie kwapi się z pójściem do domu, pomimo nalegań siostry. — Czeką go przecież za murami szpitala ciężka praca fizyczna, a może i bieda lub złe stosunki rodzinne. A tu w tej sali życie płynie bez troski, spokojnie, z dobrym wiktem i opierunkiem.

Idylla szpitalna skończy się również i dla mnie wkrótce. Doktor T. podczas swej porannej wizyty obejrzał mą bliźnią pooperacyjną i, stwierdziwszy zupełne zabliznienie bez ropy i innych komplikacji, zawyrokował:

— Jutro może pan już iść do domu.

Wiadomość ta ucieszyła mnie miernie. — Był to dwunasty dzień po operacji; byłem tak rozleniwiony leże-



niem, że nie chciało mi się jeszcze tego dnia próbować swych sił w chodzeniu po sali. Dopiero nazajutrz rano wstałem i próbowałem chodzić. Przy pierwszym kroku dostałem lekkiego zawrotu głowy i z powrotem siadłem na łóżku. Przy następnej próbie udało mi się iść małymi kroczkami starca lub paralytyka... Bolała mnie nie tylko blizna, lecz ręce i nogi. Czułem się jakiś pokrecony i dychawiczny. A przecież położyłem się do łóżka szpitalnego silny i zdrowy, jak młody atleta — z przepukliną.

Spaceruję chwiejnym krokiem po sali, aby rozruszać zardzewiałe w łóżku stawy mych członków, narażając się na śmiechy i drwiny mych przyjaciół, obserwujących mnie ze swych łóżek.

— Coś pan tak zdiadział, panie osiemnasty? — Wiądzi pan, co tu potrafią zrobić ze zdrowego człowieka...

Istotnie, atmosfera choroby panująca w szpitalu przetrąca jakby do wszystkich zakątków organizmu, wywołując tam rozmaite dolegliwości. Przychodzę do wniosku, że gdy poleżę tu dłużej, to stanę się naprawdę ciężko chorym. Trzeba więc umykać, chociaż ta leniwa sješta w łóżku szpitalnym jest tak przyjemna.

Zaraz po obiedzie przyniesiono mi worek z mym „cywilnym” ubraniem. Ubierałem się długo i niezręcznie, bo przez te dwa tygodnie spędzone w szpitalu uczyniły mnie dziwnie niemrawym i dychawicznym. — Pożegnałem się czule z siostrą Heleną, wyrażając podziw i uznanie dla jej zbożnej i ciężkiej pracy dla dobra chorych.

Pożegnałem kolegów z łóżka szpitalnego. Dziwili się, że tak krótko i spokojnie chorowałem.

— Co to za chory, który wcale nie jęczał, nie prosił o zastrzyki i nie był nawet usypiany?...

Gdy już wychodziłem z sali w towarzystwie pielęgniarki, prowadzącej mnie do kancelarii szpitalnej, jakiś chory zawołał:

— Bądź zdrow, zawodowy chory!...

W kancelarii zrobiono obrachunek należności szpitala. — W rezultacie otrzymałem kilka złotych reszty. — Gdy wyszedłem na ulicę olśniło mnie intensywne światło słoneczne. Szedłem niepewnym krokiem do tramwaju, wymijając niezręcznie przechodniów. Ruch uliczny wydał mi się bardzo niebezpieczny i szybki, a ludzie brutalni. Czułem się, jak paroletnie dziecko, maszerujące bez opieki przez ulice wielkiego miasta. Szpital rozpieszcza i zniedołężnia.

Po przybyciu do domu powracałem stopniowo do mych codziennych zajęć i do normalnej tężyzny fizycznej. Myśl moja biegnie jednak często do sali szpitalnej, gdzie spędziłem dwa tygodnie mego życia, jakby wykrojone z lat beztroskiego dzieciństwa. Uczuwał nawet pewną tęsknotę do panującej tam atmosfery dobroci, chrześcijańskiego miłosierdzia i do opiekuńczej dłoni siostry Heleny.

Bo jednak, pomimo nagromadzenia tylu cierpień ludzkich, życie w szpitalu jest jakieś lepsze od życia zdrowych poza jego murami.

## OFIARNOŚĆ PRACOWNIKÓW KKO UTWIERDZA POTĘGĘ POLSKI

Po chmurnym poranku dnia 4 czerwca 1939 r. południe zajaśniało pełnym blaskiem słonecznej krasy.

Rozległa równina pól Świdnika ożywiła się tłumem ludzi, zdążających na teren nowowzniesionej Szkoły Pilotów.

Oczy zebranych biegają wzdłuż drogi do Lublina, skąd ma nadjechać Naczelny Wódz. Nagle pada komenda: Baczność! Prezentuj broń! Pan Marszałek wjeżdża na teren lotniska.

Po wyjściu z samochodu Naczelny Wódz odebrał raport od dowódcy kompanii honorowej, poczem przeszedł wzdłuż ustawionych samolotów.

Gdyby wszystkie silniki były w ruchu nie stłumiłyby entuzjastycznych okrzyków tysięcy ludzi: Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Marszałek Śmigły-Rydz uśmiecha się tylko tym swoim szczerym, serdecznym uśmiechem i saltuje.

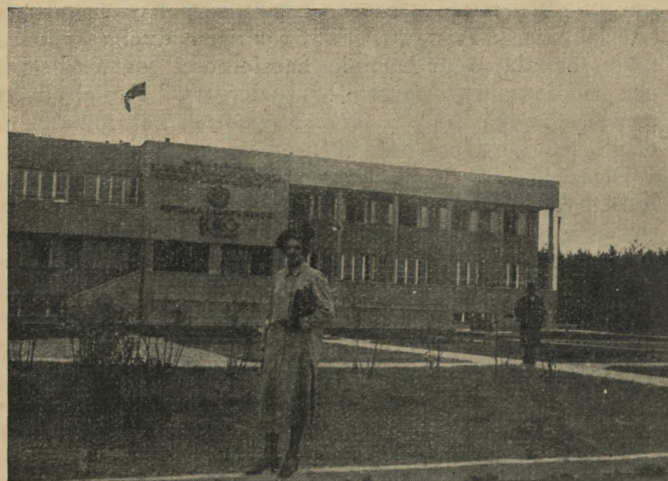
Teraz do pana Marszałka zbliżają się dzieci i wręczają kwiaty w imieniu „Rodziny Wojskowej”, L. O. P. P. i szkoły pilotów. Przybyłe z całej Polski delegacje pracowników KKO wznoszą długo niemilknące okrzyki.

W jednym z hangarów ustawiono ołtarz. Po obu jego bokach umieszczono dwa samoloty RWD 13, z których jeden przeznaczony jest dla celów ratowniczo-sanitarnych.

Nabożeństwo odprawił ks. infułat Kruszyński. Po nabożeństwie nastąpiło uroczyste poświęcenie hangarów i szkoły, poczem na trybunę wszedł przewodniczący Komitetu Zbiórki na Budowę Szkoły Pilotów, p. Franciszek Świdorski, który przedstawił przebieg zbiórki wśród pracowników KKO w Polsce. Szkołę tę wybudowano

kosztem 730 tysięcy złotych, zebranych przez około 4.000 pracowników 360 Komunalnych Kas Oszczędności.

Następnie przemawiał gen. L. Berbecki. Oto fragmenty z jego przemówienia: „Wodzu Naczelny! Przed czterema laty wskazałeś całemu narodowi największy wspólny cel dla wszystkich wysiłków każdego obywatela: obronę państwa. Wskazałeś metodę i sposób działania: „Każdy dobry obywatel polski powinien ująć za jedno z ogniw łańcucha i ciągnąć Polskę wzwyż, chociażby w krzyżu trzeszczało”. Twórcze hasło przeniknęło głęboko masy polskiego społeczeństwa i daje coraz większe rezultaty”.



Szkoła Pilotów, ufundowana przez pracowników KKO.



W końcowej części przemówienia gen. Berbecki podkreślił szczególną ofiarności pracowników KKO:

„Ofiarny odłam społeczeństwa polskiego — pracownicy i urzędnicy Komunalnych Kas Oszczędności R. P. podjęli inicjatywę zbudowania i wyposażenia najpiękniejszego z 40 lotnisk, ufundowanych przez L. O. P. P., szkoły pilotów w Świdniku pod Lublinem, której łaskawie zezwoliłeś nadać Twe imię.

„Jestem głęboko wdzięczny Ci, Wodzu, za dopuszczenie społeczeństwa, zorganizowanego w L. O. P. P. do współpracy w tej uznanej przez Ciebie za bardzo ważną dziedzinę obrony państwa”.

Po przemówieniu gen. Berbeckiego zabrał głos pan Marszałek:

„Szanowni Państwo!

„Z całego serca dziękuję wszystkim tym, którzy przyczynili się w sposób ofiarny i w tak niejednokrotnie dużo trudności wywołującym życiu codziennym do powstania tej szkoły pilotów.

„Dziękuję również L. O. P. P. z gen. Berbeckim na czele za wysiłki tu złożone.

„Dziękuję wszystkim, którzy tu pomogli przy tym dziele czy to pracą organizatorską, czy pomocą techniczną.

IZA KUŹMIŃSKA

## WOJNA, WOJSKO I P.C.K.

Twarde i bezlitosne prawo wojny nie zna „pardonu”. Życie za życie, krew za krew — to zasada wojny. Miłosierdzie notowano długo na jej marginesie w postaci doraźnych aktów dobrej woli. Pierwszym zorganizowanym przejawem zbiorowych uczuć humanitaryzmu była konwencja genewska, podpisana przez narody Europy dn. 22 sierpnia 1864 r. na skutek dobroczynnej akcji Henryka Dunant, zmierzającej do polepszenia losu chorych i rannych żołnierzy walczących armii.

Tak powstał 75 lat wstecz Czerwony Krzyż. Instytucja ta wzięła sobie za zadanie współdziałanie z organami wojskowej służby zdrowia w niesieniu pomocy żołnierzom, udzielaniu opieki jeńcom i dotkniętej wojną ludności cywilnej. Po likwidacji operacji wojennych działalność Czerwonego Krzyża objęła przede wszystkim ofiary wojny, a także ludność cywilną w wypadkach klęsk żywiołowych, epidemii itp.

W tym samym roku 1864 dogasało w Polsce powstanie. Padł dzielny żołnierz Chrystusowy i wódz powstania Romuald Traugutt. Wróg złamał ducha w narodzie, rozpalając podstępnie namiętności materialistyczne. Społeczeństwo potępiło „szaleństwo” swoich bohaterów, skazując ich na śmierć samotną, bez nadziei, że ofiara ich życia nie pójdzie na marne.

Dlaczego tak się stało? Bo zryw narodu do czynu musi być powszechny i niezłomny, a tę niezłomność zyskuje się jedynie w oparciu o moce Boże. Nikt nie poda ręki słabemu oprócz Boga. Lecz na Opatrznościową opiekę też trzeba sobie zasłużyć osobistym wysiłkiem. „Krew nasza, łzy nasze i całe męczeństwo z radością... ośmielamy się złożyć przed tronem Przedwiecznej Sprawiedliwości — wołała Traugutt w odezwie do narodu i dodawał zaraz: „Nie ustaniemy w tej strasznej walce przeciwko duchowi fałszu, tyranii i ciemności, dopóki prawda triumfu nie odniesie”.

Minęło prawie pół wieku nim naród w całej pełni zbudził się z letargu i ruszył do boju za „Wolność Oj-

„Mury te stanęły na fundamencie wysiłku ofiarnego, na datkach i ofiarności pracowników KKO. Ale nie tylko grosze ofiarne wpływały tu z rąk ofiarodawców, równocześnie zwracała się tu ich serdeczna myśl: ku tej szkole, ku powstającemu dziełu były gorące patriotyczne serca.

„Ofiarny grosz zmienił się w element siły materialnej, która tu zostaje i będzie służyła Ojczyźnie.

„Serdeczna myśl, polskie serca również pozostaną jako walor moralny. Będzie on stale towarzyszył wszystkim lotnikom, uczącym się tutaj, zdobywającym sprawności swe lotnicze, w czasie pokoju i będzie wówczas towarzyszył, gdy pracą twardą a piękną trzeba będzie zdobywać nie tylko kwalifikacje sprawności, ale wśród chmur — zwycięstwo.

„Niechaj to piękne dzieło, które tu powstało, będzie przykładem mądrej, przewidującej myśli państwowej, przykładem twardej, silnej woli, która umie swe zamierzenia realizować”.

Proste żołnierskie przemówienie pana Marszałka wywołało serdeczny entuzjazm, który w danej chwili wyraził się w wielokrotnie powtarzanym okrzyku: Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Podziękowanie pana Marszałka było najwyższą nagrodą dla pracowników KKO za poniesione trudy.

czynny”, nim Polska zaczęła odbudowę. Wtedy też dopiero zawiązały się pierwsze, dzielnicowe oddziały samarytańskie, a mianowicie na Pomorzu, w Wielkopolsce, na Śląsku i Wileńczyźnie.

Rok 1919 skupia poszczególne organizacje pod sztandarem Polskiego Czerwonego Krzyża. Narodziny nowej komórki obronności państwa przypadają na czasy wojny polsko-bolszewickiej i jednocześnie na czasy wytęszania bagnetem granic Rzeczypospolitej. Spadło więc na P. C. K. moc odpowiedzialnej pracy przy zupełnym braku funduszy, braku wyszkolonego personelu i braku sprzętu. A przy tym społeczeństwo — zubożałe i wyniszczone czteroleciami wojny światowej. Potrzeby żołnierza — olbrzymie.

Młody Polski Czerwony Krzyż nie cofnął się przed żadnym trudem. Zaczął odważnie organizować ratowniczą pomoc dla armii, nawoływać społeczeństwo do czynnego udziału w pracach P. C. K. i szkolić personel





pielęgniarski, wkładając w ogólny dorobek narodowy wszystkie siły.

Społeczeństwo nie pozostało głuche na apel P. C. K. Pośpieszyło tłumnie do jego szeregów, złożyło ostatnie grosze na zaopatrzenie sanitarne. Dzięki temu mógł P. C. K. rozwinąć szeroką działalność. Bilans trudnego dla odrodzonej Polski okresu w latach 1919 — 1920 obrazuje najlepiej rezultaty obywatelskich czynów P. C. K.

Nie lubimy statystyki. Lecz cyfry mówią czasem więcej niż słowa. Uruchomiono 15 szpitali na froncie i 13 na tyłach oraz 5 zakładów dla ozdrowieńców. Poza tym krążyło po kraju 6 pociągów sanitarnych, 3 czołówki konne, 2 transporty wodne. Zorganizowano 3 kompanie sanitarne, 5 patroli chirurgicznych, 34 kolumny dezynfekcyjne, 2 zakłady kąpielowe i pralnie, 32 punkty opatrunkowo-żywnościowe, 4 przychodnie dla chorych, 7 gabinetów dentystycznych.

A tymczasem padali w zaciętych walkach jedni, zwyciężali drudzy. Za granicami kraju czekali niecierpliwie na wyzwolenie uchodźcy i jeńcy. W domach czekano wieści z pola bitwy. W strzeleckich rowach spływało z ostatnim tchnieniem niejedno „Bywaj, Polsko, zdrowa”.

Trzeba było wzmocnić łączność frontu z krajem. Zaraz na początku 1919 r. założył P. C. K. informacyjno-wywiadowcze biuro, które stało się właśnie tym upragnionym źródłem łączności. Pośredniczyło w korespondencji między jeńcami a ich rodziną, rejestrowało meldunki o zmarłych, poległych, rannych i zaginionych żołnierzach, o zmarłych w niewoli bolszewickiej i jeńcach wojennych. Dzięki P. C. K. wróciło do kraju około tysiąca uchodźców z Ukrainy.

Skończyła się wojna. P. C. K. wstąpił w okres przygotowań do swej roli w przyszłości, do rozwiązywania zadań, jakie przypadły tej instytucji w udziale podczas pokoju. Nowe obowiązki wymagały dalszej współpracy ze społeczeństwem. Ale naród chciał zapomnieć o wojnie. Osłabł entuzjazm dla P. C. K.. Nikt nie uwierzył-

by wtedy starej rzymskiej maksymie: „Jeżeli chcesz pokoju — gotuj się do wojny”.

Zaczął się dla P. C. K. czas ciężkiej próby. A przecież za nieprzerwanym rozwojem P. C. K. przemawiała nie tylko pamięć o wojnie przyszłości, nie tylko konieczność zaspokojenia potrzeb powstałych z wyniku długotrwałych wojen, ale też konieczność podniesienia stanu higieny i zaniedbanej kultury sanitarnej kraju. Ale potrzeba poradni lekarskich, burs, ochronek, kąpielisk, wymagała pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. A tymczasem fundusze malały. Liczba członków P. C. K. z miliona spadła do kilkudziesięciu tysięcy.

Mimo to P. C. K. pracuje nieustraszenie. Poza akcją o charakterze społecznym prowadzi swoje prace podstawowe, a mianowicie szkolenie personelu pielęgniarskiego i przygotowanie materiałów.

W trudnych warunkach idzie praca P. C. K. w latach 1922 — 1928. Dopiero nadanie Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi przez władze państwowe statutu określającego cele i zadania tej instytucji na terenie Polski zgodnie z konwencją genewską, a zwłaszcza ofiarna służba P. C. K. dla kraju, zmieniły doń stosunek ogółu. W związku z tym poprawił się również stan finansowy P. C. K., co znów mu pozwoliło na rozszerzenie prac.

Dorobek ostatniego roku wskazuje na niemały rozmach. Zwiększono liczbę sanatoriów, szpitali, przychodni i ośrodków zdrowia, świetlic i kolonii w sumie do 316 placówek. Uruchomiono przeszło tysiąc posterunków ratowniczych na drogach publicznych. Pograniczne punkty P. C. K. w Stołpcach, Zdołbunowie i Turmontach dały pomoc sanitarną i żywnościową setkom Polaków i cudzoziemców.

Czyni wreszcie P. C. K. przygotowania na wypadek wojny. Stoimy znowu w jej obliczu. Zdajmy sobie sprawę, że obecny wyścig zbrojeń jest już wojną, chociaż bez bitew. Dzisiaj nazywa się „wojną nerwów”. Jutro może mieć charakter gospodarczy, albo uderzy w naszą postawę moralną. A ideałem jej jest atak na wszystkie dziedziny życia. A więc wojna totalna an-





gażująca wszystkich przeciw wszystkim. Wojna bez wypowiedzenia, przeciwstawiająca nie tylko siłę zbrojną jednej strony zbrojnym zastępom drugiej, ale też kulturze, finansom itd. Wojna, której naturalnym dążeniem jest wtargnąć aż do głębi życia prywatnego, do duszy ludzkiej, zastąpić środki techniczne bronią moralną, bodaj czy nie straszniejszą.

W takiej sytuacji potrzeba nam bardzo zdrowia fizycznego, żeby te wrogie siły móc odeprzeć, żeby nie poddać się zgubnym wpływom, wślizgającym się do duszy w coraz to innym kształcie. Nie możemy dać się zaskoczyć. Musimy silną wolą i niezłomnym charakterem odegrać szalejące z dwóch stron imperializm i nie dopuścić pod żadnym warunkiem do dezorganizacji życia publicznego.

Życie nasze musi być zorganizowane. Żołnierz gotowy do boju. Ład wnętrza kraju zabezpieczony. Armia ratownicza na posterunkach. Musimy pamiętać, że ratownictwo w wojnie współczesnej ma również wielkie znaczenie, jak wojsko. Czerwony Krzyż jest tą nietykalną armią, która ma swobodę działania na przestrzeni całego kraju, objętego pożarem wojny. Jest armią, która dotrze wszędzie, gdzie człowieka złamie cios wojny. Więcej nawet — celem jej jest uchylać te ciosy i zabezpieczać ludność przed nimi.

Zawodowe i moralne przysposobienie ludzi wymaga dłuższego czasu. Już chwila obecna nagli do pośpie-

chu. Toteż dzisiaj szkoli się 3 tysiące osób dziennie. Pośpiech jest tym bardziej konieczny, że potrzeba dodatkowo szkolić drużyny sanitarne w zakresie ratownictwa obrony przeciwpowietrznej i przeciwgazowej.

Druga rzecz, to sprawa ekwipunku pielęgniarskiego i materiały ratowniczo-sanitarne. Pracuje nad nimi Wytwórnia Materiałów Opatrunkowych P. C. K., przy której nadto gromadzone są samochodowe kolumny sanitarne, dezynfekcyjne, kąpielowe i odkażające, zestawy szpitali itd.

W końcu na uwagę i poparcie zasługuje stworzony przez Polski Czerwony Krzyż I Punkt Rejestracyjny Centralnego Instytutu Przetaczania Krwi P. C. K. Punkt określa grupy krwi i rejestruje ofiarodawców, którzy w razie wojny chcą służyć chorym i rannym żołnierzom krwią do transfuzji. Potrzeba tego daru dla naszych obrońców. Mogą go potrzebować w każdej chwili nasi bliscy. Wszyscy więc powinni przyjść w tej sprawie P. C. K. z pomocą. Czekają na to Polski Sanitariat Wojskowy.

Spółceństwo z pewnością nie zawiedzie. W przyszłej wojnie wszyscy będziemy napastowani przez wroga i wszyscy musimy się bronić i atakować. Cały naród będzie wojskiem i drużyną ratowniczą, stojącą w wojnie o całość i niepodległość Ojczyzny na straży naszego wspólnego, polskiego domu.

HALINA KONDECKA

## GAZECIARZ

— Nowiny Codzienne A. B. C.....

— Wieczór Warszaaw.....

— A pójdziesz ty, pokrako, ode mnie — przed samym sklepem mi wykrzykuje.

— Ojej, to ci dopiero sklep, buda jak dla psa.

Na Pawłową uderzyła łuna gniewu.

— A żeby cię pokręciło, żebyś złamanego grosza przez cały rok nie zarobił — buda, patrzcie go.

Pawłowa z rozczuleniem spojrzała na kramik z gazetami. Ile się napracowała, ile nabiedziła zanim dorobiła się do niego.

Kobiecina pieszczotliwym ruchem powiodła po całym stosie gazet, szczerzącym do niej czarne zębiska, jak wierny, dobry pies. Dzięki Bogu, interes idzie niezłe. Pawłowa ma swoją stałą klientelę, która powiększa się z każdym dniem; wiadomo Pawłowa nie zbuja ich, jak te chłopaki, co się pętają z krzykiem po ulicach, na przykład ten łobuz Franek, który jej sklep od budek przeżywa — chłopaczysko obiecuje ludziom różne wojny, bitwy, diabeł wie co, aby tylko wyciągnąć parę groszy i zmyka wtedy z całych sił.

— Łobuz bo łobuz — mruczy Pawłowa — ale zmyślna bestia.

Co tu dużo mówić, Pawłowa nienawidzi Franka z całej duszy, musi jednak podziwiać spryt chłopaka, gdy zmyśla takie okropności, że Pawłowej aż oddech w piersi zatyka. To ojciec zamordował sześcioro dzieci tępym nożem, a sam skoczył z ostatniego piętra drapacza na pl. Napoleona, to urodziły się sześcioraczki na Grochowie, to ciele z głową człowieka, lichy wie, co ten chłopak nie wymyślał, a ludziska kupowali i szukali dopiero.

Pawłowa mimo woli nieraz uśmiechała się pod nosem, słysząc wrzaski Franka, ryczącego jakby go zarzynali o tych wszystkich okropnościach, ale za chwilę gniew kazał jej zapominać o wszystkim, gdy chłopak wykrzy-

kiwał przed jej składem swoje nowiny i odbierał jej klientów.

Im więcej Pawłowa złościła się i wymyślała, tym bardziej i częściej chłopak kręcił się koło budki, szczerząc zęby do Pawłowej i starając tylko być w pewnej odległości od szcztoki, którą kobieta próbowała nieraz dosięgnąć swego rywala.

Doszło do tego, że już od rana, skoro świt, Franek pętał się koło budki Pawłowej, robił do niej perskie oko i ryczał co sił w piersiach swoje okropności.

— Czekaj, szczeniaku — myśli Pawłowa — przylapię ja cię kiedyś, to odpłacę za wszystko.

Ale któregoś dnia Pawłowa nie zobaczyła Franka przed budką, w pierwszej chwili ucieszyła się, ale potem zrobiło się jej markotno, jakby jej nagle czegoś zabrakło. Nie było komu wymyślać, nie było kogo przekpiwać, zawsze taki pętał się koło człowieka, wyszczerzał, a tak...

Tu Pawłowa rozłościła się na siebie, zamiast się cieszyć, że teraz więcej gazet naprzeda, to ona jeszcze zastanawia się nad tym łobuzem, zdudziło się pewnie chłopakowi tu sterczeć i polazł gdzie indziej, a jutro znów zjawi się na starym miejscu.

Minęło jednak parę dni, a Franka nie było widać. Pawłową korciło to coraz bardziej aż wreszcie nie wytrzymała.

— Słuchajno, mały — zapytała gazeciarza, którego nieraz widziała z Frankiem — gdzie jest teraz tamten łozuz, twój kolega?

— Franek?

— A Franek.

— Chory leży.

— Co mu jest?

Chłopak wzruszył ramionami:

— A bo ja wiem, leży i jęczy.



Pawłowa coś się zamyśliła.

— A kto się nim opiekuje?

— I... — machnął ręką mały — kto by się tam nim opiekował, on przecież nie ma nikogo. Mieszka u tej starej jędzy na Sosnowej, która tłucze go ile wlezie, a teraz tylko pomstuje, że nie przynosi pieniędzy i odgraża się, że go wyrzuci na ulicę.

Pawłowej zrobiło się dziwnie ciężko na sercu.

— Chora ci leży biedota i nikt go nawet nie pożałuje.

Niespodziewanie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że przecież i ona jest sama, sama jak ten kołek na świecie i jej, gdyby zachorowała lub umarła, nie pożałowałby nikt.

I nagle mały gazeciarsz wydał się jej dziwnie bliskim — czyż nie był również samotnym i bezradnym, jak ona sama.

— Gdzie on mieszka? — zapytała.

Chłopak wymienił adres i nazwisko opiekunki Franka.

Tej nocy Pawłowa źle spała.

Rano, skoro świt, wstała i powędrowała pod wskazany adres.

Jęczała i stękała, wdrapując się na wysokie schody, prowadzące na strych, wreszcie zasapana i zdyszana stanęła przed drzwiami i zapukała w nie energicznie.

— A kto tam? — zapytał zaspany głos.

— Ja — rzekła z mocą Pawłowa.

— Co za ja? Do kogo?

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich rozczochrana głowa.

Pawłowa zirytowała się:

— Olaboga, otwórzcie pani, nie ugryzę cię. Przyszłam zobaczyć tego łobuza Franka czy jeszcze żyje.

Kobieta niechętnie otworzyła drzwi.

— Ale, taki to ma twarde życie. Darmozjad. Wy-  
luguje się tylko i nie chce mu się iść do pracy.

Pawłowa weszła do pokoju. Owionął ją zaduch nie-  
przewietrzanej, pełnej stęchlizny izby — wzrok jej za-  
trzymał się na leżącym pod oknem barłogu.

Podeszła bliżej i zobaczyła zgorączkowaną, wynędz-

niałą twarz Franka. Oczy jego były błyszczące i niespo-  
kójne, usta mamrotały jakieś niewyraźne słowa.

Pawłowa pochyliła się i cofnęła natychmiast, doleciał ją gorący oddech dziecka.

Gazeciarka spojrzała groźnie na gospodynię:

— Jak pani masz sumienie pomstować jeszcze na chło-  
paka, przecież on jest ciężko chory.

Baba obrzuciła Pawłową złym spojrzeniem.

— To go pani zabierz, jakieś taka litościwa, u mnie nie  
szpital ani przytułek i tak go trzymam z łaski.

Na policzki Pawłowej wystąpił rumieniec oburzenia,  
ujęła się pod boki.

— A żebyś wiedziała, wywłoko, że go zabieram. Wi-  
dzicie ją — z łaski. Jak chłopaczyna zarabiał, to był  
dobry, a teraz fora ze dwóra, o piekielnica.

W oczach baby mignęła wściekłość — zdawało się, że  
rzuci się z pięściami na Pawłową, ale gazeciarka nie  
ulekła się, patrzyła jej prosto w oczy.

— No, zacznij tylko, to zobaczysz.

Ale w tej chwili chory Franek jęknął głośno i Pa-  
włowa zapomniała nagle o złości, podeszła do niego.

Chłopiec patrzył na nią niespokojnie, ale przytomnie.

— Niech mnie pani nie bije, moja pani Pawłowa —  
rzekł cicho — ja przecież wtedy tak dla hecy.

— Gdzieżbym ja cię tam, robaku, biła — rzekła z roz-  
czuleniem Pawłowa. — Przyszłam cię zabrać z tego  
chlewa od tej wiedzmy.

W oczach chłopca odbijały się kolejno niepewność,  
nadzieja, a potem radość — zrozumiał, że Pawłowa nie  
żartuje.

— O mój Boże, niech mnie pani stąd zabierze. Zo-  
bacz pani, ile jej gazet naprzędam.

Pawłowa machnęła ręką.

— Nie myśl teraz o tym, najpierw musisz wyzdrowieć  
i wypocząć, już ci u mnie nie będzie źle, biedota, a teraz  
zbiotaj się, idziemy.

Chłopiec próbował dźwignąć się z miejsca, ale siły  
odmówiły mu posłuszeństwa, opadł bezsilnie na łóżko.

Wtedy ujęły go silne ramiona Pawłowej, podniosły  
z barłogu i przycisnęły swego rywala do serca mocno,  
mocno.

ANTONI LEPARSKI

## ELEKTROHOMEOPATIA

### A Skuteczność działania środków elektrohomeopatycznych.

Stosowanie środków elektrohomeopatycznych datuje  
się od 80 z górą lat.

Fierwsze udane próby zastosowania przez hr. C. Mat-  
tei'ego wynalezionych przezeń środków w latach 1850 —  
60 nabrały dużego rozgłosu.

Dzięki przychylnemu ustosunkowaniu się do tych  
środków papieża Piusa IX, hr. Mattei uzyskał możność  
stosowania swych środków na chorych w szpitalu Św. Te-  
resy w Rzymie.

Doświadczenia te przeprowadzane były w obecności  
licznych lekarzy zarówno rzymskich, jak i przybywa-  
jących z innych miast oraz z obcych krajów Europy  
i nawet Ameryki.

Pomyślne wyniki doświadczeń wielokrotnie stwier-  
dzane były przez tych lekarzy. A że hr. Mattei bez-  
płatnie rozdawał i rozsyłał wytwarzane przez siebie  
środki wszystkim pożądanym ich, elektrohomeopatia  
w krótkim czasie nabrała szerokiego rozgłosu w całym  
cywilizowanym świecie.

(Ciąg dalszy).

Tenże papież Pius IX polecił misjonarzom, aby  
w swej pracy misyjnej przy niesieniu pomocy chorym  
posługiwali się środkami elektrohomeopatycznymi. Wte-  
dy też poczynione były pierwsze udane próby zastoso-  
wania elektrohomeopatii do tak ciężkich chorób jak  
trąd.

Zdawało się, że wynalezione przez hr. Mattei'ego środ-  
ki znajdują uznanie wśród ówczesnych lekarzy i zdo-  
będą w ten sposób pełnię praw obywatelskich. Niestety,  
tak się nie stało, wypadki potoczyły się inną koleją.

Większość lekarzy, mimo naocznego przekonania się  
o skuteczności środków elektrohomeopatycznych, nie  
tylko nie pogodziła się i nie uznawała tej rzeczywisto-  
ści, lecz po pewnym czasie zaprzeczała i kwestionowa-  
ła te fakty, których niedawno przed tym sama była  
świadkiem.

Rozchodziło się tu zawsze o postanowienie hr. Mat-  
tei'ego zachowania składu, a szczególnie sposobu wytwa-  
rzania środków elektrohomeopatycznych w tajemnicy.

Gdy do wiadomości hr. Mattei doszły fakty odsprze-



dawania otrzymywanych od niego bezpłatnie środków po fantastycznie wysokich cenach: 1 ziarnko po dolarze w Ameryce, a po 1 talarze w Lipsku, flaszeczkę płynnej elektryczności po 100 franków w Paryżu itd., wynalazca z jeszcze większą stanowczością potwierdził swoją decyzję o zachowaniu swego wynalazku w tajemnicy. Od tego też czasu zaczął on pobierać, niewysokie zresztą, opłaty za wytwarzane przez siebie środki i zorganizował w Bolonii centralę sprzedaży.

Utrzymywanie w tajemnicy składu chemicznego i sposobu wytwarzania środków elektrohomeopatycznych jest i dla współczesnych lekarzy największym powodem nieuznawania tych środków i kwestionowania skuteczności ich działania, mimo iż jedno z drugim nie ma wspólnego.

Drugim powodem zastrzeżeń i nieufności do środków elektrohomeopatycznych ze strony lekarzy-allopatów jest kwestia doz. Jak wiadomo — medycyna allopatyczna operuje przeważnie dozami masywnymi, jakkolwiek coraz częściej wchodzi w życie dozy minimalne, np. roztwory tzw. Kolloidalne. W ten sposób granica między dozami allopatycznymi a dozami homeopatycznymi właściwie nie istnieje, tym bardziej, że i metoda homeopatyczna stosuje w niektórych wypadkach dozy masywne.

A już w świetle dzisiejszej wiedzy fizyko-chemicznej z zakresu istoty i budowy materii, kwestionowanie homeopatycznych, nawet nieskończenie małych doz zakrawa na jakieś nieporozumienie, trąci anachronizmem.

Ostatnie zdobycze uczonych-fizyków stwierdzają, iż energia elektronowa, zawarta w jednym gramie uranu, równoznaczna jest z ilością energii cieplnej, zawartej w 50 tysiącach ton węgla kamiennego. Innymi słowy, energia cieplna jednej tony węgla równoznaczna jest z ilością energii, jaką reprezentuje jedna 2-milionowa część grama uranu, a 1 kg węgla — jednej 20-bilionowej części gramu uranu.

Stąd wnioski:

1) nieskończenie małe dozy homeopatyczne odpowiednich środków, wyrażające się w najwyższych rozcieńczeniach (3-cie, 6-te, 10-te i nawet 30-te), reprezentują takie ilości energii atomowej, które w organizmie ludzkim lub zwierzęcym nie mogą pozostać bez skutku, oddziałując nań bądź dodatnio, bądź ujemnie, zależnie od stanu chorobowego, od powinowactwa raczej biologiczno-psychicznego, niż fizyczno-chemicznego oraz od całego szeregu innych i nieznanych jeszcze okoliczności (teoria dynamizacji środków przez ich rozcieńczenie);

2) istota działania leczniczego środków elektrohomeopatycznych nie polega na dokonywaniu się procesów fizyczno-chemiczno-biologicznych, lecz na pobudzeniu własnych sił żywotnych organizmu do przywrócenia zachwianej równowagi i normalnego biegu procesów życiowych, co stanowi podstawowy cel metody elektrohomeopatycznej;

3) Skoro istota procesu uzdrawiającego jak i istota samej choroby są tylko domniemaniami, nie jest rzeczą ważną, jaki jest skład chemiczny i w jaki sposób wytworzony został ten lub inny środek; o wiele ważniejszym jest sam fakt posiadania przez ten środek własności leczniczych, uzdrawiających;

4) wszelkie leczenie obraca się wciąż jeszcze w ramach wiedzy empirycznej i z tym trzeba się pogodzić, rezygnując zarazem z nieusprawiedliwionych zarzutów pod adresem elektrohomeopatii jako metody rzekomo nie naukowej.

## B Przykłady z praktyki elektrohomeopatycznej.

Przez 80 z górą lat praktycznego stosowania środków elektrohomeopatycznych przez lekarzy i przez laików we wszystkich krajach wszystkich części świata zgromadził się bardzo obfity materiał doświadczalny i dowodowy.

Materiał ten zarejestrowany i utrwalony w rozmaitych wydawnictwach, czasopismach i podręcznikach, opracowany zwłaszcza przez lekarzy, daje niezbita dowody skuteczności działania środków hr. Mattei nie tylko w wypadkach pospolitych chorób, lecz i tych, na które metoda allopatyczna nie posiada skutecznej rady i które uznaje bądź za nieuleczalne, bądź za kwalifikujące się jedynie do zabiegu chirurgicznego.

Chodzi tu o raka, gruźlicę, zadawnione reumatyzmy i artretyzmy, kamienie wątrobiane, nerkowe i pęcherzowe, rozmaite cierpienia kobiece itd.

O ile zaatakowane powyższymi chorobami organa nie są jeszcze zniszczone i o ile żywotne siły organizmu nie są do reszty wyczerpane, w wielu wypadkach środkami elektrohomeopatycznymi można nie tylko usunąć potrzebę interwencji chirurgicznej, lecz i zażegnać niebezpieczeństwo śmierci, kalectwa i niedołęstwa tam, gdzie stan uznany był już jako beznadziejny.

Interesujący się i pragnący mieć potwierdzenie tych faktów, mogą znaleźć je we wzmiankowanych wyżej książkach i wydawnictwach, których — niestety — w języku polskim prawie nie ma, ale jest sporo w językach angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim i innych.

Z własnych doświadczeń i obserwacji autor niniejszych rozważań może podać fakty następujące.

W r. 1917, jako uczestnik wojny światowej, piszący te słowa zapadł na kamicę nerkową i wtedy właśnie zainteresował się środkami elektrohomeopatycznymi, przeprowadzając praktyczne ich zastosowanie na sobie, w wyniku czego rozwój choroby został powstrzymany. Jednakże nawrót jej nastąpił w r. 1920, a to dlatego, że nie była ściśle przestrzegana dieta bezmięсна. Od owego czasu, dzięki ograniczeniu spożywania mięsa, ściślej zaś mówiąc, białka zwierzęcego pochodzenia, bo chodzi tu i o jaja, do minimum (najwyżej raz na tydzień i to w ograniczonej ilości) i dzięki zażywaniu od czasu do czasu środkom elektrohomeopatycznym ( $S_2$ ,  $A_3$ ), wszelkie przejawy choroby znikły i już nie powtarzają się.

Na sobie też piszący te słowa dwukrotnie doświadczył przerwania w początkowym stadium najoczywistszego zapalenia płuc.

To samo osiągnięte zostało u p. C., emeryta kolejowego, liczącego w czasie choroby 69 lat.

U 83-letniej staruszki p. S. w ciągu 6 dni stosowania środków elektrohomeopatycznych opanowane zostało w dotkliwej formie zaostrzone chroniczne schorzenie nerek. Potem staruszka ta żyła jeszcze 6 lat, mimo niepomahowania w zwienui zarówno pod względem jakościowym jak i ilościowym.

U kobiety około lat 30, p. B., wstrzymany został w ciągu 6 godzin krwotok po poronieniu i po bezskutecznym w ciągu kilku dni przyjmowaniu leków zaleconych przez Ubezpieczalnię.

Spowodowane poraniem dłoni zakażenie z obrzękiem całej ręki i gorączka, w stanie groźącym gangreną, u mężczyzny lat 45, p. J., opanowane zostało w ciągu 5 godzin czystymi, co 5 — 10 minut dawkami środków elektrohomeopatycznych ( $A_1$  — 3-cia szklanka i S, 1-sza szklanka); w ciągu następnych kilku dni rana się zagoiła i wszystkie objawy choroby znikły.



Mężczyzna lat 30, p. Z., wskutek ciężkich warunków bytowania materialnego: niesprzyjające warunki pracy i mieszkania (w jednym pokoju z gruźlikiem), niedostateczne i nieregularne żywienie — zapadł na gruźlicę płuc, stwierdzoną przez prześwietlenie Roentgenem i mikroskopijne badanie płwocin; skierowany został do szpitala celem poddania się zabiegowi odmy; półtora miesięczny okres oczekiwania na miejsce w szpitalu poświęcił przeprowadzeniu kuracji środkami Mattei'ego (A<sub>1</sub>, C<sub>1</sub>, P<sub>1</sub>, S<sub>1</sub>); ponowne zbadanie w szpitalu — zdjęcie Roentgena i badanie mikroskopijne płwociny — nie ujawniły żadnych przejawów chorobowych i po 8 dniach wypisany został ze szpitala jako zupełnie zdrowy.

Oto kilka przykładów najbardziej interesujących i jaskrawych.

Liczba wypadków likwidowania wszelkich form zaziężeń i jego skutków, wszelkich zaburzeń w przewodzie pokarmowym i procesie trawienia sięga dużych dziesiątków.

### V. Społeczne znaczenie elektrohomeopatii.

Skuteczność działania środków elektrohomeopatycznych w walce z trapiącymi człowieka chorobami, skuteczność przewyższająca wszystkie inne znane w medycynie środki, nie wyczerpuje wszystkich zalet i wartości tych środków.

Dodatkowa cenną zaletą ich jest to, iż są one absolutnie nieszkodliwe. Można bowiem przyjąć nie tylko dowolnie dużą dawkę ziarenek każdego z tych środków, lecz nawet spożyć całą zawartość ampułki i to nie wyrzadzi żadnej krzywdy organizmowi. — Jedyne w tym wypadku, kiedy dany środek odpowiada stanowi chorobowemu organizmu, nieodpowiednia dawką tak samo w ziarenkach jak i w roztworze, powoduje przejściowe zaostrzenie symptomatów choroby, co nie wyrzadza krzywdy organizmowi, a posiada nieoszacowaną wartość diagnostyczną z tego względu, że jest niezawodnym sprawdzianem trafności doboru środka do danego stanu chorobowego.

O zaletach całkowitej nieszkodliwości oraz powinowactwa z chorobami nie da się powiedzieć w odniesieniu do żadnego z nieskończonej ilości środków, jakie są używane przez inne metody lecznicze.

Teraz kwestia tzw. obciążeń dziedzicznych.

Powszechnie znanymi są przejawy tych obciążeń w postaci najrozmaitszych form skrofulów, krzywicy, anemii, cherałctwa, zaburzeń w systemie nerwowym (konwulsje, padaczki, epilepsja), niedorozwoju umysłowego, idiotyzmu, kretynizmu itd.

Wszystko to są skutki obciążenia rodziców tego rodzaju

chorobami jak: kiła i inne choroby weneryczne, narkomania, alkoholizm itp.

Sprawa komplikuje się tym jeszcze, że choroby pozostają u rodziców w stanie utajonym i przewijają się u potomstwa nie koniecznie w pierwszym pokoleniu.

Osiemdziesięcioletnie doświadczenia w stosowaniu środków elektrohomeopatycznych wykazują, iż przyjmowanie przez matkę w okresie ciąży takich środków, jak S<sub>1</sub> przede wszystkim, a dalej V, C, A i Werm., neutralizuje pierwiastki chorobowe i osłania rozwijający się w łonie matki organizm dziecka przed obciążeniami dziedzicznymi.

Zbytecznym jest chyba szerzej rozwodzić się nad wartością i znaczeniem tego faktu ze stanowiska eugeniki i zabiegów o podniesienie wartości rasy ze wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami: społecznymi, ekonomicznymi i wojenno-politycznymi.

Niewspółmiernie małym nakładem energii i środków materialnych można osiągnąć nieporównanie lepsze wyniki od tych, jakie dają wszystkie pracujące w zakresie zwalczania obciążeń dziedzicznych i poprawienia rasy — urzędy i instytucje.

Posługiwanie się środkami elektrohomeopatycznymi, zapobiegając jakże często samemu zapadaniu na zdrowiu, dalej skracając do minimum okres trwania choroby i wreszcie redukując do groszowych sum wydatki na kurację, znakomicie zmniejsza obie pozycje wymienionych wyżej strat osobistych i społecznych.

*Te fakty szczególnie musiałyby być wzięte pod uwagę przez czuwające nad zdrowiem publicznym władze państwowe oraz instytucje Ubezpieczalni i Ubezpieczeń społecznych. Jest to bowiem kwestia zaoszczędzenia dużych milionów.*

Zanim jednak przesady i uprzedzenia znikną z umysłów przedstawicieli urzędowej medycyny, zanim środki elektrohomeopatyczne zdobędą uznanie i prawa obywatelstwa, na jakie one zasługują, nie pozostaje nic innego, jak korzystać z dobrodziejstw tych środków na własną rękę przez każdego, kto się zainteresuje i zapozna z tymi środkami i kto zechce zapewnić lepszy stan zdrowia sobie, rodzinie i współobywatelom z otoczenia.

Z szczególnym apelem autor niniejszych rozważań zwraca się do Wielebnych Księży w miasteczkach i wsiach polskich, pozbawionych często wszelkiej opieki i pomocy lekarskiej. Z takimże apelem zwraca się autor i do wszystkich innych przedstawicieli inteligencji prowincjonalnej, którym nie są obojętne sprawy społeczno-narodowe, a w ich liczbie i kwestia porady i pomocy ludowi polskiemu w podniesieniu i utrzymaniu na wyższym poziomie jego stanu zdrowia.

### Dokończenie artykułu: „Wytwarzamy złoto”.

Przecież już dziś posługujemy się energią elektryczną w formie prądu elektrycznego. To przecież elektrony świecą w naszych żarówkach, poruszają tramwaje i pociągi elektryczne, elektrony w ułamku sekundy zanoszą nasz głos i nasze radiogramy na krańce ziemi. Człowiek już dosiadł elektronowego rumaka, trzeba tylko lepiej usiąść w siodle, krócej wziąć cugle, a energia elektronów zacznie spełniać posłusznie każdy rozkaz.

Sir Wiliam Bragg pisze: „Jestem zdania, że energia atomowa będzie zaspakając nasze przyszłe zapotrzebowania. Tysiąc lat minie może zanim okiełznamy atom, ale może także już dzień jutrzejszy ujrzy nas z cuglami w rękę. Jest to swoistą właściwością fizyki, że praca

badawcza i „przypadkowe” odkrycie idą ręką w rękę”.

Bezkrwawa wojna o opanowanie świata atomów w razie odniesionego zwycięstwa dałaby zgoła inne korzyści niż dzisiejsze wojny o naftę, węgiel i ziemię.

Olbrzymie wysiłki i ofiary ponosi się po to tylko, by podbić w niewolę wolnego człowieka i zagrabić bogactwa jego ziemi... Gdyby tyle ofiar i tyle wysiłków włożono w walkę o ujarzmienie przyrody i wydarcie jej ukrytych w głębi atomów-skarbów, kto wie, jak wolni i jak bogaci byli by dziś ludzie...

To wyzwolenie drogą bezkrwawej i dobroczynnej rewolucji przygotowuje w cichej, skupionej i niedocenianej pracy bractwo nowoczesnych alchemików-przyrodników.





# NA FALACH CZASU

## Z PIŚMIENICTWA

W Polsce.

Bogato ilustrowana księga pt. „Ferdynand Ruszczyk. Życie i dzieło”. — mogłaby nosić tytuł jednego z najpiękniejszych obrazów tego znakomitego malarza: *Nec mergitur*. Śmierć cielesna nie pogrzyżyła bowiem w morzu niepamięci wielkich zasług artysty i społecznika, któremu przyjaciele wystawiają dziś pomnik niezwykle.

Świeżo opublikowana księga jest hymnem na cześć piękna, któremu Ruszczyk całe swoje życie poświęcił. Jest ona również dowodem potęgi przyjaźni. Oto w ciągu dwóch lat grono przyjaciół zmarłego zdążyło zebrać i rozgospodarować olbrzymi materiał biograficzny tej niezwyklej postaci. Kim był Ferdynand Ruszczyk, opowiada na pięciuset blisko stronicach *in quarto* chór głosów, a więc profesorowie Tichy i Morelowski, kolega szkolny Józef Wierzyński i Jan Bułhak, najwierniejszy współtowarzysz pracy wileńskiej i miłośnik wielkiego ducha Ruszczykowego.

Na wstępie księgi M. Morelowski, prof. uniwersytetu wileńskiego analizuje twórczość malarską Ruszczyka. Jej źródłem najważniejszym było Wilno, miasto najwspanialszego w Polsce baroku kościelnego. W sztukę epoki minionej tchnął Ruszczyk nowe życie i wskrzesił ją dla współczesnych.

Zbliżony do impresjonizmu francuskiego, pozostał jednak Ruszczyk dalekim od panteizmu, znamionującego zazwyczaj ten kierunek sztuki. W jego obrazach sprzed wielkiej wojny objawia się Polska wieczysta, przemawiająca do rodaków porwijącymi symbolami, które nam w czasie niewoli pokrzepiały serca.

„Fluctuat — nec mergitur” — okręt płynący śmiało wśród wzburzonego odmetu stał się pod pędzlem Ruszczyka symbolem całej Ojczyzny.

Równie wspaniałą wyrazistość ideową posiada także „Ziemia”, arcydzieło Ruszczykowe, w którym harmonia i nieśmiertelne piękno ujawniają się w trudzie oracza, odwalającego skiby gleby pod skłębionymi obłokami.

W tej ziemi każdy Polak odczuwa Ojczyznę, a każdy człowiek — cud przetwarzania się pracy śmiertelników w nieśmiertelnione piękno.

Po francuskim szkicu prof. Morelowskiego zabiera głos w księdze Ruszczykowej prof. Garol Tichy. Pisze on: „Kompozycje Ruszczyka są wartką jak sonet... Za firanką ogromnych, pochylonych brzoź od-

ślania się wściekła panika chmur... Wszystko w tych kompozycjach robi wrażenie gromu, jest surowe, tęgie i pierwotne... Z palety na płótno przenosi całe skiby farb, tak doprawionych, że od razu go-reja...”

Najobszerniej wypowiedział się o swoim mistrzu i przyjacielu Jan Bułhak, współ z Ruszczykiem odczuwający piękno Wilna i urok polskiej wsi, współtowarzysz jego pracy przy utrwalaniu Polski wiecznej na jej kresach wschodnich.

Zawdzięczamy Bułhakowi wyborny portret literacki Ruszczyka: „Ruszczyk miał naturalną wytworność postaci i ruchów, a głos niezmiernie wyrazisty”. Zawarta w nim bogata gama tonów — „tworzyła połączenie lwiej mocy i dziecięcej beztrioski. Zamaszysta płowa czupryna ocieniła czoło, wydatnie, guzowate, sklepione z wybitną oryginalnością; profil miał w sobie coś orlego, a oczy wyrażały to skupioną wolę, to znów prześlicznie ludzka i przystępną dobroć. Czoło mędrca, wzrok wodza, a w uśmiechu słoneczna radość. Oto był Ruszczyk... Wpatrzony w gwiazdy ponad głową, nie zanomnił o glebie pod nogami, dlatego tak bliski mu był i pejzaż, i wiejskie Wilno, i polna nasza Polska... Kochał się nawet w dźwiękowej formie takich słów, jak kwiat, drzewo, wiosna, młodość i wymawiał je z poufnym naciskiem, w którym wibrowało zachwycenie, jak wieczna lampa przed świętym obrazem”.

Wspaniała monografia wielkiego artysty jest zarówno aktem czci i miłości dla zmarłego, jak też głębokim i kształcącym rozbiorem jego spuścizny artystycznej. Czerpać stąd będą swoi i obcy wiedzę o pięknie, skapanym w blasku przeczystej duszy człowieka z rasy tych Polaków, któ-

rzy zjadaczy chleba w aniołów przerabiali...

322 ilustracje niemniej wymownie od słów odtwarzają niezwyklej polot twórcy Ferdynanda Ruszczyka.

*Wielki Tydzień*, najnowsza powieść Eugenii Kobylńskiej, nagrodzona w roku zeszłym na Kongresie Jubileuszowym Księgarni św. Wojciecha, chwytła za serce każdego człowieka wrażliwego na piękno.

Dar wyjątkowy autorki stanowi umiejętność odnajdywania piękna w najpospolitszych na pozór dziedzinach codziennego życia. „Wielki Tydzień”, to dzieje nauczycielki z powołania, czyli istoty, w której gości geniusz macierzyństwa. Masia, bohaterka powieści, nazywana jest od pierwszej do ostatniej kartki imieniem zdrobniałym, gdyż zachowała prostotę i urok dziecienny, niezatrącony cudem nie tylko w ciężkiej walce o byt własnych synków, lecz także i o byt duchowy gromadki uczniów, traktowanych po macierzyńsku. Natura twórcza, daleka od mechanizacji, przeżywa ciągle swoje codzienne obowiązki, jak nowe wydarzenia. Wzruszona i pełna „tremy”, Masia osiąga w szkole wyniki niedostępne najwytrawniejszym rutynistom pedagogii. Jedną z najpiękniejszych kart książki jest opis lekcji w niesfornej klasie męskiego gimnazjum, gdzie zamierzająca z lęku nauczycielka odważa się pod wpływem autentycznego natchnienia wzbudzić w rozfiglowanych trzynastolatkach cześć dla kobiety-matki. Z jak wzorową prostotą wyprowadzić potrafiła autorka z kultu dla Matki Bożej kult dla matki Polki, świadczy wyborna scena, gdy chłopcy na wyścigi wyliczają dowody tej czci:

„... A hymn polski „Bogurodzica”? A to, że Matka Boska jest Królową Korony Polskiej? A nabożeństwa majowe? A różańcowe? Któryś krzyknął, „ryngrafy”, a inny obiecał przynieść i pokazać ryngraf... W klasie aż błyskało od gorących słów. Wyczarowano w ten smutny listopadowy dzień zapach nabożeństwa majowego. Kazano grzmieć działom pod Częstochową. Włożono koronę na głowę Matki Boskiej Ostrobramskiej...”

„...Tak... Widzimy dokładnie, jak naród polski czcił Bogarodzicę. Ale czy to wielbienie wpłynęło na zwyczaje, życie i charakter Polaków? (zapytuje pani Masia)... Chłopcy dręczyli się coś dziesięć minut czasu, podając najrozmaitsze dowody przenikania czci Matki Bożej do domów, ale nauczycielka ciągle mówiła: — No, a jeszcze co?”

OPALA skórę chroniąc przed oparzeniem, identny olejok Eritemol nr 176  
PRZYCIEMNIA skórę Karnaciol nr 224  
P. O T i niemiłą woń usuwa plyn Hydrozin nr 166  
Instytutu Kosmetyczno-Lekarskiego



HELENA BRZEZINSKA I S-KA sp. z o. o.  
WARSZAWA, Senatorska 37.  
Do nabycia we wszystkich większych składach aptecznych i drogeriach na terenie całej Polski.



Aż wreszcie drugoroczny Kazik, wstał ze swojej ostatniej ławki i powiedział do bitnie: — „A cześć dla polskiej kobiety? — Klasą przeszedł szmer... — Tak! — krzyknęła budząc się z trudnego snu Masia. — Prędeż, chłopcy! Dajcie mi historyczne dowody czci dla kobiety, a przede wszystkim dla matki w Polsce...”

I pokazało się, że z hałaśliwych niedorostków można wydobyc skarby nieoczekiwane: — Pod wpływem nauczycielki-artystki przechodzi przez klasę nagły prąd natchnienia, dzięki któremu nawet „zakute głowy” otwierają się dla pojęć subtelnych i głębokich.

„Wielki Tydzień” jest ważną pozycją w beletryście katolickiej, gdyż przedstawia tak częsty, a tak rzadko po literacku ujmowany proces stopniowego uświadamiania sobie samemu, że się jest człowiekiem wierzącym, że nic, prócz płytkich butów, nie stoi na przeszkodzie do podania się opiece Boskiej i naukom Kościoła. Dzwony Zmartwychwstania — ostatni akord „Wielkiego Tygodnia” — obwieszczają także powrót duszy ludzkiej do pełnego życia, w którym codzienne strapienia są tak samo cenne, jak chwile radości.

Zacięci pisarskie i temperament uderzały już i w poprzednich utworach E. Kobylńskiej. W „Wielkim Tygodniu” widzimy jednak nie tylko nowy etap w rozwoju talentu, lecz również i ducha. Powieść ta powinna znaleźć miejsce w każdej rodzinie, dbałej o kult kobiety-matki.

„Wielki Tydzień” ukazał się w pierwszej serii nowego wydawnictwa, objętego nazwą „Jasných ksiąg”. Ich przeznaczeniem ma być przenikanie w jak najszerze kręgi czytelnice i rozpraszanie mroku życia smugą duchowej pogody. Zajmująca, pełna świeżości powieść p. Kobylńskiej zasługuje na poczesne miejsce w tym „jasnym” cyklu.

Wanda Miłaszewska.

## MUZYKA

Z życia muzycznego Warszawy.

Dwa główne ogniska, z których winna promieniować sztuka muzyczna, więc: Filharmonia i Teatr Wielki, zamknęły swe podwoje.

Życie Filharmonii płynęło nurtem, od kilku lat ustalonym. Patrząc na nie okiem krytycznym, a zarazem obiektywnym, należy powiedzieć, że robiono tam dla sztuki w ogóle, a dla polskiej w szczególności, bynajmniej nie mało. Oczywiście w granicach możliwości.

Filharmonia Warszawska jest instytucją prywatną. Właścicielami jej są ludzie, posiadający akcje, w znacznej mierze spadkobiercy założycieli tej placówki, której artystyczne cele miały być jednym ze środków budzenia i hodowania naszej kultury duchowej.

Spółceństwo polskie widzi w Filharmonii instytucję, której zyski winny być natury nie materialnej, lecz duchowej właśnie. Nie dywidenda z akcji, ale rozwój muzyki na wysokim stojący poziomie — oto „dochody” Filharmonii w mniemaniu umiędlonej szlachetnie myśleć części społeczeństwa naszego.

O ile sędzić można na podstawie obserwacji działalności F. W., kierownictwo jej, starając się powiązać koniec z końcem i nie wpaść w stan niemal bankructwa, co nie byłoby w dziejach Filharmonii nowością nieznaną, stara się jednak utrzymać powagę artystyczną placówki w myśl intencji jej założycieli.

Dlatego też w planie koncertowym i w szczegółach jego realizacji widzimy wyraźną myśl stworzenia przez Filharmonię w Warszawie atmosfery artystycznie napiętej wysoko. W sezonie mamy zazwyczaj, a mieliśmy także i w minionym obecnie, kilka produkcji miary wyjątkowej. Dość wspomnieć dwa koncerty pod dyrekcją Hermana Abendrotha, kiedy to wykonano „Requiem” Verdiego i IX Symfonię Beethovena.

Kilku kapelmistrzów o nazwiskach dobrane nam znanych, jak Georges Georgesco, Emil Cooper na przykład lub nowych, a noszonych przez dyrygentów świetnych, jak Tauno Hannikainen (z Finlandii), było gwarancją wieczorów naprawdę pięknych. Specjalny charakter miał Festival węgierski, na którym w roli pianisty, kapelmistrza i kompozytora wystąpił Ernest Dohnányi, sławny, czołowy muzyk Węgier.

Jeśli mówić mam o ogólnym charakterze sezonu ubiegłego, to w Filharmonii znać było stopniowe przesuwanie się ku muzyce o wartościach ustalonych. Utworów eksperymentalnych lub takich, co to od paru lat włączane bywają do „muzyki zwyrodniałej” (termin wprowadzony w Niemczech), albo stojącej „do góry nogami” (Aldous Huxley) — nie było wiele. Stabilizacja smaku w normalnej skali estetycznej odbywa się na całym świecie. Kierunkowi temu ulega, rzecz prosta, Warszawa także.

Muzyki polskiej nie było za wiele. Można by tutaj rozszerzyć pojemność repertuarową. Można by przypomnieć szereg nazwisk, niesłusznie wycofanych z obiegu. Ciekawy fakt ponadto: większość utworów polskich na koncertach piątkowych słyszeliśmy w wykonaniu kapelmistrzów *obcych*, a nie polskich!

Jeżeli mam mówić o imprezie „operowej”, mieszczącej się w Teatrze Wielkim, to niestety, nie mogę znaleźć ani słów pochwały, ani choćby usprawliwienia.

Była to typowa impreza handlowa. Oparto ją na nieprzebiegającej w środkach reklamie i na schlebaniu gustowi mas szerokich, nie zdających sobie sprawy z tego, co to jest sztuka, sztuka i poziom. Rezygnując z linii artystycznej, goniąc przede wszystkim za sensacją, która miała być magnesem, ściągającym pieniądze metalowe do kasy, dzierżawcy Teatru Wielkiego dopięli swego: stworzyli konkurencję teatrom kinowym. Był to, jak sprawiedliwie ogłoszono, „najtęższy” teatr w Warszawie, ale też i repertuar, i poziom wykonania stały na poziomie tej „Opery za 2 złote”.

Doszło do tego, że w Warszawie w Teatrze Wielkim, który pamięta wspaniałe przedstawienia arcydzieł literatury w jej pojęciu wysokim, dawano bądź takie szmiry, jak żydowska operetka „Książę Szirasu”, bądź sztuki kryminalne, jak „Pani X”, bądź — co najśmieszniejsze — podawano w formie wydarzenia artystycznego wznowiecie od niepamiętnych lat granej setkami razy „Rycerskości wieśniaczej”! To samo, co jest jeszcze dzisiejsze, zrobiono ze starą „Trawiata”.

FABRYKA BIELIZNY I KRAWATÓW  
pod firmą  
ZAKŁADY PRZEMYSŁ. - HANDLOWE  
CZARNOWSKI I JEZUITKOWSKI  
Sp. z o. o.

WARSZAWA, UL. RYMARSKA 8  
polecia swoje wyroby: bieliznę męską,  
kołnierze białe sztywne, krawaty,  
chustki męskie ozdobne i materiały  
popielinowe na bieliznę z własnej tkalni  
w Łodzi.

Fakty te dostatecznie charakteryzują nastawienie artystyczne kierownictwa Teatru Wielkiego, przekształconego na teatr popularny, „najtęższy”.

Któż by przeczył naiwności rozszerzenia kultury operowej wśród mas szerokich?



Po drugie-  
raz dwa ugotowana  
rodzima kawa  
**Enrilo!**

Nikt z pewnością, jeśli docenia ważność nauczania tych mas i istnienia szkół powszechnych. Czy wszakże do pomyslenia jest państwo wielkie o kulturze wielowiekowej, o tradycjach pięknych, o niepośledniej sztuce, które by miało tylko... szkoły powszechne dla mas, a skasowało gimnazja, a zwłaszcza uniwersytety i akademie? Co jest warta dla kultury artystycznej w jej wyższym pojęciu owa „Opera za 2 złote”, stojąca na linii szkoły powszechnej lub nawet przedszkola?

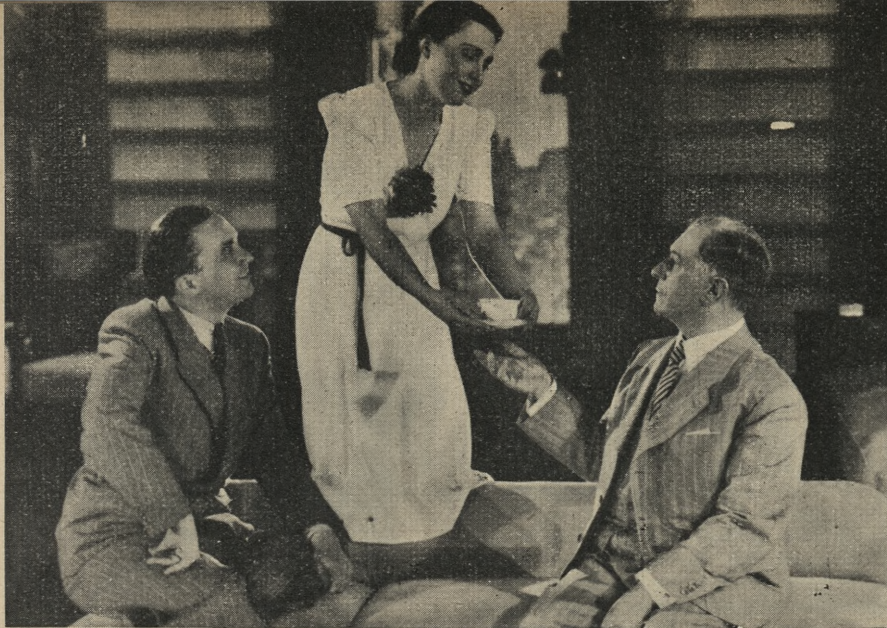
Moglibyśmy zgodzić się na oddanie gmachów uniwersyteckich szkołom powszechnym, ale tylko wtedy, gdyby uniwersytetowi zapewniono pomieszczenie inne. Podobnie z Operą. Niech istnieją widowiska popularne, ale nie kosztem usmiercenia widowisk artystycznych. W przeciwnym razie fakt odbiżenia kultury tak jest uderzający, że zrozumieć go musi chyba każdy człowiek, inteligencji niepozabawiony.

Koniec sezonu obfituje zazwyczaj w popis szkolne. Uczelnie, mające za zadanie kształcić młode siły, przyszłych artystów, muzyków i działaczy, organizują w formie koncertów publicznych pokazy młodzieży muzycznej, w murach szkół do swego zawodu przygotowanych. Przoduje tutaj oczywiście uczelnia największa, najstarsza i najbardziej wyposażona, Państwowe Konserwatorium Muzyczne. W drugiej linii idzie W. Szkoła im. Fr. Chopina (Warsz. Tow. Muzycznego). Dalej reszta.

W roku bieżącym Konserwatorium dało 5 popisów: orkiestrowo-chórowo-kapelmistrzowski, solowy i kompozytorski, kameralny, operowy i organowy. Przez estradę i scenę przesunął się szereg sił, uzdolnionych a nawet utalentowanych, dobrze przygotowanych do pracy samodzielnej.

O popisach innych — następnym razem.  
P. Rytel.





Kazimierz Wilamowski, Irena Malkiewicz-Domańska i Wojciech Brydziński w sztuce „Koleżanki”.

## TEATR

Teatr Narodowy wystawił wartościową sztukę angielskiego autora „Lśniący strumień”, utwór pełen aktualnych akcentów, a jednocześnie dotykający zagadnień wyższego rzędu, Dzień dzisiejszy reprezentuje doświadczalna stacja przeciwlotnicza na Atlantyku, gdzie opracowują projekty torpedy powietrznej, mającej zapewnić bezpieczeństwo przed atakami lotniczymi. Zjawia się tu dziewczyna, Karen, siostra zmarłego świeżo młodego oficera, wybitna matematyczka. Jej wiedza i zdolności przysłużyć się mogą w trudnej pracy badawczej. Jediną przeszkodą jest jej uroda, jej świeża kobiecość, która wznieść może do środowiska zapaleńców nauki i pionierów techniki niepotrzebny niepokój i rozdziwienie.

Ale Karen umie się wznieść na heroiczne szczyty tej atmosfery pracy i poświęcenia, jaka panuje na wyspie i jakiej wymaga praca badawcza. Dewizą Karen staje się „miłość i matematyka, to jedno”, słowem, że jedyną rzeczą godną w danych warunkach ukochania i poświęcenia jest sprawa eksperymentu naukowego, że dla tego celu warto i należy wyrzec się wszelkich osobistych doznań uczuć i dążeń. Karen, po dobnie jak nasz Gustaw z „Dziadów”, odradza się w wyższej bohaterskiej postaci Konrada.

St. Kwaskowski, H. Różańska, H. Zarembina, W. Bartówna, P. Ziemińska i W. Ziemiński w sztuce „Expose p. mini-strowej”.



Jeśli się zważy, że mamy tu do czynienia ze sztuką autora nowoczesnego, ze środowiska zachodnio-europejskiego, to nie trudno nam będzie określić nasz stosunek, pełen przyjaznego zresztą zdziwienia, wobec takiego ujmowania zagadnień. Nowe sformułowanie wartości ascezy, jako niezbędnego środka do osiągnięcia wyższego celu, niewątpliwie w polskim tłumaczeniu napotka na przyjazny oddźwięk.

Lecz Morgan, mimo podziękowania neoplatonickich akcentów, nie pozbawiony jest zmysłu rzeczywistości. Nim się otwórz, jeśli w ogóle się otworzą — tajemnicze zasłony ciemności, spoza których, jak łaska najwyższa, wypływa „cichy, lśniący strumień światłości”, trzeba z dnia na dzień przeżywać powszedniość, dotykać „tylko ziemi” z jej mnóstwem wznosów i upadków, rządzonych ścisłymi prawami grawitacji.

Prawdę tę nie od razu pojmują młode, egzaltowane dusze. Zasluga autora jest, że w interesującej formie dramatycznej ukazał nam to zuchwałe wspinanie się ufnej młodości do sfery, gdzie płynie ów „lśniący strumień światła” — prawdy wiecznej.

Sztuka Morgana wnosi niewątpliwie ciekawą i mocny ton moralny na pierwszą scenę kraju.

W krąg zagadnień religijnych wprowadza widza sztuka Jerzego Zawiejskiego „Prawdziwe życie Anny”. Podziwuje w niej

ton pirrandellowski z jego tendencją odsłaniania psychologicznych powikłań i przerosłów imaginacji.

Anna Praska wiezie nieciekawe życie przy boku męża, zwykłego urzędnicy, złożonego ciężką chorobą. Jedyńm ratunkiem od tej wyjąłwiającej prozy jest ucieczka myślowa w świat złudzeń. Anna wyobraża sobie, że jest drugą świętą Agnieszką z Divion.

W ten sposób przeciwstawia fantazję rzeczywistości Anna przesądza dalsze swe losy.

Gdy umiera mąż, Anna posadzona początkowo o jego otrucie, zostaje uwolniona od zarzutu, ale jednocześnie tłum pragnie w niej uczcić nową świętą.

Subiektywne wyobrażenia Anny stają się w pewnym stopniu obiektywną rzeczywistością. Anna nie może się wyzwolić spod władzy tych sił, które swymi urojeniami rozpętała, nie może, mimo że już właściwie pogodziła się z tym, że jest zwykłą sobie kobietą, wdową po przeciętnym człowieku. Anna uchodzi w krąg nowej rzeczywistości, w której obowiązuje już wielkość, przywdziewa na się szatę „nowego człowieka”.

Sprezentowane nam przez Teatr Polski „Koleżanki” St. Krzywoszewskiego są niewątpliwie jednym z najlepszych dzieł scenicznych autora „Diabła i karczmarki”. Jego realistyczny, a chwilami bodaj naturalistyczny charakter dramatisarski wypowiedział się w tej sztuce w całej pełni.

Autor postawił sobie za cel zobrazowanie losu nowoczesnych pań, zmuszonych szukać pozycji czy własnego kawałka chleba w pracy zawodowej lub w małżeństwie.

Powodzenia i niepowodzenia materialne, i związane z tym załamania moralne stanowią bogaty materiał dla wnikliwego badacza współczesnych obyczajów, tym bogatszy, że autor umieścił koleżanki na tle różnych środowisk, od schyłkowego pałacu hrabiowskiego przez gabinet bankierski, lokal nocny, aż do wytwornego buduaru wzbogaconego przedsiębiorcy.

Niezależnie od tego kolorytu romantycznego Krzywoszewski ukazał nam w jednej z najlepszych swych scen obraz finansowej działalności bankiera Ferstena, którego mistrzowsko zagrał Samborski (epizod przy telefonie, to arcydziełko wymowy gestu i mimiki).

W całości swej sztuka znalazła wyjątkowo staranną opiekę reżyserską Ziemińskiego i świetną oprawę Sliwińskiego.

Na deski Teatru Małego wchodzi sztuka francuskiego autora René Fauchois pt. „Ostrożnie, świeżo malowane!” Sztuka ta w Paryżu i zresztą w innych stolicach europejskich długo nie schodziła z afisza, budząc żywe zainteresowanie oryginalnym postawieniem problemu oraz świetnością obserwacji i podpatrzeń życiowych.

Autor postanowił zdemaskować kulisy życia artystów-malarzy, ich wzloty i upadki, ich nędzę materialną, tragedię geniuszów, będących w rozterce z całym społeczeństwem, których dzieła stanowią jednak złotodajną żyłę dla Kunständlerów.

Fauchois nie chciał być jednak jednostronnym i ujemnym postaciom artystycznego życia: drapieżnym spekulantom, głupawym amatorom sztuki i przedajnym dziennikarzom przeciwstawił dwie wartościowe moralnie figury. Jest to uczciwy i rozumny krytyk oraz skromna służąca, prawie analfabeta, ale pełna macierzyńskiej wprost



czułości dla zapoznanego artysty a następnie wierna jego pamięci.

Sztuka istotnie jest ciekawa, budzi szlachetny niepokój moralny, a artystycznie daje dużo satysfakcji.

T. Kameralny zamknął swój sezon sztuką Krzewińskiego „Expose p. ministrowej”.

Jest to krótkowłosa wcale składnie zbudowana, pełna krótkich śpiewów komediowych, dobrze podpatrzonych figur i sytuacji. Pomysł mianowania — przez pomyłkę — ministrem bezrobotnego inteligenta jest dobry i kryje w sobie ogromne, bogactwo komplikacji, którymi można by wypełnić całą drugą sztukę.

Teatr Malickiej po komedii Porte Riche'a „Zakochana” wystawił lekką komedię hiszpańskiego autora „Julia kupuje sobie dziecko”. Milionerka spragniona macierzyństwa wychodzi za mąż za młodzieńca, który jej się podoba, a który poluje na bogaty posag. Z czystego wyrachowania rodzi się następnie miłość, która okupuje swym ciepłem trochę ekstrawagancki tytuł sztuki.

Teatr Buffo świetnie bawi publiczność przeróbką tuwimowską komedii Nestroya „Ale się zabawił”. Autor zwany austriackim Arystofanem rzucił dużo jaskrawego światła na obyczaje przedwojennego Wiednia. Węgrzyn, jako subiekt Goździk, przeszedł sam siebie.

Ateneum wystawia francuską komedię „Szczęśliwy wiek”. W Teatrze zaś Letnim przez okres kanikuły rezydować będzie „Król brydża” — historia o lokaju, który nocami grywał po klubach w imieniu swych chlebodawców. Przeważająca bomba sceniczna. **cki.**

## FILM

Jednym z najlepszych filmów militarnych, których ostatnio tyle oglądamy, jest „Bitwa pod Marną”. Poza świetnie przeprowadzonym motywem militarnym o wartościach wprost dokumentalnych, film ten odznacza się pierwszorzędnym scenariuszem, łączącym w sobie dobrą intrygę, mocną dramatycznie z nastrojem patriotycznym i akcentami religijnymi. Postać wiejskiego proboszcza, gotowego paść pod kulami plutonu egzekucyjnego, byle tylko nie zdradzić tajemnicy spowiedzi — jest niezwykle plastyczna, życiowo i artystycznie prawdziwa.

Cechą charakterystyczną filmowego scenariusza „Bitwy pod Marną” jest zrównoważenie patriotyzmu francuskiego przez kontrast z patriotyzmem niemieckim, wydobycie z obu tych przemożnych uczuć egoizmu grupowego pierwiastka ogólnoludzkiego.

Patriotę francuskiego grał Raimu, umiejący nadać kreowanej przez się postaci potężne piętno dramatyczne, umiejący doprowadzać konflikty duchowe do stanów pozytywnych, do wyzwolenia i oczyszczenia, jak to określa greckie pojęcie catharsis.

Pokazem uzupełniającym od strony czysto już techniczno-militarnej oraz bojowego pogotowia naszej sojuszniczki jest film „Francja czuwa”, grany przez kino „Napoleon”, realizacji firmy „Realités”. Film stwierdza ponad wszelką wątpliwość należyte przygotowanie wojenne Francji i jakkolwiek nie odsłania tajemnicy słynnej linii Maginota, to jednak zaprzecza kategorycznie wszelkim defetystycznym pogłoskom, dyskwalifikującym III Republikę pod względem militarnym.

Ostatnio pojawia się dużo filmów biograficznych. Oczywiście w epoce dźwięku najchętniej reżyserzy biorą się do tytanów

świata muzyki („Beethoven”, „Trzy walce” czy „Wielki walc”).

Z drugiej jednak strony wdzięczny wątek nastroża także życie plastyków. Stąd zapewne wziął się film „Dama z portretu”, osnuty na tle życia Rembrandta.

Film pomyślany jest prawdziwie po malarsku, z szeroką gradacją gry światłocienia w sensie czysto plastycznym i literackim. Całe dzieło filmowe tętni bujnym życiem, chwytanym na gorąco i plastycznie odtwarzanym. Czyż może być wymowniejsza scena, obrazująca tęsknotę po zmarłej żonie i przemoc czasu nad przeszłością od tej, gdy Rembrandt wchodzi do dawno nieotwieranego pokoju swej ukochanej Saskii, pisze palcem jej imię na kurzem pokrytym stole, a wiatr to słowo ściera.

Epilog wstrząsa grozą. Obląkany Rembrandt, nakupiwszy za ostatnie grosze farb, usiłuje namalować autoportret. Lecz rozszerzone nienaturalnie źrenice zamazują mu kontury. Oto koniec artysty i człowieka. Naczelną postacią genialnego twórcy zrekonstruował na filmie jeden z najznakomitszych aktorów charakterystycznych, Laughton. Nadał on ostry zarys walce geniusza z przeciętnością, ożywił dramat samotności artysty, któremu los nie szczędzi chwały, ale i cierni.

Na polskich ekranach coraz więcej pojawia się filmów w kolorach naturalnych. Kolory te co prawda nie są jeszcze prawdziwie naturalne, jeszcze barwy zasadnicze występują zbyt jaskrawo, twardo, jeszcze brak pastelowości, ale w każdym bądź razie szarzysta ekranu została już zwyciężona.

Wśród filmów barwnych wysuwa się na czoło „kolorowa operetka” — „Mikado”. Jest to nie tyle film, ile raczej teatr w filmie.

Reżyser pojął swe zadanie całkiem prosto, jako obowiązek odfotografowania świecącej od dawną tryumfy na londyńskich scenach operetki pod tąże nazwą. W ten sposób utrwalone co prawda zostały prawie w całości walory miłej wcale muzyki Gilberta i Sullavana, ale jednocześnie sfilmowany cały konwencjonalizm operetkowego teatru. Istotna akcja operetki — a film bez akcji jest czymś niepełnym — stanowi właściwie pretekst dla piosenki, tańca i efektownej gry barw.

Drugim filmem kolorowym (gra „Roma”) są „Korsarze Północy”. Jest to obraz z gatunku cowbojowsko-awanturnych, które w sezonie kanikuły zazwyczaj wchodzą na ekrany i które mają murwaną publiczność wśród najmłodszych, rozkochanych w przygodach indyjskich wodzów, ich białych przyjaciół i w ogóle wszelkiego rodzaju trampów. „Korsarze Północy” wyróżniają się wśród powodzi tego rodzaju filmów pewną pozytywną wartością. Stanowią bowiem rodzaj gloryfikacji działalności policji kanadyjskiej, która nieubłaganie walczy z wszelakiego rodzaju elementem przestępczym i służy ochroną pożytecznej pracy pionierskiej myśliwych czy poszukiwaczy złota.

Szereg autentycznych plenerów, grających pełną skalą barw, dobre tempo i duży ruch, ustawiczna zmienność terenu akcji czynią ten film miłym dla oka i pobudzającym fantazję.

Na czoło produkcji polskiej wysuwa się niewątpliwie film dokumentalny pt. „Geniusz sceny”.

Jest to zbiór fragmentów pracy scenicznej Ludwika Solskiego. Na taśmie utrwalono 13 najważniejszych ról genialnego artysty ze „Skapca”, „Fryderyka Wielkiego”,

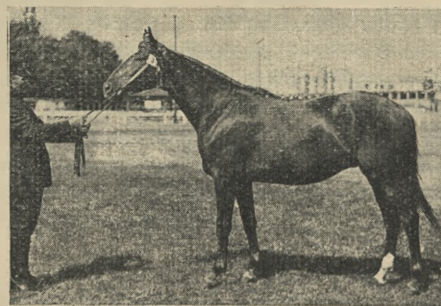
„Niespodzianki”, „Dożywocia”, „Legionu”, „Wesela”, „Pana Jowialskiego”, „Horsztyńskiego”, „Judasza”, „Wieczoru Trzech Królów”, „Warszawianki” itd. Film ten, który zdobył nagrodę na ostatnim Biennale weneckim, stanowi rfięwątliwie chlubną kartę działalności naszej rodzimej kinematografii i jedną z najpiękniejszych stron pracy reżyserskiej p. Gantkowskiego oraz wyrównanie konsekwentnej na ogół bezpła- nowości, jaka cechuje dotychczasową pracę wydziału filmowego P. A. Ta.

Wręcz przeciwnie! film o Solskim — mistrzu polskiej sceny, to film z planem i film z przyszłością. Na pewno pyłem zapomnienia pokryte zostanie wszystko, co dotychczas stworzyła polska kinematografia, a film ten wciąż będzie wracał na ekrany, pozwalając wskrzesić legendę o wielkim aktorze, co umiał natchnąć życiem tyle wspaniałych — a tak odrębnych postaci scenicznych.

Film z łezką, podbarwioną ujętym w sprawny, dowcipny dialog — psychologizowaniem, to „Ukochany”. Historia na wskroś sentymentalna w stylu popularnych powieści, okraszona jednak głębszą, choć na fałszywe nieco tory zbaczającą myślą psychologiczną.

W czołowych rolach występuje Irena Dunne, wstawiona już słynną kreacją w „Bocznej ulicy” i przez jakieś fatum reżyserskie obdarzana zawsze rolami z marginesu psychologicznego i życiowego. Reżyserzy znęcają się nad utalentowaną aktorką, powierzając jej rolę o takim czy innym zwichnięciu niezapycji.

Charles Boyer, niezapomniany i nieprześcigniony dotąd Napoleon ekranu z „Pani Walewskiej”, i tym razem pokazał cały swój wielki kunszt aktorski. Skupiona gra, oszczędna, ale wyrazista mimika, przykuwają uwagę widza bez wytchnienia. Boyer święci znów pełny sukces. **cki.**



## K O M U N I K A T NACZELNEJ ORGANIZACJI ZWIĄZKÓW HODOWCÓW KONI W POLSCE

Krajowa Wystawa Koni odbędzie się w roku 1939 w okresie od 1. VII do 3. VII w Lublinie.

Na wystawie będą zgrupowane z całej Polski konie różnych typów wojskowych, a więc konie typu wierzchowego pod wagę ciężką, średnią i lekką i konie artyleryjskie pociągowe.

Na wystawie tej zgromadzona zostanie elita końska ze wszystkich połaci kraju, stanowiąc przejrzysty obraz hodowli koni w Polsce.

Zaraz po wystawie w Lublinie odbędzie się kilkanaście dużych targów na konie wierzchowe i pociągowe.

Organizacją Krajowej Wystawy Koni zajmuje się Lubelski Związek Hodowców Koni, który udziela informacji, pod adresem: Lublin, ul. 3 Maja 20.



# Dział Kobiety

## DLA DUSZY

*Chrystus. Synu, nie dowierzaj uczuciu twemu; to, które dziś jest, prędko się zmieni na inne.*

*Póki ci życia stanie, przemianom podlegać będziesz, chociażbyś nie chciał; tak iż ci się zdarzy być wesołym i znowu smutnym; uspokojonym i znowu zatrwożonym; nabożnym i znowu nienabożnym; pilnym i znowu niedbałym; poważnym i znowu lekkim.*

*Lecz człowiek mądry i duchowo wyrobiony wznosi się nad tę zmienność; nie zważa na to, co w sobie odczu-*

*wa lub z której strony wieje wiatr nieśmiałości; lecz całym wyteżeniem myśli zmierza ku należnemu i pożądanemu celowi.*

*Albowiem tym sposobem będzie mógł zawsze pozostać jednym i tym samym, niewzruszenie, skoro wśród tylu rozlicznych wydarzeń okiem szczerej intencji stale we mnie wpatrywać się będziesz.*

**Tomasz à Kempis.**

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

## DO WSZYSTKICH KOBIEC W POLSCE

Naród nasz składa takie dowody miłości swej Ojczyzny, że nawoływać do pełnienia względem niej obowiązków byłoby zbyteczne.

Pieniądz potrzebny — więc miliony się składa.

Torpedy obsługi potrzebują — życie zapisuje się w ofierze.

Żołnierz w szeregach — czeka na komendę. Maszerować! — to maszerować będzie i ginąć, i zwyciężać też będzie.

A my — kobiety?

W naszych rękach jest „służba” w najszerszym pojęciu znaczeniu. A więc służba poza pracą zawodową, zastępczą ewentualnie — jeszcze duchowa, ta, która krzepi, która umacnia, która pomaga, która kocha i wierzy, która z sercem przepelnionym Bogiem i narodu umiłowania idzie krok w krok za każdym obrońcą Ojczyzny i umacnia w nim przekonania, że dobry duch trzyma nad nim straż w każdej chwili życia minucie.

„Organizacja Przystosowania Wojskowego Kobiet” z całą gorącością zrozumienia stanowiska kobiety w przełomowych chwilach historii, którą piszą dzieje co dnia, tak mówi do nas:

„Kobiety Polki!

Jest zwyczaj odwieczny w naszym kraju — stawać w potrzebie, gdy Ojczyzna wzywa.

Obronność Polski wymaga czynnego udziału kobiet.

Pod hasłem „Honor i Służba” gotujemy się do walki o potężną Polskę, idąc w szeregach coraz liczniej zrzeszających się w organizacji przystosowania wojskowego kobiet.

Musimy się do tej walki dobrze przygotować.

Musimy umieć zastąpić mężczyzn w ich służbie cywilnej — na roli, w fabrykach, w urzędach itd.

Musimy nauczać się zasad samoobrony przeciwlotniczo-gazowej, sanitarnej, gospodarczej, musimy zorganizować taką samopomoc, by ułatwić władzom państwowym regulowanie życia wewnętrznego kraju w czasie wojny i jak najbardziej odciążyć armię walczącą od troski o dom i rodzinę.

Musimy wiedzieć, jaką opieką trzeba otoczyć rodziny zmobilizowanych i opiekę tę dać im niezwłocznie.

Musimy się tak przygotować, by nawet w razie wojny życie w Polsce szło normalnie”.

Pracę przygotowawczą do służby dla Ojczyzny prowadzą już w ramach P. W. K. wszystkie organizacje”.

A organizacji tych jest już dziś w kraju setki, bo: Kraków, Wilno, Toruń, Poznań, Lwów, Katowice, Łódź, Łowicz, cała zresztą prowincja, nie daje się mijać w tej ważnej na dziś sprawie.

Pisząca te słowa przeżywała już jedną wojnę, z której kraj nasz wyszedł zwycięsko. Widziałam kobiety w biurach, na miejscach zastępczych kolegów, będących w szeregach żołnierskich. Widziałam przy kierownicy w trawajach i na dorożkarskim koźle. Ale nie zapomnę nigdy wrażeń, jakich doznawali z placu boju przysyłani służbowo żołnierze, jeśli się znaleźli w domu prywatnym.

— Jak tu dobrze! Jak cicho... — mówili.

I wtedy właśnie myślałam, że dom rodzinny trzeba, aby był zawsze tym pogotowiem, w którym po ciężkich przeżyciach — znalazłszy się, może uznojony człowiek powiedzieć sobie: „jak tu dobrze, jak cicho”...

Wszystko to, czym pomagać mamy na zewnątrz, stale musi tworzyć atmosferę naszych domów rodzinnych, w czym jesteśmy mistrzyniami. —

Więc, na razie, każda z nas jest obowiązana zrobić obrachunek swoich sił i uzdolnień i jednak przejść systematyczne wyszkolenie się w obranym przez siebie kierunku pod wodzą fachowo wykształconych instruktorów czy instruktorek, aby pożytecznie pełnić swe obowiązki, gdyby zaszła tego potrzeba.

\* \* \*

Rodzaje przeszkolenia obejmują:

1) kurs informacyjny przystosowania kobiet do obrony kraju, dający w szeregu wykładów całokształt wiadomości, potrzebnych do zorientowania się w całości pracy w tym zakresie,

2) kursy fachowe — obrony przeciwlotniczo-gazowej, ratowniczo-sanitarnej, gospodarczej w zakresie gospodarki żywnościowej i materiałowej, a więc gotowania, szycia, kursy dla kierowniczek kantyn itp. kursy łączności, strzelectwa, kursy dla prelegentek propagandowych itp.

Terminy kursów dostosowane są do możliwości większości zgłoszonych kandydatek oraz możliwości miejscowej placówki PWK. Zależnie od ilości instruktorek, warunków lokalnych itp.



# PAWEŁ SZROTKI

## SKŁAD PRZYBORÓW DENTYSTYCZNYCH

Warszawa, ul. Żórawia 2 Tel. 7-22-75.

Posiada na składzie wszelkie artykuły wchodzące w zakres dentystryki i techniki. Wyroby firm: De Trey, Asch, SS. White, jak również wyroby firm polskich i niemieckich.

Sposoby przeszkolenia są różne:

1) w stałych oddziałach pozaszkolnych P. W. K. dla kobiet, które ze względu na wiek i obowiązki zawodowe i rodzinne mogą poświęcić stale parę godzin w tygodniu na tę pracę,

2) na kursach i obozach skoszarowanych — dla kobiet, które chcą ukończyć przeszkolenie w szybszym czasie — poświęcając np. część swojego urlopu, wreszcie —

3) na tzw. kursach luźnych — gdzie kandydatki na dane przeszkolenie deklarują kilka godzin w tygodniu przez kilka tygodni.

Przeszkolenie na kursach informacyjnych i do samoobrony obejmuje przygotowanie według zainteresowań kandydatek. Przeszkolone uczestniczki mogą w razie potrzeby brać udział w akcji społecznej samoobrony w miejscu swego zamieszkania.

Przeszkolenie na kursach fachowych do służby zastępczej obejmuje przygotowanie teoretyczne na kursie, następnie praktykę w zakresie danego działu.

Po ukończeniu takiego przeszkolenia absolwentki są rejestrowane i w razie potrzeby będą powoływane do wykonywania różnych prac, związanych ze wzmoczeniem obronności kraju, zależnie od zadeklarowanej gotowości do pracy przez każdą szkolącą się kobietę:

1) w miejscu swego zamieszkania dodatkowo do swych zajęć zawodowych lub domowych,

2) w miejscu swego zamieszkania całkowicie w służbie zastępczej,

3) całkowicie w miejscu wyznaczonym,

Przeszkolenie wojskowe nakłada specjalne zobowiązania do służby, o których kandydatki mogą się szczegółowo poinformować przy zapisie.

L. K.

## BOHATERSKI CZYN ZATOPIONEJ ZAŁOGI

Czytamy w nadeszłej wiadomości z Londynu, co następuje:

„Wszyscy uratowani członkowie załogi amerykańskiej łodzi podwodnej „Squalus” znajdują się obecnie w szpitalu. Stan ich nie budzi żadnych obaw. Według ich opowiadań, zawdzięczają oni życie szalonej sile jednego ze swych towarzyszy, który w najgroźniejszej chwili, gdy woda poczęła się wdzierać do wnętrza łodzi, zdołał przezwyciężyć jej napór i zatrzaskać drzwi głównej komory, odcinając ją tym samym od reszty komór, które zostały zalane. W ciągu przeszło 24 godzin, spędzonych na dnie morza, załoga wykazała wspaniałą dyscyplinę. Mimo pogasnięcia światła, powiększającego się zimna i coraz dokuczliwszego braku powietrza nie było śladu paniki, ani podniecenia. Wszystkie rozkazy dowódcy były ściśle wykonywane. Wobec przerwania komunikacji telefonicznej, przez cały czas dwaj ludzie bili młotami w ścianę

łodzi, porozumiewając się w ten sposób z pracującymi na zewnątrz nurkami. W pogotowiu trzymano maski gazowe, a to z powodu wydobywającego się z komory amunicyjnej chloru. W ostatnich godzinach powietrze było już do takiego stopnia zepsute, że poczęto używać zawartego w zapasowych butlach tlenu. Starano się jednak używać go oszczędnie, aby starczyło na jak najdłużej. Mimo tych wszystkich warunków, załoga przez cały czas nie traciła nadziei na ratunek, którego się wreszcie doczekała. W ciągu dnia dzisiejszego będą czynione starania nad wydobyciem choćby zwłok reszty załogi, poczem przystąpi się do próby wydobywania łodzi za pomocą wpompowania do niej powietrza”.

Tylko ludzie, mający bezpośrednio styczność z naturą, a więc Bożym tehniem, mogą dojść do tak niesłychanej równowagi umysłu i duchowego opanowania.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

W rubryce pod powyższym tytułem zamieszczamy często takie notatki, które może bezpośrednio nie dotyczą naszych Sz. Czytelniczek, ale robimy to dlaczego? Dlatego, że kobietę polską, a zwłaszcza matkę rodziny, musi i powinno interesować wszystko, co się w kraju dzieje, aby niekorzystając nawet sama z podanej wiadomości, mogła nią dzielić się z drugimi, którym ona przyniesie pożytek. „Pracownik Miejski”, organ Zrzeszeń Związków Zawodowych Miejskich R. P. jest doskonale prowadzonym pismem i czujnie baczącym na potrzeby swych członków. Parę tytułów, które wymienimy, da obraz programowi pracy i jej celów. A więc: „Kodeks służby”, „Układy zbiorowe w przedsiębiorstwach miejskich stolicy”, „Działalność gospodarcza spółdzielni”, „L. M. i K. pionierem idei kolonialnych”, „Pracownicy miejscy na posterunku”, „Koledzy z Zaolzia zorganizowali się”. „W obronie kolegów ze Śląska”,

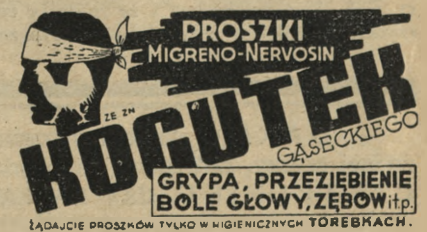
„Ulgi w uzdrowiskach”, „Kronika Związku” — zamyka bogatą treść ostatniego numeru.

Ale, ponieważ filie Związku już są zorganizowane w całej Polsce, a my szczerze się możemy liczyć z Czytelnikami w całym kraju, więc zwracamy uwagę na to, że każda z nas może w praktyce zastosować pomoc, rozpowiadając wśród tych zawodowców, z którymi się zbliża, że ulgi w uzdrowiskach, to bardzo ważna dla niejednego domu wiadomość. Niemal wszystkie one ofiarowały 50% zniżki kuracjom, członkom Zaw. Związków, a mianowicie: Gochałkowiec-Zdrój (Śląsk), Horyniec-Zdrój, Iwonicz, Jastrzębiec-Zdrój, Morszyn, Krościenko, Niemirow-Zdrój, Pivniczna-Zdrój, Swoszowice, Szczawnica, Truskawiec. Daj Boże zdrowie i siły do pracy wszystkim, ale czasem kuracja w porę stosowana jest błogostawieństwem, więc ciężki grosz poświęcić

jej trzeba, aby móc dzielnie pracować dla rodziny i kraju, który od nas wymaga wiele sił, a które mu sercem całym dajemy. —

Wiedzieć trzeba, a rozszerzać tę wiadomość należy, że:

Ministerstwo Oświaty opracowuje programy nowych typów szkół zawodowych do kształcenia kwalifikowanych pracowników



PROSZKI  
MIGRENO-NERVOSIN  
ROGUTER  
GASECKIEGO  
GRYPA, PRZEZIĘBIENIE  
BOLE GŁOWY, ZĘBOWITP.  
ŁĄDZĄCIE PROSZKÓW TYLKO W HIGIENICZNYCH TÓREBKACH.



z cenzusem gimnazjalnym. W Warszawie i większych miastach mają powstać zawodowe gimnazja graficzne, które będą szkolić fachowców w dziedzinie drukarstwa, litografii, fotochemigrafii i introligatorstwa.

W roku szkolnym 1938/39 przewidziane jest także utworzenie zawodowych kursów dokształcających w dziedzinie fabrykacji zabawek, galanterii skórzanej i kwiaciarstwa.

*Wiedzieć należy*, że miasto Warszawa jest opiekunem i wychowawcą bardzo licznego zastępu niemowląt i młodzieży, pozbawionej domu rodzinnego. Akcja ta była prowadzona i dawniej za pośrednictwem tzw. domów dla podrzutków, obecnie jednak uległa reorganizacji. Zakłady dla podrzutków przekształcone zostały na domy matki i dziecka, które w liczbie 2 utrzymuje gmina stołeczna.

O celowości i dodatnich wynikach tej reorganizacji świadczyć może fakt kolosalnego spadku śmiertelności w tych zakładach. W domu im. ks. Boduena śmiertelność niemowląt na przestrzeni ostatnich lat udało się zmniejszyć z 544 w r. 1932 do 125 zgonów w roku ubiegłym. Dzięki zapewnieniu opieki również i matkom, liczba tzw. podrzutków znacznie zmalała. Jeszcze przed niewiele laty zaledwie 9 proc. sierot odzyskiwało swoje matki, dziś cyfra ta wzrosła do 63 proc. Dom ks. Boduena stał się ośrodkiem szkolenia dla lekarzy pediatrów, piastunek i pielęgniarek oraz młodych matek.

Akcja umieszczania sierot w rodzinach zastępczych, względnie u tzw. rodziców przybranych, daje również doskonałe wyniki. Ilość oddawanych rodzicom zastępczym dzieci wzrosła z 70 w 1932 r. do 550 w roku ubiegłym.

Łącznie z zakładami dla dzieci starszych, uczęszczających już do szkół, miasto opiekuje się zastępem blisko 6.500 dziewcząt i chłopców.

*Wiedzieć trzeba*, że na nabożeństwa majowe, w celu wspólnej modlitwy do Królowej Korony Polskiej, aby dopomogła zjednoczyć wszystkie siły w narodzie dla odparcia napadów wroga, zapraszały Stowarzyszenia: Polskich Pisarzy Katolickich, Lekarzy Katolickich, Inżynierów Katolickich, Pracowników Katolickich. Nabożeństwa te przepełniały świątynię akademicką świętej Anny.

*Wiedzieć trzeba*, co z radością notujemy, że na zebraniu zjazdu w Kielcach prezes Stronnictwa Ludowego, W. Witos, gorąco przemawiał, a echem jego mowy było oświadczenie dwu młodych działaczy: Goski i Pawliny, że: Polska jest nam droższa ponad wszystko — a żadnych ofiar ani z mienia, ani z krwi nie poskąpimy, jeśli nas o nie zawoła. Wszystkie kobiety winny to powtarzać w swoich kołach. —

*Wiedzieć i z radością opowiadać innym należy*, że „Katolicki Związek Polek” pierwszy zorganizował wycieczkę kobiet do Kowna, że prowadziła ją niezmordowana w pracy p. K. Neronowiczowa i że spełniły tym czynem — piękny obywatelski obowiązek.

**Mamusia  
sądziła, że  
bluzka Wandy  
jest biała..**



**...dopóki nie porównała jej z wypraną w Radionie bluzką Irki!**

Choć tyle trudu wkłada w pranie, nigdy nie udało się jej osiągnąć takiej białości bielizny. Nic dziwnego, bo prała zwykłymi środkami, a te usuwają tylko powierzchowny brud. Przy gotowaniu bielizny w Radionie jest zupełnie inaczej. Miliony drobnych pęcherzyków tlenu przenikają na wskroś tkaninę, usuwając w ten sposób całkowicie brud. Bielizna będzie rzeczywiście czysta a co za tym idzie, idealnie biała.

**RADION**

**pierze wszystko!**



**Do namoczenia Proszek Schichta**

D A R M O papieru otrzymać nie można, ani farb drukarskich, ani prądu elektrycznego do maszyn, ani żadnej rzeczy, potrzebnej do wydawania pisma... Dlatego wydawcy nie mogą dostarczyć pisma D A R M O. — CZYTELNIKU, CZY ZAPŁACIŁEŚ JUŻ ABONAMENT? Jeśli nie, polecamy Twej uwadze załączony w niniejszym numerze czek P. K. O.



# SŁOŃCE I POWIETRZE W KOSMETYCE!

Wszystko, co żyje wokół nas, wymaga swej egzystencji słońca, powietrza i wilgoci. Bez tych czynników, względnie przy niedostatecznej ich ilości, wszystko zamiera lub karłowacieje i naodwrot; rozwija się bujnie i ńci oczy pięknym swoim wyglądem, jeżeli ma ich tyle, ile mu potrzeba. O tych nieodzownych do życia czynnikach — słońcu, powietrzu i wodzie — powinny pamiętać panie udające się na wypoczynek letni.

Poświęciłam już obszerny artykuł wodzie i wpływowi, jakie ma ona na organizm ludzki, dziś pomówimy o słońcu i o powietrzu.

Słońce i jego promienie wywierają na nasz organizm tak dobroczynny wpływ, że technika medyczna pokusiła się o stworzenie sztucznych słońc w postaci różnego rodzaju lamp promieniotwórczych; ale słońce może też stać się wrogiem, o ile nieumiejętnie doń podejdziemy.

Jakże często podczas upałów słyszy się o porażeniach słonecznych, których tak łatwo jest uniknąć, zachowując odpowiednie ostrożności.

Utrapienie pięknych pań — piegi pojawiają się właśnie pod wpływem promieni słonecznych, gdyż skóra wydziela barwnik ochronny — pigment, który nie zawsze układa się równomiernie, tworząc drobne lub większe plamki.

Promienie słoneczne wywołujące piegi są pochłaniane przez barwniki: lila, czerwony, brązowy, więc ich zastosowanie do ochrony cery w postaci kapelusza czy parasolek, a także soki ze świeżych poziomki czy ogórków, którymi trzeba przecierać twarz kilka razy dziennie, mogą nas przynajmniej częściowo przed tym nieprzyjemnym defektem zabezpieczyć. Nowoczesna kosmetyka doszła już także do umiejętności przygotowywania kremów światłochronnych, które zastosowane pod puder odbijają te właśnie promienie słoneczne, które wywołują piegi. Do tego rodzaju środków należy krem nr 37 — Heliofix, wyrabiany przez Laboratorium Instytutu Kosmetyczno-Lekarskiego IZIS.

Osohy niecierpliwe, pragnące zbyt szybko wchłonąć w siebie dary słońca, spotyka częstokroć bolesna niespodzianka w postaci oparzenia skóry, czasem aż do jej zżablenia, nie mówiąc już o innych niepożądanych dla organizmu skutkach, które nie dają chwilowo objawów zewnętrznych.

Bardzo często głębokie przepalenie skóry zostawia już na stałe ciemno-brązowe plamy, na które nie wynaleziono dotąd żadnego środka leczniczego.

Przed rozpoczęciem kuracji słonecznej należy się zawsze poradzić lekarza, czy uzna ją za wskazaną i w jakiej mierze. W razie przychylnego orzeczenia, trzeba wyjść na słońce z całą ostrożnością.

Ciało wystawione na działanie promieni należy pokryć warstwą tłuszczu, najlepiej olejkiem orzechowym, oczy zasłonić szklami przyciemnionymi lub żółtymi, oczodoły zawsze posmarować kremem dostosowanym do gatunku skóry.

Skórę należy przyzwyczajać stopniowo, zaczynając najwyżej od 20 minut przy pierwszej kąpeli, które następnie można przedłużać stopniowo aż do osiągnięcia granicy określonej przez lekarza.

Przy pierwszych kąpielach słonecznych kąpiele wodne są raczej niewskazane, aby nie pozbawiać skóry koniecznej warstwy tłuszczu, chroniącej przed oparzeniem.

W razie oparzenia skóry trzeba bezwzględnie zastosować okład z mieszaniny oleju lnianego z wodą wapianą, w braku zaś pod ręką tych środków z białka jajka, zmieniając okład co 1 — 2 godziny.

Przy lekkich oparzeniach wystarczy okład z serwatki, natomiast przy zżableniu skóry i podwyższeniu temperatury należy bezwzględnie zasięgnąć rady lekarza.

Na różne rodzaje skóry promienie słońca działają zupełnie odmiennie, dlatego też przy cerze tłustej można bezkarnie korzystać z przyjemności plażowania bez względu na wiek i będzie ono zawsze miało wpływ dobroczynny. Poza oczodołami, które zawsze powinny być zabezpieczone kremem dla danej skóry odpowiednim, można nawet przecierać twarz podczas naświetlania płynem dezynfekcyjnym: łyżeczkę kwasu borowego rozpuścić w szklance przegotowanej wody, po ostudzeniu dodać łyżeczkę gliceryny, 3 łyżki spirytusu zwykłego i 1 łyżkę spirytusu kamforowego.

Włosy tłuste można również poddawać działaniu promieni słonecznych, jednak nie dłużej, jak 2 — 3 godzinny dziennie.

Cera normalna musi być chroniona przed zbyt silnym naświetlaniem przez pokrycie jej odpowiednim kremem lub czystą oliwą nicejską.

Dla cery suchej natomiast słońce może być już nawet szkodliwe, gdyż jeszcze bardziej ją wysusza. Dlatego też należy przed zamierzoną kąpielą bardzo skrupulatnie zabezpieczyć skórę tłuszczem i swobodnie korzystać z plaży jedynie przed 25 rokiem życia. Pomiędzy 25 — 30 należy już kąpiele słoneczne stosować bardzo ostrożnie i uzależniać je od stanu skóry, po roku 30 musi pani o cerze suchej pożegnać się z przyjemnością plażowania, jeżeli nie chce, żeby twarz jej zbyt szybko pokryła się fatalną siecią zmarszczek.

W wypadku cery zwiędłej, anemicznej, można naświetlać twarz jedynie pokrytą kremem i tylko przez kilka minut dziennie, aby skórę ożywić.

Zachować też należy ostrożność przy skórach skłonnych do nadmiernego owłosienia. Latem włoski na rękach, łydkach czy nawet „wąsiki” na twarzy są ciemniejsze i rosną szybciej niż zimą.

W górach, gdzie powietrze jest rzadsze, a więc działanie słońca bardziej intensywne, trzeba się koniecznie zaopatrzyć w preparaty światłochronne.

Bezpośrednio po kąpeli słonecznej nie można zmywać twarzy wodą. Można to zrobić goldkremem, oliwą lub żółtkiem z oliwą przy cerze suchej lub normalnej, zaś przy cerze tłustszej płynem dezynfekcyjnym, który wyżej podałam, czy też pianą z białka.

Dopiero po pół godziny myjemy twarz wodą letnią z kilkoma kroplami nalewki benzoesowej, która działa chłodząco na rozpaloną skórę, można też dodać do wody łyżeczkę na pół szklanki esencji herbacianej.

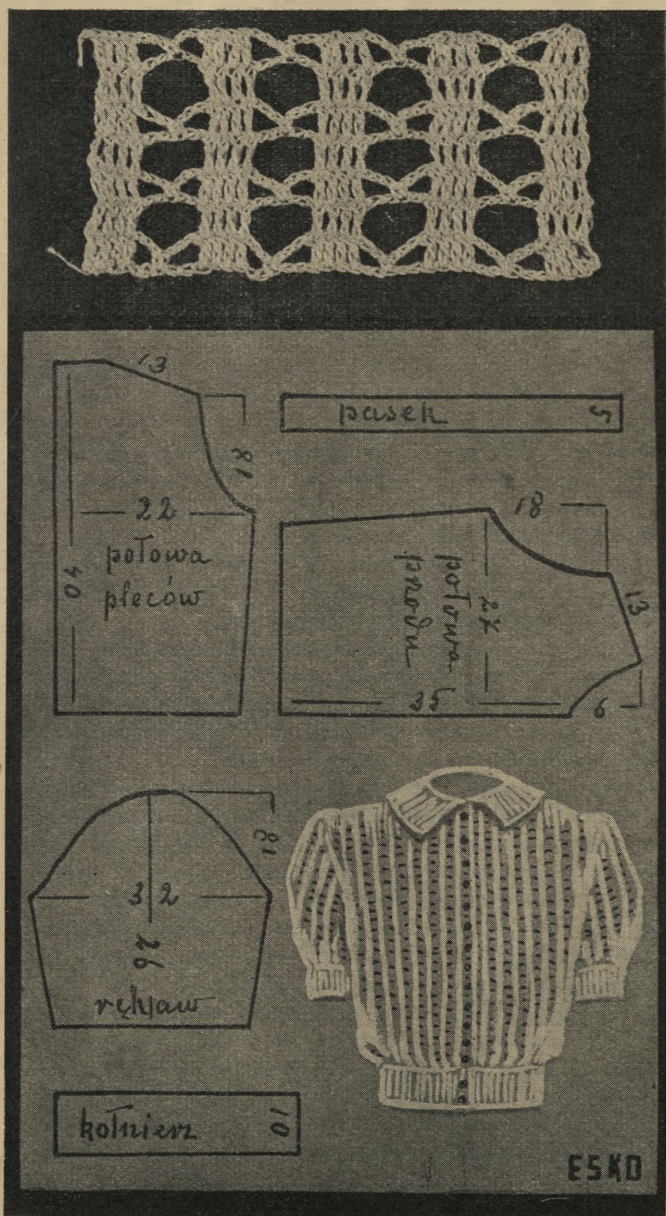
O ile oczy są zmęczone, pomimo noszenia ciemnych okularów, trzeba zastosować chłodne okłady z naparu bławatków, kwiatu arniki lub nostryku lekarskiego, w stosunku szczypty na pół szklanki wody.

Jeżeli kąpiele słoneczne z różnych względów nie dla wszystkich są wskazane, to tak zwane kąpiele powietrzne wszyscy nie tylko mogą, ale powinni stosować. Niestety, kąpiele powietrzne mało są rozpowszechnione, a nawet niesłusznie lekceważone. A przecież są one znakomitym środkiem hartowania organizmu, wpływają korzystnie na stan zdrowia i nadają cerze świeży, kwitnący wygląd. Stosowanie kąpeli powietrznych jest bardzo łatwe, gdyż nie wymaga żadnych specjalnych przygotowań, ani nawet wychodzenia z domu. Wystarczy jeśli się przyzwyczaimy codziennie rano po opuszczeniu łóżka zdjąć nocną bieliznę i zwykłą codzienną toaletę, jak mycie itd. robić będziemy nago. To samo czynić



należy i wieczorem przed udaniem się na spoczynek. Jasnym jest, że z początku należy zachować najdalej idące ostrożności, aby się nie zaziębić; najlepiej jest rozpoczynać kąpiele powietrzne latem, początkowo przez krótką chwilę, aby przyzwyczaić wydelikacjoną skórę do drażniącego powietrza. Stopniowo przedłużając tę kąpiel powietrzną dojdziemy do tego, że nawet zimą przy otwartym oknie będziemy mogli korzystać z tego zbalansowanego środka. Zapewniam panie, że zyska na tym zarówno ogólny stan zdrowia, jak i wygląd zewnętrzny. Zapomnimy o anginach, influencjach, grypach i innych chorobach, których przyczyną jest przeziębienie. Także żadne wypryski, ani cierpienia skóry na podłożu nerwowym nie będą miały przystępu do tak zahartowanej skóry.

Kąpiele powietrzne dobrze jest też połączyć z ćwiczeniami gimnastycznymi.



## LETNIA BLUZKA

Bluzka wykonana szydełkiem z lnianych nici białych, kremowych, albo kolorowych. Wymiary podane na średnią figurę. Nale-

ży wyciąć formę z papieru, dopasować do figury i według niej stosować robotę. Pasek, kołnierzyk i mankiety robić osobno i przyszyć. Dziurki w deseni służyć jako dziurki do guzików, w tym celu powinna jedna połowa przodu zachodzić na drugą. Zrobić próbkę z nici, którymi mamy wykonać bluzkę, wymierzyć centymetrem, przeliczyć oczka i według tego zrobić ilość oczek.

Jeżeli w sezonie letnim panie zechcą wziąć pod uwagę podane wskazówki, mogą być pewne, że słońce i powietrze umiejętnie zastosowane spełnią swoje zadanie, a wypoczynek okupiony dużymi nieraz ofiarami przyniesie im rekompensatę w postaci nie tylko zdrowia i sił do całorocznej pracy, ale także świeżej, odmłodniałej twarzy, promieniejącej zadowoleniem.

Helena Brzezińska

Kierowniczka Działu Kosmetycznego  
w Instytucie Kosmetyczno-Lekarskim  
I Z I S  
w Warszawie.

zy wyciąć formę z papieru, dopasować do figury i według niej stosować robotę. Pasek, kołnierzyk i mankiety robić osobno i przyszyć. Dziurki w deseni służyć jako dziurki do guzików, w tym celu powinna jedna połowa przodu zachodzić na drugą.

Zrobić próbkę z nici, którymi mamy wykonać bluzkę, wymierzyć centymetrem, przeliczyć oczka i według tego zrobić ilość oczek.

Ścieg: zaczynamy od łańcuszka.

I rząd: 3 oczka, 3 słupki, 3 oczka, 1 półsłupkę wkląć w trzecie oczko łańcuszka + 3 oczka, przepuścić 2 oczka łańcuszka, 4 słupki, 3 oczka, 1 półsłupkę wkląć w trzecie oczko łańcuszka + powtarzać od krzyżyka.

II rząd: 3 oczka, 3 słupki nad słupkami + 5 oczek, 4 słupki nad słupkami + powtarzać od krzyżyka.

III rząd jak pierwszy, IV rząd jak drugi i tak kolejno powtarzać. Kołnierzyk, pasek i mankiety wykonać półsłupkami, chwytając na tylną nitkę, żeby utworzyć harmonijkę.

E. K.-Onichimowska.

## R O Z M O W A

W cieplej, pachnącej atmosferze gabinetu kosmetycznego przyjemnie było poddawać twarz pieczęcie rąk kosmetyczki, która z miłym, sugestywnym uśmiechem udzielała rad, jak powstrzymać uciekającą w nieubłaganym biegu młodość.

Zgrabne palce wibrowały po zmęczonej twarzy, miały swoją własną wymowę i życie. Twarz pokryta białą i niesamowicie wyglądającą maską robiła wrażenie groźne i upiorne.

Być tak ładną i młodą, jak ta kobieta, której palce i wiedza miały pomóc przy zachowaniu urody. Może wtedy Zygmunt nie odchodziłby od niej z każdym dniem obojętniejszy. —

Mimo woli wyrwało się jej z ust pytanie: — „Ale pani musi być bardzo szczęśliwa, taka pani młodzianka i ładna?! —

Pytanie zabrzmiało w ciszy gabinetu pełne świadomego napięcia, pragnące, domagające się odpowiedzi. Ręce kosmetyczki zatrzymały się na jedną chwilę w pracowitym krążeniu. Oczy obu kobiet spotkały się w lustrze. W jednym tkwiło nieme zapytanie, w drugim zabłysnął cień żalu i jakby rozpaczy.

— Nie! — odpowiedziała prosto zapytana. — Przepraszę panią na jedną chwilę. Wezmę proszek „Z Kogutkiem” — głowa mnie boli. A to jest jedyny, świetny środek, który od utraty mojego narzeczonego trzyma mnie na nogach. —

Pacjentka spojrzała współczująco i z wahaniem spytała:

— Czy umarł? —

— Tak, na miesiąc przed ślubem — z trudem przeszła odpowiedź przez krtań zapytanej. —

Serce kobiety siedzącej w fotelu drgnęło współczuciem, ale i radością, że jednak człowiek kochany przez nią żyje. — A póki żyje, zawsze jest przecież nadzieja, ta największa ostoja ludzka.

Twarz kosmetyczki sprężyła się w wysiłku i znowu obkleił ją stereotypowy uśmiech. Panowała pachnąca, przyjemna cisza. —



## WIECZOROWA LETNIA SUKNIA

Suknia bardzo szeroka z modnego czarnego szyfonu o wielkich kolorowych kwiatach — stanik i spódniczka z crêpe satin złotego koloru. Na staniku bolero z szyfonu i pasek koło szyi, można suknię wykończyć i bez tego paska.

Wielkie kwiaty i wielkie bukiety bardzo kolorowych kwiatów, to ostatni krzyk mody. W oczach aż się mieni od barw letnich materiałów, szczególnie francuskich jedwabii.

*E. K.-Onichimowska.*



## SUKNIA LETNIA SPACEROWA

Wszystkie letnie materiały mają desenie kwiatowe. Ładną całość stanowi sukienka jedwabna z drukowanym kwiatowym szlakiem i drobnym rzucikiem. Prząd stanika i spódniczka w drobne zakładki, na bokach stanika materiał ze szlakiem.

Kapelusz płaski przybrany z przodu małą fantazją i ozdobiony woalką.

Bluzka biała o barwnych bukietkach kwiatów. Kamizelka z gładkiej flory.

*E. K.-Onichimowska.*



## Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

### „POGOTOWIE GOSPODARCZE”

Wobec zmienionych warunków, w jakich obecnie żyjemy, wobec stałego pogotowia we wszystkich dziedzinach, panie domu na odcinku gospodarstwa powinny poczynić pewne posunięcia.

W trudnych momentach dziejowych zapotrzebowanie na środki spożywcze bardzo wzrasta, wtedy każda rodzina musi być zorganizowana w ten sposób, by w chwilach decydujących nie stać się ciężarem dla państwa i władz.

Jednym z najważniejszych zadań dla kierowniczk jakiegokolwiek komórki gospodarczej jest stworzenie „żelaznego zapasu” artykułów żywnościowych, wystarczających na dwa tygodnie.

Naturalnie, że zapasy te stopniowo zastępować należy innymi, aby zapewnić świeżość produktów.

O ile wysoce niepatriotyczne jest bezmyślne skupowanie nadmiernej ilości wszelkich produktów, o tyle zgodziliśmy się wszyscy, że racjonalnie zrobione zapasy są po prostu koniecznością.



Poza mąką, cukrem, solą, kawą, herbatą, kakao, trzeba zrobić zapas makaronu, kasz wszelkiego rodzaju. Potrzebny jest też zapas tłuszczu, między innymi — frytury — niestarzejacej się przez długie tygodnie, także masła topionego, oliwy soi, która, niestety, długo przechowywać się nie daje. Pamiętać należy też o pewnym zapasie jaj, doskonale przechowywać się dających w popularnym „szkle”. Mleko kondensowane zastąpić może choć w części świeże mleko itd.

Obecnie, w pełnym okresie robienia zapasów letnich, musimy bezwzględnie zaopatrzyć się w konserwy z owoców i jarzyn. —

Możemy porobić dużo przetworów, nie nadwierżając budżetu. Wiele gospodyń uważa, że robienie kompotów na zimę jest kosztowne ze względu na cenę słoików. Otóż w znacznej mierze można się obejść bez nich. Wszelkie jagody, siekany agrest, rabarbar, wiśnie itd. sterylizuje się doskonale w butelkach, dając podstawę dla smacznych zup, kisielków itp. Dalej tanim sposobem jest suszenie owoców. Jeżeli chodzi o witaminy, to wiemy, że gotowanie źle na nie wpływa, za to suszenie na słońcu jest niesłychanie korzystne. Taki owoc starannie przechowany w przewiewie, namoczony tylko w lekkim, ciepłym syropie, daje bardzo zdrową surówkę.

Na specjalną uwagę zasługują marmolady stosunkowo niekosztowne, konfitury i galarety są droższe.

To, co mówimy o owocach, należy zastosować i do jarzyn. Zapasy szczeni i szpinaku, fasoli zielonej, pomidorów i innych porobić możemy w butelkach. Suszyć możemy bardzo wiele jarzyn teraz w okresie ciepłego lata.

Robienie bulionu przy dużej ilości mięsa i jarzyn, szczególnie w okolicach, gdzie produkty są tanie, jest także doskonałym sposobem przechowywania. —

Serki owocowe, głównie z jabłek przydadzą się bardzo, zaś powidła ze śliwek i borówki — to już klasyczne zapasy, do których corocznie z zapatem wracamy. —

Pamiętajmy też o zbiorze ziół!

Listki poziomek, malin, rumianek, listki borówek, wraz z suszonymi skórkami z jabłek stanowią zupełnie smaczny napój, zastępujący herbatę, szczególnie wieczorem i z dodatkiem miodu. O zapasie miodu prawie wspominać nie trzeba.

Wielką pomocą w gospodarstwie stanowią grzyby, które przyrządzić można pod najróżnorodniejszymi formami: suszone, marynowane w occie, solone, sterylizowane, do spożywania jak świeże.

Wiele jeszcze można by w sprawie „pogotowia gospodarczego” powiedzieć. Wybrałyśmy jedynie tylko dział — żywnościowy. Jasną jest rzeczą, że inne działy są także bardzo ważne. Myśleć musimy i o zapasach węgla i drzewa, i o świecach, ewentualnie lampie naftowej (na wszelki wypadek), o przygotowaniu zasłon na okna i o konieczności posiadania choćby skromnej apteczki domowej itd., itd.

Jeżeli wykonamy to wszystko, jeżeli pracować będziemy na naszym skromnym odcinku tak, by nie nas nie zaskoczyło, to wykonamy dużą pracę obywatelską, która przykładem swym pociągnie inne kobiety i stworzy w całej Polsce prawdziwe „Pogotowie gospodarcze”, tak bardzo ważne dla bezpieczeństwa państwa.

#### KILKA MNIEJ ZNANYCH PRZEPISÓW

##### Marmolada z dojrzałego agrestu.

1 kg agrestu oczyścić z szypulek, wsypać w rondel, podlać szklanką wody, rozgotować owoc mieszając starannie. Przetrzeć masę przez sito, dusić na wolnym ogniu do zgęstnienia, dodać  $\frac{3}{4}$  kg cukru lub miodu, jeszcze poddusić i wyłożyć najlepiej do kamiennego garnuszka.

##### Marmolada z poziomek lub truskawek.

Owoce przebrać, rozgnieść i przetrzeć przez sito. Na każdy kilogram wsypać  $1\frac{1}{2}$  kg cukru, dusić do gęstości, przechowywać w małych słoiczkach. Przykryć krążkiem papieru, umoczonego w spirytusie. — Owiązać „szklanym papierem”.

##### Kompoty.

Wszelkie owoce można przechowywać w kompotierach. — Najpiękniej wyglądają czereśnie, zarówno żółte, jak czerwone i gruski (bergamotki i klapsy). Śliwki można sterylizować obrane (po oparzeniu) lub nie. Morele wyglądają ładnie i są bardzo dobre w smaku. Brzoskwinie należą do luksusowych owoców w Polsce. Połówki brzoskwiń doskonale można sterylizować, obciążone ze skórki. — Natomiast poziomki, i truskawki, a także maliny tracą kolor w kompotie, wygodniej przechowywać je w innej formie. Wiśnie kwaśne sterylizuje się w butelkach, podobnie agrest i czarne jagody, można je naturalnie przyrządzić też w kompotierach. —

Wszystkie powyższe wymienione owoce układa się dość ściśle w kompotierach, zalewa ostudzonym lekkim syropem, przykładając gumkę i pokrywkę przyciska metalową sprężynką i gotuje w sianie lub w aparacie Wecka od zagotowania przez 20 minut. Jest to przeciąg czasu wystarczający dla trwałego wysterylizowania owocu. —

Jeżeli nie byłibyśmy tego pewni, a idzie o twardsze owoce, należy po pełnym ostudzeniu zrobić kompoty przesterylizować, ale tylko od 8 do 10 minut od zagotowania się wody.

Szybko wyjąć słoiki i odwrócić każdy. W ten sposób niech wystygną. Ustawić w chłodnym miejscu.

Ilość cukru nie odgrywa roli w udaniu się kompotów. Zależy ona od smaku danej osoby. W każdym razie waha się od pół ćwierci kg cukru na 1 kg owoców. —

Posiadając pewną ilość słoików hermetycznie zamykanych, możemy bardzo tanim kosztem zrobić zapas kompotów na zimę i uniknąć poważnych wydatków, użytkując je, gdy są najdroższe.

Wład.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Pannie Zofii z Myślenic.* Żadnej sposobności zobaczenia nowego terenu kraju — nie omijać. Takie mamy piękne, uroczne miejscowości, że żal każdych wakacji, które minęły — a nic do wspomnień nie przyniosły. Kraków jest o każdej porze roku przepiękny. Dużo tam pensjonatów prywatnych, zwłaszcza skora panie we dwie mają zamiar jechać — to doskonale dadzą sobie radę. A więc: w drogę! na swobodę, życzymy zebrać dużo miłych wrażeń, a zapamiętać swym, humorem i ukojeniem kraju — obdzierać drugich dokoła. Od tego młodość!

*P. W. R. w Piotrkowie.* Pani łaskawa, nie wolno nam dziś mówić o „zniechęceniu”, kiedy cały naród daje przykład żelaznej woli zdecydowanego właśnie chęcia. Czynić, pracować, tworzyć ognia mocne, trwałe, aby były jak ze stali w ogniu hartownej, spojone, mocne, trzymające krzepko łańcuch czynów tworzących — przyszłość kraju, który tak się pięknie rozrasta.

Na razie źle Pani — ale nic nie trwa wiecznie. To się zmieni. Tylko wierzyć we własną silną wolę, a przeszkody zginą.

*Pannie Jadzi W.... w Łomży.* Na kursy samoobrony koniecznie zapisać się trzeba zaraz, bo nie wiesz dnia ani godziny, w której kraj zawoła każdego — do służby dłoń — wyłącznej. W Łomży są stowarzyszenia, do których łatwo Pani trafi. —

*Pannie Maryni.* Doskonale opracowana broszurka przez pp.: inżyniera Ginsberta, por. mar. Kosko, nac. Rostkowskiego, red. Tery, red. Petzla i prof. Zielińskiego, wydana przez Ligę Morską i Kolonialną pt. „Co każdy Polak o „Dniu Morza” wiedzieć powinien” zaspokoi wszystkie Pani pytania. Nabyć ją można w siedzibie L. M. i K., Widok 10, Warszawa. —

*Pani Zofii R. w Skolimowie.* Adres „Polskiego Antykwariatu” jest: Warszawa, Wierzbowa 6, m. 22a, telefon 661-62. Spisy nazwisk posiada Antykwariat 40.000, toteż każdy kartką pocztową

dowiedzieć się może, czy nazwisko jego rodzinne znajdzie się na tej liście.

*Dobrej Gospodyni* polecić możemy Restaurację Katolickich Organizacji Kobiety przy ul. Jakubowskiej 18, właśnie w bliskim sąsiedztwie Pani na Saskiej Kępie. Restauracja wydaje zamówienia do domów prywatnych, co wobec warunków, o jakich nam Pani pisze — rozwiąże Pani trudności gospodarcze. Zamówienia na większe przyjęcia, na ciasta, drobne herbatniki — przyjmuje Zakład. Ceny przystępne. Wszystko doskonałe. Telefon: 10-40-08.

\* \* \*

Zapisy przyjmują i wszelkich informacji udzielają w sprawie *Przysposobienia Wojskowego Kobiet* biura mieszczące się w następujących punktach:

Marszałkowska 81, m. 4, tel. 8-19-81.

Ciepła 32, m. 5, tel. 3-37-13.

Piusa XI 62, m. 4, tel. 9-81-01 — w godzinach od 10 — 20.

**WYKWINTNA PRACOWNIA G O R S E T Ó W .  
OSTATNIE MODELE PASÓW I BIUSTONOSZY  
„G E N O W E F A”,**

wł. G. Szewczyk, Warszawa, ul. Oboźna nr 11, wejście od ul. Karasia 1. Tel. 3-31-45. Dzwonek przy wystawie.

Przyjmujemy Bony Kupca Polskiego.



## NA WYCIECZCE

Pojechała Inka, a dokładniej mówiąc popłynęła z rodzicami i starszym braciuzkiem na wycieczkę. Bardzo było miło na statku, słońce z błękitnego nieba mile grało i załamywało się w tysiące światełek na lekko falującej wodzie. Woda szemrała coś i śpiewała niby łagodną kołysankę, a niby opowieść o swym wiecznym biegu do morza coraz dalej i dalej. Wyjechali wczesnym rankiem i dobrze przed południem dobili do lasu. Brodziła Inka po piasku i zbierała kamyczki i jakieś malutkie rzeczne muszki, potem wszyscy kąpali się w rzece i tatuś wziął Inkę na plecy i wypłynął z nią daleko, daleko na środek rzeki, tak daleko, jakby się nigdy Inka sama płynąć nie odważyła nawet z mamusią i tatusiem, bo Inka tak przy brzegu była bardzo odważna, ale jak tylko trochę odpłynęła i nie mogła nogą dotknąć gruntu zaraz mówiła: „Ojej! jak głęboko” i uciekała na brzeg. A teraz podróżowała na grzbiecie tatusia niczym morska księżniczka na grzbiecie delfina, jak się śmiał Julek, jej starszy brat. Gdy już wracali podpłynął do nich i wyciągnawszy ręce zachęcał Inkę, by się rzuciła w wodę i popłynęła ku niemu. Zachęcona i przez tatusia, popłynęła Inka, a tak była zajęta, by dopłynąć do wciąż uciekających przed nią rąk brata, że nawet nie pomyślała czy jest pod nią głębina, czy nie. Wreszcie Julek chwycił zdyszana i posadził sobie na plecach, płynąc z nią tam i z powrotem, gdy odpoczęła chwilę podpłynęła znów mamusia i zachęciła córeczkę do nowych wysiłków i ani się Inka opatrzyła, jak dopłynęła do brzegu. Stanąwszy na piasku wierzy nie chciała spojrzawszy na przestrzeń przed siebie przepłyniętą, że to ona tam była.

Wesoło żartując poszli teraz wszyscy do lasu, gdzie ułożywszy się wygodnie trochę odpoczywali po wyczynach pływackich. A potem otworzyła się walizka z zapasami, rozłożono obrus na trawie i zgłodniałe towarzystwo raczyło się z zachwytem przywiezionymi zapasami. — Na podwieczorek zbieramy poziomki — powiedziała mamusia — a teraz pomóżcie mi sprzątnąć ten cały kram, tylko porządnie, nie śmiećcie w lesie, nie rzucać nigdzie papierków! A potem się trochę prześpiemy. — Ten projekt spotkał się z ogólnym uznaniem. Zakrzętnęli się więc wszyscy żwawo, ale Ince tak się spać chciało, a tak do walizki było daleko: — Cóż tam szkodzi, że rzucę parę papierków na trawę, nikt nie zauważy — uspokoiła sama siebie, spoglądając spod oka na mamusię.

— Czy już wszystko w porządku? — rozległ się głos mamusi. — Tak, mamusiu — odpowiedział Julek, Inka milczała. — No to bierzcie koce i kładźcie się spać! — Nie trzeba było tego dwa razy dzieciom powtarzać, znużone kąpielą, zaspokojonym głodem rozleniwione, odurzone powietrzem, wyciągnęły się jak długie. — Czuję się jak boa konstriktor — mruknął Julek na pół senie. — I ja — chciała mu odpowiedzieć Inka, ale sama nie wiedziała kiedy usnęła.

Zbudziło ją jakieś skrzypnięcie, zdziwiona spojrzała przed siebie, leżała u stóp olbrzymiego drzewa, tuż koło jego pokręconych korzeni. Otóż najwyraźniej wśród tych korzeni otworzyła się malutka bramka. Nie, to były drzewczki, prowadzące w głąb mieszkania pod korzeniami drzewa. Drzwi dotąd uchylone otworzyły się na oścież i wyszedł z nich chudy, stary człowieczek z zielonymi włosami i długą, zieloną brodą, w szacie z liści i sandałach z kory, za nim zaś toczył się na krótkich nóżkach okrągłutki człowieczek w zielonym ubranku, z błyszczącym pasem na krągłym brzuszku i czerwonej jak poziomka czapeczce. Jego różowa, uśmiechnięta buzia wyglądała też jak duża jagoda, śmiało się w niej wszystko, bystre, okrągłe oczka, zadarty nosek i szerokie usta. — Skaranie z tymi ludzkimi dziećmi! — burczał staruszek, postukując wiśniową laską. — Przyjmij je w lesie, jagody im najładniejsze pokazuj, zapachem miodu i żywicy uracz, a to nawet ocenić lasu nie potrafi, tylko go zaśmieca papierami i różnymi odpadkami. — Ale nie gniewajcie się tak leśny dziadek — perswadował krasnalek — gdyby te dzieci to rozumiały, to by tego z pewnością nie robiły. — Tobie to zawsze, Kręzołku, wszystko dobre — gniewał się dalej leśny dziadek — a jak kiedyś szkła narzucały, co się od niego potem, gdy się od słońca nagrzały szkła kawałki, suche igliwie zapaliło i cały kawał lasu z dymem poszedł, to, to dla ciebie nic?! A jak biedna sarenka nóżkę na tym szkłe przecięła, to też nic?! — No tak, to było źle, bardzo źle, ale ja i tak myślę, że gdyby te dzieci wiedziały, jaką szkodę robią, a nawet nie szkodząc, jak las szpecą na pewno by tego nie robiły. I ta dziewczynka, co tu śpi, a przedtem te papierki porzucała, z pewnością by tego nie zrobiła, gdyby wiedziała, że uszkodzi letni domek leśnego duszka. — Ach! nie tylko domek — odezwał się

głos płaczliwy, bo i mnie samego tak tym papierem przygniotła, że mi o mało skrzydełka nie złamała, o patrzcie! — pokazywał z łzawą miną swe tęczowe skrzydełka złotowłosej leśny duszek, strojny w płatki kwiatów z wianuszkami różnobarwnymi na głowie. — A ja chciałem jej pokazać, gdzie rosną białe storczyki, by sobie z nich bukiet narwała, ale teraz nie pokażę, jeszcze by je tylko podeptała. — A Kręzołek chciał ją zaprowadzić na polankę poziomkową i namówił mnie, by jej pokazać sarenkę, ale jeszcze



by w nią kamieniem rzuciła — dodał zgrzyliwie leśny dziadek. Zanoczył się na chwilę Kręzołek, aż mu wesoła buzia zmierzchnęła i nosek się wyciągnął, ale po chwili znów się rozjaśnił i powiedział: — Wiecie co! Jeśli ta dziewczynka taka nie warta, to jej żadnej przyjemności nie zrobimy i z uprzątnięciem papieru z tego domku będziemy musieli poczekać na wiatr wieczorny, by nam dopomógł; ale może ona po prostu była bardzo śpiąca, a jak się zbudzi wypoczęta, to wszystko posprząta i wtedy spełnimy wszystko, cośmy zamierzali. Dobrze? — Popamiętasz moje słowo, nic z tego nie będzie — pokiwał brodą leśny dziadek. — Ale jeżeli?... — upierał się Kręzołek. — No, to wtedy zgoda — odpowiedzieli chórem leśny dziadek i leśny duszek. — To chodźmy tymczasem do domu i poczekamy, co będzie — zaproponował Kręzołek. Skrzypnęły drzwiczki i już ich nie było. Rozbudzona zupełnie Inka usiadła, przecierając oczy, trawy chwiała się wokół niej, ale próżno szukała bramki w korzeniach drzewa. (Rzuciła spojrzenie w stronę rodziców i brata, spali jeszcze. Cichutko na paluszkach przeszła koło nich i starannie pozbierała niesprzątnięte papiery szepcząc: — Już nigdy, nigdy lasu szpecić ni szkodzić mu nie będę! —

A gdy wracali do domu ścisłała Inka w rękę pęk storczyków na znak przypomnienia z lasem, a oboje z Julkiem wspominali z zachwytem poziomkową polankę i śliczną, nie płochliwą sarenkę.

H. Rostafińska-Choynowska.



## W lipcowe południe.

Kapusta szeroko przy ziemi siedząca  
Bardzo ucierpiata od promieni słońca,  
Chciała się pozalić -- wkrąg siostry kapusty,  
A do nich zwracać trud to będzie pusty.  
Wtem stracha na wróble sobie przypomniała,  
A więc doń zagada -- choć go wpierw nie znała --  
(Boć kapust ród stary, w sto liści bogaty,  
A strach ma na grzbiecie jakieś cudze szmaty):

„To słońko lipcowe  
Strasznie pali w głowę...  
Wypłowiwały maki,  
Chabry nieboraki...  
I nie ma schronienia,  
Ani nigdzie cienia!”

„ A ja choć na polu cały dzionek stoje,  
Wcale się tej spieki słonecznej nie boję” --  
Tak strach jej odpowie wesoło rozmiały,  
Strojny w różnobarwne przedziwnie łachmany.

„Bo mam na głowinie, wsadzony po uszy,  
Trochę już obdarty kapelusz pastuszy,  
Upleciony z słomy chroni mnie całego  
Od ostrych promieni i blasku zbytniego”.

H. R. Ch.



## Żniwa.

15 lipca 1410 r. ☞ ☛

„Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć”  
Przepióreczka woła.  
Dzwonią sierpy, dźwięczą kosy  
Wszędy dookoła.  
Już pokotem równiuteńko  
Złote zboże leży --  
Będziemy mieć już niedługo  
Chlebek nowy, świeży.

H. R. Ch.

Przed samą bitwą król sprawiał szyki,  
Nagle doń z wieścią rycerstwo przybieży:  
Że od Krzyżaków ciągną wystawniki,  
Może o pokój w prośby chcą uderzyć.  
Król skinął ręką: „Przywiedźcie ich ku  
[mnie]!”  
„O nie o pokój prosić tu przychodzą,  
Bo spojrzcie tylko, jak to kroczą dumnie,

Jak harde myśli im po głowach chodzą”.  
Przyszli, stanęli, w te ozwą się słowa:  
„Królu! od mistrza naszego postani  
Niesiem dwa miecze ukute od nowa --  
Niech się uzbroją w nie twoi poddani!”  
Pychę krzyżacką ukrócić chcą bierze:  
Lecz posła święta jest zawsze osoba.  
„Zadość nam broni -- odpowie król szcze-  
[rze --  
Lecz, gdy się Panu w niebiesiech spodoba,  
Na wasze karki zdadzą się te miecze,  
A przeto bierzem je, bo gdzie kowany  
Miecz, gdy hartowny, jednakowo siecze,  
I równie straszne zadaje on rany”.  
I spełniły się wieszczę słowa króla,  
Bo zanim w zachód poczęła się krwawy  
Zanurzać jasna, złota słońca kula,  
Starty w proch: zakon, pycha jego sławy!

H. Rostafińska-Choynowska.

## Zagadka.

Pszczółek przy jej kwiatach roje  
Jakby na weselne gody,  
Słodką wonią nas obdarza  
I najlepsze są z niej miody. H. R. Ch.



Konkurs małych harmonistów w „Moulin de la Galette” w Paryżu.



# ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM

KLUBU SZARADZISTÓW W WARSZAWIE

## GWIAZDA

Należy wpisać w promienie gwiazdy odśrodkowo 16 wyrazów sześcioliterowych o podanych niżej znaczeniach. Litery początkowe i końcowe — wspólne.

W koło należy wpisać w kierunku „zegarowym” 6 wyrazów, zaczynając od kółka z kropką. Ostatnia litera poprzedniego wyrazu, jest pierwszą — następnego. (Dla ułatwienia podajemy pierwsze litery wyrazów koła: A, R, A, A, A i T). [Cyfry w nawiasach oznaczają ilość liter danego wyrazu].

Litery w szesnastu tustych kółkach odczytane jednym ciągiem „zegarowo”, dadzą zasadnicze rozwiązanie, które można podać bez wyrazów pomocniczych.



### Znaczenie wyrazów gwiazdy:

1. Małpa afrykańska, z nagniotkami na pośladkach.
1. Nacisk, przymus.
2. Oznaka królewskiej godności.
2. Zmartwienie, trudność.
3. Ten, co oszukuje.
3. Część brzuszna owadów.
4. Oryl.
4. Ryba o ciele spłaszczonym, mająca oczy i otwór ustny na jednym boku.
5. Zagon między brzdami.
5. Narzędzie do grabienia.
6. Gwoździe do przybijania podków.
6. Rzadkość, osobliwość.
7. Udzielenie zwłoki w odbiorze zapłaty za wybrany towar.
7. Wysoka czapka futrzana; wierzchołek jakiegoś przedmiotu.
8. Dziedzictwo.
8. Planeta.

### Znaczenie wyrazów koła:

- A. Artysta teatru (5).
- B. Pulchna warstwa ziemi (4).
- C. Dwuznaczność, rodzaj kalamburu (9).
- D. Właściwość jakiejś sali pod względem rozchodzenia się głosu (8).
- E. Czasowe pozbawienie wolności (6).
- F. Papier do wylepiania ścian (6).

„JBO” (Kl. Sz.).

## NA KRESACH

### SZARADA

Gdy na kresy wschodnie pojedziecie,  
gdy was całe przywita za Bugiem,  
zobaczycie w pełni siódmej-trzeciej  
ziemie — może najpiękniejszej w świecie!

Tam stojące cicho czwarte-drugie  
będą miały pełny urok przecież...  
Pierwsza-dziesięć-dziewiąta za plugiem  
swe warkoczce rozplecie tak długie...

Ziemia tuzin-dziewiąta i płaska,  
ale dziesięć i siódma niezmiernie.  
Po dwa-trzecim sucho wicher trzaska,  
co we wiecznych jątryz się niesnaskach...

W krzacz pięć-osiem się od przykrych cierni,  
czasem głębię przykrywa mgły maska...  
To raz-czwór-sześć, że kraj ten mizernie  
dość wygląda i plony ma mierne...

Ale za to wab posiada inny,  
co sześć-osiem się w całym widoku!

Pełen skarbów, tajemnic przedziwnych,  
jakichś jedenastych i tuzinnych.

Kalejdoskop się zmienia co roku:  
tam się wyda wam być cogodzinny!  
Polska ziemia, pełna tych uroków,  
jakże piękna tam jesteście naokół!

„Kopciuszek” (Kl. Sz.).

## RADIO

### SZARADA

Kupił Jasio raz-drugie Kasi sześć jarmarku.  
Przymocował antenę i nastawił głośnik,  
pokręcił i — o rety!... Tyk... tyk... jak w zegarku...  
Nie widać żywej duszy — a tu gada ktosik...

Po gadaniu zagrano żwawego oberka,  
po oberku się czwór-pięć piękny kujawiaczek.  
Myśli Kasia: Kie licha! — i spod oka zerka...  
Jasio palcem pokręcił i — już dziecko płacze...

Raz-pięć Kasia Jasiowi: Wyrzuc tę skrzyneczkę —  
tam na pewno czart siedzi, co splewa i gada...  
Sześć to Jasio odpowie: „Nie bądź, Kasiu, dzieckiem!  
Polubisz pierwsze-drugie i będzie mu rada.

Nie pięć-trzecie to Kasiu żadne! Tam nie siedzi  
czart ani licha... To jest radio przecie!  
Będą nam, moja Kasiu, zazdrościć sąsiedzi,  
że wiemy prędzej od nich, co dzieje się w świecie”.

Dała się wreszcie Kasia do radia skaptować.  
Od raz-szóstego kręci i muzyczki szuka...  
Wie gdzie Kraków, Warszawa, wie gdzie szukać Lwowa  
i, że zagrać na radio... to niewielka sztuka...

Cała czwór-piąta-szóstka wieczorem się zbiera:  
przyjdzie sąsiad, sąsiadka i znajomków sporo —  
wtedy Jasio cudowną skrzyneczkę otwiera —  
pieśni, słowa, muzyka — płyną nocną porą...

„Tońko” (Kl. Sz.).

## REBUS

Z podanego rebusu należy odczytać trzywyrazowe „na czasie”  
rozwiązanie, składające się z następujących początkowych li-  
ter: S, N, L.

„Kasta” (Kl. Sz.).



Za rozwiązanie zadań (nawet jednego) przeznaczają Redakcja  
dwie nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia  
25 lipca br. (z dopiskiem: „Rozrywki umysłowe”).

## ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 5

Szarada: „Matko Niepokolana”.  
Uzupelnianka: 1. Kapitol. 2. Anilina. 3. Zlelnik. 4. Irawadi.  
5. Piernik. 6. Klimika. 7. Pelikan.  
Tryptyk gastronomiczny: 1. Zupa pomidorowa. 2. Kotlety cie-  
jące. 3. Galaretka malinowa.  
Rebus: „Arabeski”.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Jadwiga Müllerówna z War-  
szawy i p. Wacław Złetek z Gniezna.  
L. K. (Kl. Sz.).



# HUMOR

## W PARKU

Zebrek: — Litościwy panie, choć jeden grosz dla biednego.

Przechodzień: — Nie mam ani grosza.  
— Zebrek: — To po kiego diabła pan się włóczy po parku, zamiast wziąć się do jakiejś uczciwej pracy.

## PRÓBA MIŁOŚCI

Matka: — Gdy przyjdzie wieczorem pan Durand, zaśpiewaj coś, Lili!

Ojciec: — Tak, zrób to, dziecko! Wystaw jego miłość na próbę!

## STOSOWNY PRZYDZIAŁ

Antoni Pukalski staje do poboru. Jest zdrowy, ale ma jedną przykrą wadę. Jąka się.

— Jak nazywacie się? — pyta lekarz.  
— Puk... Puk... Puk...  
— Doskonale! Przydział karabiny maszynowe.

## OSTROŻNY

Monter elektryk mówi do pomocnika:  
— Dotknij ręką któregoś drutu.  
Pomocnik dotyka.  
— Czujesz co?  
— Nie.  
— Dobrze — mówi monter. — Nie byłem pewien, który drut jest pod napięciem. Ale drugiego drutu już się nie dotykaj, bo byś natychmiast padł trupem.

## W SĄDZIE

— Na rozprawę główną trzeba będzie wyznaczyć dwa dni.  
— Czy aż tylu świadków staje z obu stron?  
— Nie, tylko trzech! Ale wszyscy trzej jękają się!

## W ZWIERZYŃCU



Dozorca: — Karmienie słońca jest surowo wzbronione.

## KORZYSTNA PODRÓŻ

— Podróże kształcą...  
— Doprawdy?  
— Byłem teraz przez dłuższy czas w Berlinie i dowiedziałem się tam o sobie czegoś, czego mi nikt u nas nie powiedział.  
— Czegóż pan się dowiedział?  
— Że jestem cudzoziemcem.

## NA PROGU

— Proszę odejść — zwraca się pani Brzusiakowa do natrętnego żebraka — bo zawołałam mego męża!

— Ach, wiem, znam go... To zapewne ten mały człowiek, który mi powiedział wczoraj, żebym odszedł, bo zawoła swoją żonę!

## W APTECE

Po północy do jednej z aptek dobija się jakiś gruby jegomość. Zaspany dyżurny zbliża się do okienka.

— Co się stało? Czy jakiś ciężki wypadek?  
— Tak, bardzo ciężki. Chcę się zważyć.



USUWA BÓL, PIECZENIE, NABRZMIENIE NÓG, ZMIĘCZA ODCISKI, KTÓRE PO TEJ KAPIELU DAJĄ SIĘ USUNĄĆ, NAWET PAZNOKCIEM. PRZEPIS UŻYCIA NA OPAKOWANIU.

Radykalnie odzwyczajają od palenia tytoniu „LARGOL”. wyrobu apteki Dobrzańskiego, Warszawa, Miodowa, 9.

## PIEKŁO MĘŻCZYŃ

— Serwus, Fredziu! Jak ci się powodzi w małżeństwie? Moja żona to smok!  
— Ach, nie mów o tym ze mną! Nie wolno mi pić, nie wolno mi palić, nie wolno mi wychodzić samemu!...  
— Biedaku, to musisz być bardzo nieszczęśliwy, co?  
— Człowieku, mnie nie wolno nawet być nieszczęśliwym!

## WAKACJE



— A pamiętajcie, że macie ię poprawić!...

## MILA GOSPODYNI

Wielkie przyjęcie u państwa Pomidor-skich.

Około północy przyszedł pan Bączkiewicz, by odprowadzić do domu swą małżonkę.

— Niech pan jeszcze zostanie trochę z nami — prosi pani domu.

— Niestety, już późno... A poza tym przyszedłem tu tylko po żonę...

— To doprawdy wielka szkoda — wzdycha gospodyni — że nie przyszedł pan wcześniej!

## WYŚCIGI Z PRZESZKODAMI



Przezorny jeździec zaoparzył się w spadochron.

Cena ogłoszeń zatektowych:  $\frac{1}{4}$  str. — 700 zł,  $\frac{1}{2}$  str. — 380 zł,  $\frac{3}{4}$  str. 200 zł, —  $\frac{1}{8}$  str. — 120 zł,  $\frac{1}{16}$  str. — 70 zł,  $\frac{1}{32}$  str. — 40 zł.  
Za 1 mm rozm. 6 cm — 1.60 zł, za 1 mm rozm. 4,5 cm — 1.20 zł. — Miejsca zastrzeżone 50% drożej.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska . . . . . 6 zł  
Niemcy . . . . . 4 Rmk.  
Francja . . . . . 50 fr.

Litwa . . . . . 15 litów  
Ameryka . . . . . 2 dolary  
Inne kraje . . . . . 6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł, KWARTALNA 1.50 zł. — CENA POJEDYNCZEGO NUMERU — 60 groszy.  
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. nr 14664 — Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (rachunek wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa-Sródmiście, Krakowskie Przedmieście 71. Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa-Sródmiście, Krak. Przedmieście 71.